



487

485

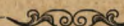
J. Santofsky

Wolff III 185
485

CZŁOWIEK BEZ JUTRA.

POWIEŚĆ

JANA ZACHARYASIEWICZA.



(Wydanie Redakcyi Biblioteki Warszawskiej).

Tom Pierwszy.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00 330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

WARSZAWA.

NAKLAD GEBETHNERA i WOLFFA.

1871.

<http://rcin.org.pl>



Дозволено Цензурою
Варшава 1 (13) Октября 1871 г.

3753

SPIS RZECZY

zawartych w tomie pierwszym.

- I. Miasto ruina.
 - II. Zabłąkane nazwisko.
 - III. Perpetuum mobile.
 - IV. Stłuczone okulary.
 - V. Dom tajemniczy.
 - VI. Paulina.
 - VII. Na szerszym świecie.
 - VIII. Jedna scena.
 - IX. Z Albumu.
 - X. Sielanka.
 - XI. U Wód.
 - XII. Altana i Cmentarz.
 - XIII. Za szczęściem.
 - XIV. Bez jutra.
-

I.

Miasto-ruina.

Nad brzegiem dosyć znacznej rzeki, która z podgórza wypływała tutaj w dolinę aż po Wisłę sięgającą, rozsiadło się miasto w najpiękniejszych nadziejach przyszłego swego bogactwa. Zaraz z początku zajęło spory kawał ziemi, w przypuszczeniu, że z czasem wewnętrzne luki zapełni i zabuduje! Plan taki był dobry, potrzeba było tylko czasu i sprzyjających okoliczności.

Okoliczności jednak nie dopisały, a ze zmianami czasu przybrało miasto dziwną fizyognomię.

Najstarsze domy tego miasta stanęły prawie wszystkie frontem do Wisły, która tam gdzieś daleko, daleko według podań flisaków miała w poprzek przerzynać urodzajną dolinę. Dlaczego miasto obrało tę niewygodną dla siebie pozycyą, o tém rozmaicie w mieście opowiadano.

Jedno podanie opierało się na gruncie tradycyi religijnej. Pewien bogobojny ślusarz który każdego poniedziałku był trzeźwym, widział raz we śnie, jak św. Piotr ogromnym kluczem niebo dla jego sąsiada, który właśnie był umarł otwierał. Z tym sąsiadem był ślusarz w ciągłej wojnie.

Sąsiad bowiem który był prostym kowalem, odbierał mu często zarobek, robiąc klucze i zamki. Przyszło nawet do processu w cechu, który na kowala wydał wyrok potępiający. Oparty na tym wyroku bogobojny ślusarz tak nękał swego sąsiada, że tenże z rozpaczyny rozpił się, zbiędniał a wreszcie ustąpił się z drogi człowiekowi, który miał za sobą wyrok cechu, trzech pachołków wójta i widoczną opiekę Opatrzności Boskiej, bo mu się bardzo dobrze działo.

Szanowny cech ślusarski, wójt miasta i bogobojny ślusarz byli przekonani, że kowal za fuszerkę ślusarską prostą drogą do piekła pójdzie. Tymczasem sen ślusarza inaczej tę sprawę wyświecił. Przekonany tym snem ślusarz, że kowal robiący kłódki i zamki wcale na piekło i prześladowanie wójta nie zasłużył, poczuł wielką skruchę za swoje z sąsiadem postępowanie, sprzedał wszystko co miał i w miejscu gdzie widział we śnie drzwi do nieba, wystawił kościółek pod wezwaniem św. Piotra, któremu sam własną ręką na frontowej ścianie olbrzymie klucze z najlepszego żelaza nader misternie wypiłował.

Ubogie miasteczko w początkach swoich nie wiele myślało o drzwiach do nieba, bo często mawiali do niego kapłani, że ubodzy najłatwiej dostają się do królestwa Bożego. Gdy jednak później pracą i przemysłem wzbogacać się zaczęło, a pasterze jego znowu prawić mu zaczęli, jak trudno jest bogaczom dostać się do nieba, przypomnieli sobie bogatsi mieszczanie o śnie ślusarza i postanowili nowe domy swoje stawiać frontem do téj strony, gdzie według snu ślusarza miały się znajdować podwoje niebieskie. Była to niejako pozycja strategiczna, która ulatującej duszy bogacza miała ułatwić prostą drogę do nieba.

Inni tłumaczyli znowu inaczej ten niekorzystny front miasta. Tam za Wisłą, ku północy miała się gdzieś wznosić stolica kraju, której wszystkich miast i miasteczek należał się hołd winny. Miasta więc zwracały się twarzą ku niej, oznaczając tém swój szacunek i należne posłuszeństwo swojej królowej.

Jowialni mieszkańcy miasta opowiadali znowu, iż owe domy były własnością kupców, którzy towary swoje do Gdańska spławiali. Domy więc te były dlatego tak do północy stawiane aby żony nieobecnych kupców mogły w tę stronę patrzeć, z której mężowie wracali z pełnemi trzosami holenderskiego złota.

W tychto bowiem czasach wzrastało miasto widocznie. Obfite plony ziemi, jako to pszenicę, żyto, cebule, orzechy i przedziwo ładowano tutaj na obszerne galary, które odchodziły ztąd daleko, aż gdzieś na morze Bałtyckie.

Później jednak zmieniły się czasy. Patrzący z okien mieszkańcy nie widzieli już ani podwoi nieba, ani kupców swoich wracających z trzosami złota holenderskiego. Pszenica, cebula i orzechy nie mogły już prosto płynąć do Gdańska, a powoli i galary zaczęły osiadać na mieliznach.

Wprawdzie mówili niektórzy, że to złe dlatego się stało, iż mieszkańcy miasta zapomnieli o drzwiach do nieba, a mieszkańcy znowu utrzymywali, że niebo o nich zapomniało!

Bądź co bądź miasto coraz więcej biędniało. Powiedziano mu, że nowa stolica państwa jest gdzieś nad Dunajem i w tamtą stronę kazano się wykręcać nowym domom. Z niechęcią, jak to widać po ich dachach pokrzywionych, obracały się nowe kamienice ku zachodowi. Nie były to już budowy dawnych czasów, ale była to po prostu robota tandetna; nie liczone przy téj robocie na wieki, ale na lata: wszystko tam było tymczasowe, jakby jakichś innych czasów wyczekiwać miało.

Mieszczanie rzadzili się jak mogli, aby oprzeć się burzom napierającym. Wybierano z pomiędzy siebie burmistrza, który najczęściej żywém słowem urząd swój sprawiał. Musiał to być człowiek poważny i cnotliwy, który pracą i cnotą był przykładem całemu miastu. Każdy słuchał go, bo on miał za sobą głosy wszystkich mieszczan.

W ostatnich czasach zmienił się porządek miasta.

Do miasta przysłano ze stolicy państwa jakiegoś Niemczyka, który prócz skórzanego tłumoka nic w mieście nie miał, i kazano mu rządzić miastem.

Nowy burmistrz, jak go mieszkańcy nazwali, zaczął od tego, że po rogach ulic ponapisywał jakieś słowa niemieckie, na które mieszkańce patrzali jak na Koran turecki.

Rozumie się, że rządy nowego burmistrza nie przyniosły miastu nic dobrego. Handel nie ożywił się, kordon nie otworzył, a podwoje nieba były jakby zamurowane!

Dawni mieszczanie podupadli i cofnęli się na przedmieścia. Domy ich wynajęte czynszownikom wyglądały smutno jak wszystko co upada. Zdawało się jakby duch zniszczenia przeleciał po nad biednym miastem i dotknął je swoim skrzydłem wszechmocnym...

I dzisiaj widok tego miasta jest dziwnie poruszający.

Wszystkie prawie domy są założone na większą skalę. Rozmiary fundamentów są kolosalne, piwnice obszerne, ale na tych fundamentach stanęła zaledwie połowa przyszłego budynku.

I ta połowa nie doszła do zamierzonej wysokości. Załedwie wysunęła się do stropu pierwszego piętra, a ztamtąd idąc wyżej udawała tylko okna drugiego piętra. To samo działo się i wewnątrz. Zamiast schodów rzucono tylko tymczasowe deski, które jak klawisze ugiwały się pod nogami przechodzących. Powąły w sieniach najczęściej nie było. Zaraz z dołu można było przez dziurawy dach obserwować księżyc, gwiazdy i cały zodiak niebieski.

Mury zewnętrzne domów były czerwone, wapnem nie obrzucone. Po części tłumaczono to zwyczajem wówczas przyjętym, że dom murowany należycie przed otynkowaniem wyschnąć musi, a po części stało się to z braku funduszków, jakimi nowy właściciel rozporządzał.

Wszystko to wskazywało na jakąś katastrofę, która na gle całe miasto w jego rozwoju zatrzymała. To co zostało, było niedokończone, aby świadczyło o dawnych czasach,

a dzisiejsze czasy, które nic nie budowały, zamieniły powoli to wszystko w jedną kupę ziemi!

Kiedy bowiem dawnymi czasy miasto to tutaj się rozsiadło, był tu główny szlak ruchu społeczeństwa i handlu. Później zmieniły się arterye społeczeństwa. Cały ruch i handel musiał szukać innych dróg, a biedne zapomniane miasto zostało tymczasem na uboczu!

I dziwnie zbieдняło i postarzało się. Rzemieślnicy żyli tylko skromną pracą, jakiej dostarczały im wsie okoliczne. O przemyśle, o wyrobach na sprzedaż hurtowną nikt tutaj nic nie wiedział. Rzemieślnik był szczęśliwy, jeżeli tyle mógł grosza zbierać, że na przedmieściu kupił sobie ogród, który już go żywił do końca życia. Ztąd też poszło, że każdy rzemieślnik był także rolnikiem lub ogrodnikiem, a rzemiosło prowadził tylko wyjątkowo, gdy konieczna była potrzeba. Dlatego też rzemiosła podupadły, a zagon ziemi zaledwie chronił od głodu.

W takiem to miasteczku zatrzymamy się na chwilę i zapoznamy się z jego mieszkańcami.

II.

Zabłąkane nazwisko.

Miasto to, niegdyś dosyć ludne, miało dzisiaj zaledwie pięć do siedmiu tysięcy mieszkańców, którzy w spokojnych dniach niknęli prawie wśród rozległych murów i obszeraych ogrodów. Tylko w dnie targowe a osobliwie w czasie jarmarku ożywiało się miasto i przybierało postać nadzwyczajną. Lud okoliczny miał w tych dniach tutaj schadzkę. Jedni przychodzili aby coś sprzedać, drudzy kupowali, a inni przybywali znowu dla zwyczaju, aby się z sąsiadami widzieć.

Z dni tych targowych i jarmarcznych nie miało miasto prawie żadnego zysku. Prócz szynków i gospód, prócz kilku handlów żydowskich, dla reszty mieszkańców był targ i jarmark rzeczą zupełnie obojętną. Wrodzona jakaś apatya do wszelkiego żywszego ruchu, nie pozwalała im korzystać z tych licznych nawiedzin ludu okolicznego. Lud tylko znosił tutaj w te dnie swoje towary i lud tylko je kupował między sobą. Mieszczanin najczęściej zamykał się w swojej izdebce, jeśli nie był rzeźnikiem lub piekarzem, i czekał niecierpliwie wieczora, który mu miał wrócić spokój upragniony. Nawet szewcy miasteczka, których wyroby najwięcej

między ludem mogły mieć odbytu, zniechęcili się do swego rzemiosła; ubiegli ich bowiem szewcy innego miasta, którzy tutaj podczas jarmarków hurtowny handel butami prowadzili.

Zrazu ten szewski przemysł sąsiedniego miasta rozgrzewał trochę krew miejscowym szewcom. Wywiązały się stąd burdy i bitki, w których o przywileje miejskie z prawdziwym bohaterstwem walczono. Z postępem jednak cywilizacji rządowej musiały te bitki ustać, bo nowy rządowy burmistrz obwołał zasady wolnego handlu, osobliwie w dni jarmarczne. Zwolennicy systemu prohibicyjnego widzieli w tém zamach na miasto, a nie mając siły do oporu, cofnęli się do swoich izdebek i ogrodów warzywnych, połamawszy kopyta i prawidła. Stałaż nawet między nimi spisek, któremu naczelnik rządowy skutecznie zapobiedz nie mógł, w skutek którego nie wolno było żadnemu miejskiemu szewcowi naprawiać butów zagranicznych.

Inni rzemieślnicy miasta, jakoto: krawcy, stolarze i kowale, nie mieli także z jarmarków żadnych korzyści, wyjąwszy jeśli chłop koło złamał. Narzędzia rolnicze wyrabiali artyści wiejscy i gotowe przywozili na jarmark, które lud po tańszych cenach chciwie rozkupywał.

Widoczną było rzeczą, że społeczeństwo tego miasta, w innych czasach i na innych warunkach zorganizowane, straciło dzisiaj wiążące je ogniwa i było skazane na powolną zaturę.

Część mieszkańców składali ludzie dziwnego rodzaju: ciekawą jest rzeczą bliżej ich poznać.

Ludzie ci mieli tylko domy i nic więcej. Nie umieli żadnego rzemiosła, a nawet uważali to za coś poniżającego. Domów tych nie dorobili się, ale wzięli je w spadku po rodzicach. Rodzice również nic nie robili, ale zkaąd do tych domów przyszli, trudno było wiedzieć. Najczęściej odziedziczali je także, a dziedzictwo to gubiło się w czasach jak najodleglejszych.

Mieli oni własne swoje genealogie, podobne do rodowódów szlachty i wszyscy w mieście znali je na pamięć. Ge-

nealogie te były przeplatane różnemi powieściami, które czasem były nader dowcipne. Byli to niejako dawni senatorowie miasta. Z biegiem czasu jednak zbiednieli, bo bez pracy przy mnożącej się rodzinie niepodobna było zatrzymać dawne, w hierarchii miejskiej świetne stanowisko.

Ponieważ dom jeden był całym majątkiem rodziny, to wydarzały się wypadki, gdzie jedna ściana miała pięciu właścicieli, jeden dach dwudziestu dziedziców, którzy najczęściej w braku innego zatrudnienia prowadzili z sobą processy o krokwie dachu i cegły w murach.

Przy takim tradycyjnym obyczaju arystokracji kamiennej, wzięli w mieście nad nimi górę rzemieślnicy, którzy coś zarabiali, a z czasem nawet wywinęli im z rąk berło rządów.

W obec takiego bezprawia, które koniec świata zapowiadało, cofnęło się rodowodowe mieszczaństwo w ubogie izdebki swoje jak staro-francuzka szlachta w hotele przedmieścia St. Honoreé.

Próżniacza ta część mieszkańców dostarczała najwięcej czarnych barw do obrazu miasteczka. Ubóstwo i nędza była między nimi okropna. Niczem w obec takiej nędzy jest nędza żebraka. Żebrek może wystawić rękę, może przyjąć jałmużnę, nie potrzebuje szat całych ani do życia lepszego komfortu. Tym zaś pycha nie pozwala żebrać, fałszywy wstyd nie każe im robić, a opinia publiczna wymaga od nich pewnej ostentacji lepszego bytu. Aby więc téj opinii zadość uczynić, głodzi się i umartwia ciało w sposób najokropniejszy, o jakim prosty żebrak nie ma wyobrażenia!

Domy téj podupadłej arystokracji miejskiej poznać zaraz na pierwszy rzut oka. Wszystko tam jest ruiną. Dach załamany i podziurawiony, schody spróchniałe, okna wybite i papierem zaklejone, zewnętrzne ściany jesienną szarugą obite i zczerniałe!..

Między takimi domami odznaczał się lepszym tynkiem i staranniejszą schludnością narożny dom najgłówniejszej ulicy miasta.

Dom ten był jednopiętrowy i nie udawał wcale drugiego piętra ślepym murem. Miał wprawdzie tylko cztery okna na froncie, ale za to miał na tyle ogród dosyć obszerny.

Nad dolnemi oknami tego domu była przybita długa deska na czerwono pomalowana, na której złotemi literami błyszczał napis: „Marcin Tarło.”

Znajacemu dzieje ojczyste mógł ten napis natracić różne myśli. Zkąd w małej mieścinie wzięło się to nazwisko, które często spotykamy na kartach naszej przeszłości?.. Czyż tu było siedlisko téj szlacheckiej rodziny? Cóż znaczy ta tablica?

Jeszcze większą konfuzyą sprawia nam widok okna pod tą tablicą. W oknie tém widać olbrzymi zegar, którego również olbrzymië wahadło poważnie każdym ruchem uzupełnia powyższy napis tablicy, że tutaj mieszka zegarmistrz!..

Jako?.. Marcin Tarło zegarmistrzem?.. Nie, to być nie może. To czysta kalumnia!

A jednak tak jest w istocie! Hrabia Alfred, który często tędy przejeżdża, czyta zawsze z pewnym oburzeniem tę tablicę, ale tablica nie przestaje przeto wygłaszać, że zegarmistrz tu zamieszkujący nazywa się: „Marcin Tarło,” bo tak nawet zapisany jest pradziad jego w księgach miejskich!

Zkąd jednak wzięło się w mieście to nazwisko, trudno dociec. Szlachecka familia Tarłów, której członkowie na krzesłach senatorskich Rzeczypospolitej zasiadywali, wymarła dawno i trudno dzisiaj o jakiego członka żyjącego z tego szczepu. A gdyby nawet się zabłąkał, czyż można twierdzić, aby szlachecką szablę zamienił na pilnik zegarmistrzowski i w biednym miasteczku pędził żywot mieszczański? Czyż podobna, aby wyrzekł się pargaminów z pieczęciami królewskimi i zamiast kontusza i lam złotych wziął na siebie falendysz miejskiego rzemieślnika?

Nie, to demokratyzm miejski zrobił sobie igraszkę z nazwiska karmazynów i chudego mieszczanina odział w szerokie nazwisko magnata polskiego!..

Niepodobna więc spierać się z mieszczaninem o jego nazwisko, które mu pradziad w sposób prawowity zostawił. Nazywał się Tarło i fakt ten zostanie faktem niezbitym!

Jakkolwiek to nazwisko dziwnym sposobem zabłąkało się do biédnego miasta, niepodobna jednak odmówić mu pewnego wpływu, jaki ono wywarło w społeczeństwie miejskiem. Gdy się bowiem cofniemy o lat pięćdziesiąt w dzieje miasta, obaczmy, że wielu następujących po sobie burmistrzów wybieralnych podpisywało się tém samém nazwiskiem. A byli to prawie zawsze najbliżsi przodkowie Marcina Tarły zegarmistrza i tegoż samego, co i on, kunsztu.

Należy więc tutaj dobrze zastanowić się nad tém, co właściwie dało powód wyniesienia się zegarmistrzów do burmistrzostwa? Czy to był urok nazwiska w dziejach Rzeczypospolitéj mającego rozgłos niepospolity? Czy téż samo nazwisko to karmazyna wszczepiło w pospolitą duszę mieszczzańską chciwość honorów i zaszczytów?

Badacz dzielności krwi i spadkobierstwa cnót i talentów miałby tutaj szerokie pole do badań swoich. My zostawiamy to na boku, bo zegarmistrz Marcin Tarło o specjalnej historii znakomitych rodów swojskich nic nie wiedział, a tém samém ich duchem nie mógł się przejąć.

Mimo to trudno jednak odmówić było zegarmistrzowi pewnych przymiotów, które go od innych mieszczan odróżniały. Ostatni wybieralny burmistrz miasta uderzał na pierwszy rzut oka całą swoją postacią. Nie był wprawdzie wysokiego wzrostu, nie był nawet barczysty ani tłusty, co u mieszczan bardzo wiele znaczyło, a przecież wybrano go prawie jednogłośnie na burmistrza!

Marcin Tarło miał najprzód za sobą tradycję burmistrzostwa w rodzie, miał najlepiej prawie utrzymywany, a co największą, umiał na zgromadzeniach publicznych wyszukany stylem przemawiać do swoich ziomeków, czém nawet imponował niezbędnej w każdym organizmie opozycji, której jak wiadomo, nikt we frazeologii wyrównać nie może!

Zresztą mieszczenie urząd burmistrza wyobrażali sobie w sposób bardzo prosty. Każde większe społeczeństwo przedstawiało się im jako duży zegar, w którym obraca się mnóstwo kółek, jedno drugie wspierających. Przy komplikacji tej maszyny, przy niesforności pojedynczych trybów, potrzeba było nielada głowy, ażeby ten żywy zegar nie stanął, lub fałszywie godzin nie pokazywał.

Któż jednak mógł być zdolniejszym do prowadzenia tej zegarowej maszyny jeżeli nie zegarmistrz, który już w sekretach sztuki swego czerpał naukę jak sobie z niesfornymi trybami radzić, gdzie nałożyć a gdzie przypilnować trzeba, aby maszyna nie ustała?

Wprawdzie piekarz, przewodzca opozycji, utrzymywał złośliwie, że kiedy miasto ma być podobne do zegaru, to burmistrz jest owym młotkiem, który bije! Ale rozsądniejsza część mieszkańców nie przyjęła tego złośliwego orzeczenia najpierwszej w mieście władzy, i niespokojnemu piekarzowi dała surowe napomnienie. Mimo to jednak był piekarz opponentem każdego burmistrza.

Abym oddać sprawiedliwość zupełną szanownemu mieszczaństwu, które zegarmistrza na przewodzcę sobie obrało, trzeba jeszcze wiedzieć, że zegarmistrz z owego czasu nie był takim zegarmistrzem jacy są dzisiaj. Był on bowiem nie tylko zegarmistrzem dziedzicznym, ale zegarmistrzem starej daty.

Zegarmistrz starej daty różni się od zegarmistrza dzisiejszego o całe niebo!

Dawniej zegary były maszyną skomplikowaną. W oczach się ćmiło, tyle było tam kółek, trybów i zębów. Była to istna astronomia, bo prędkiej może policzyłyby gwiazdy na niebie, niżeli tam wszystkie kółka!

Prócz tego każdy taki zegar był oryginalnym dziełem jednego mistrza. Jeżeli w takim zegarze choćby tylko jedno kółko się popsuło, to nie można go było z fabryki podług numeru zapisać, ale zegarmistrz musiał sam je robić. Dlatego zegarmistrz z owych czasów posiadał nie tylko głęboką nau-

kę swego kunsztu, ale miał także wielkie zasoby różnorodnych narzędzi, o których dzisiejszy zegarmistrz nie ma ani wyobrażenia!

Przy rozbieraniu starego zegaru nastęcała się również zegarmistrzowi sposobność ćwiczenia się w odgadywaniu ukrytych planów swego antecessora tak samo jak przy grze w szachy. Musiał głęboko zastanawiać się nad tém, do czego to lub owo kółko służy, dlaczego jedno jest mniejsze, drugie większe, a to znowu tylko z trzema po jednej stronie zębami.

Tym sposobem ćwiczył się zegarmistrz w różnych kombinacjach i ztąd téż poszło, że ludzie tego zawodu wymyślili różne arcydzieła, na które teraz nie stać dzisiejsze pokolenie!

Dzisiejszy zegarmistrz spadł nader nisko i zeszedł zupełnie do roli prostego rzemieślnika. Maszyny genewskie lub londyńskie pracują za niego, maszynerya jest nader prosta, a on potrzebuje tylko ją złożyć i gdzie niedzie usterki przypilnować. To téż typy dawnych zegarmistrzów zaginęły do szczytu, a natomiast pojawiły się wojska prostych fabrykantów, którym tylko o zarobek a nie o sławę chodzi.

Ostatnim zegarmistrzem w swoim rodzaju był Marcin Tarło, ostatni również burmistrz miasta wyszły z walnych wyborów. Po nim wszyscy zegarmistrze niemniej téż i burmistrze byli prości wyrobnicy!

O burmistrzostwie Marcina Tarły nie wiele jest do powiedzenia, bo „kroniki krajowe” nie istniały wtedy a tém samém nie mogły przekazać jego czynów pamięci potomnych. Tyle tylko wiadomém było, że każdy mieszczanin mile wspominał o jego rządach a najmiliej ci, których on sam za niektóre małe wykroczenia do kałauzu własną ręką wtrącał.

Piekarz, przewodzca każdo razowój opozycyi, rozgłaszał nawet pod sekretem, że były burmistrz po nastaniu w mieście rządów niemieckich przeszedł także do opozycyi, co stwierdzał faktem następującym:

Po złożeniu berła burmistrzowego Marcin Tarło cofnął się w zacisze domowe i z całym zapalem wrócił do kunsztu, który umiłował zaraz po sprawach miejskich przedewszystkiém!

Całego jednak czasu nie poświęcał pracy czysto rzemieślniczej. Miał do niej czeladnika i dwóch chłopców. Sam zaś bujał w sferach wyższego zegarmistrzostwa i przemysliwał nad arcydziełem, któreby mogło mu zapewnić nieśmiertelną sławę u potomnych, a przynajmniej jaką taką pamięć.

W owym bowiem czasie ludzie wierzyli jeszcze w obowiązki zostawienia coś po sobie potomnym. Jedni zakładali osady, drudzy budowali domy i kościoły, a inni szczepili i sadzili drzewa owocowe. Każdy jednak chciał po sobie przynajmniej pamięć uczciwego człowieka zostawić, co, osobliwie u mieszczan, równało się dyplomom z królewskimi pieczęciami.

Otóż Marcin Tarło chciał ze swego kunsztu coś także po sobie zostawić, aby w godzinę śmierci powiedzieć o sobie: *Non omnis moriar!*

Długi czas myślał i rachował. Wreszcie wymyślił i własną ręką wypiłował i złożył duży zegar.

Zegar ten był szczególnego rodzaju. Z daleka widziany nie różnił się w niczém od zwykłego wahadłowego zegaru; z bliska jednak można było poznać, że właściwie składał się z dwunastu małych zegarków.

Każda godzina na cyferblacie stanowiła pewną wypukłość, w której mieścił się mały osobny zegarek! Prócz tego i wahadło miało na dole osobny zegar, co razem zliczywszy było zegarów czternaście.

Zmudnej téj pracy dokonał w przeciągu dwóch lat i z pewnym tryumfem w sam dzień Przemienienia Pańskiego wystawił za okno, aby ziomkom swoim dać świadectwo swojej pracy i swego talentu.

Mieszczanie tłumnie zebrali się pod oknem, zachwycali arcydziełem swego dawnego burmistrza i podziwiali cały

mechanizm z t \acute{e} m uprzedzeniem, że drugiego w całym świecie nie ma!

Przy czternastu jednak odosobnionych organizmach niepodobna było, aby wszystkie zegarki pokazywały jedną i t \acute{e} samą godzinę. Osobliwie zegar, umieszczony w dolnej kuli wahadła, turbowany był zawsze pewnym ruchem nienaturalnym, co mu również w jego własnych ruchach przeszkadzało. A to było powodem, że raz szedł za p \acute{r} ędko, drugi raz za powoli, stosownie do przeszkód, które zwalczać musiał; a co najgorsza, że nie dał się regulować, i żadnych stałych praw nie uznawał.

Otóż niezgoda ta pojedynczych organizmów w powszechnym zegarze dała powód piekarzowi, że utwór ten Marcina Tarły uważał za dzieło tendencyjne, wymierzone przeciw nowemu burmistrzowi.

Miał to być żywy obraz niefortunnego systemu rządowego nowego ministra, który całe państwo, składające się z różnych osobnych organizmów chciał urządzić według jednego strychnulca!

Interpretacya ta piekarza znalazła odgłos w całym mieście. Jaki taki dorzucał swoje uwagi, rozszerzając coraz więcej pierwotną myśl piekarza. A byli nawet i tacy, którzy w najwięcej dziwaczającym zegarze wahadłowym widzieli obraz nowego burmistrza, który nigdy nie wiedział, kiedy była prawdziwa godzina.

Głosy te rozchodziły się coraz więcej po mieście i zwróciły wreszcie uwagę now \acute{e} j władzy.

Naczelnik miasta sam stanął pewnego dnia pod oknem zegarmistrza, sprawdził fakt karygodny i za pomocą trzech pachółków kazał wyjąć zegar z za okna i do urzędu jako *corpus delicti* odstawić, motywując swoje postępowanie paragrafem kodeksu, gdzie jest mowa o zamachu na całość państwa!

Co się stało z t \acute{e} m arcydziełem byłego burmistrza o t \acute{e} m milczy kronika miejscowa. Sprawy tego rodzaju ciągnęły się zazwyczaj bardzo długo. Tyle tylko wiadomo, że Mar-

cin Tarło wcale do kałauzu nie poszedł, tylko prawdopodobnie z wolnej nogi na zarzuty o zamach na państwo odpowiadał.

Zegar jednak nie pokazał się więcej w oknie. Gdzie się podział, nikt o tém nie wiedział. Zdaje się, że między nowym a byłym burmistrzem miasta stanęła prawdopodobnie jakaś umowa prywatna, w skutek której ta gorsząca sprawa porządku publicznego pocichu załatwioną została.

W oczach opozycyi zyskał od tego czasu były burmistrz bardzo wiele. Piekarz często z nim rozmawiał, a nawet szlachta okoliczna znosiła do niego wszystkie stare graty do naprawy, aby tym sposobem dać mu swoją sympatyę w walce z nowym burmistrzem do poznania.

Marcin Tarło nie uważał jednak roli swojej za skończoną. Każdy inny mógłby zadowolić się odniesionemi laureami na polu sprawy publicznej, tém bardziej, że te laury czy raczej ciernie przynosiły mu dosyć znaczny zarobek. Dowodziło to, że był charakteru niepospolitego.

Zaledwie bowiem stratę swojego arcydzieła potrosze przeboleał, do czego również w tym czasie i strata ukochanej małżonki się przyczyniła, postanowił po roku żałoby powetować poniesione straty. W tym celu wstąpił w powtórne związki małżeńskie i rozpoczął na nowo myśleć o nowém arcydziele sztuki zegarmistrzowskiej, któraby dawniejszy zegar daleko przewyższała.

III.

Perpetuum mobile.

Od tego czasu stał się Marcin Tarło mocno zamyślony. O czém myślał, nikt nie wiedział. Były wprawdzie różne domysły, ale istotnej prawdy nikt nie mógł się dowiedzieć. Zegarmistrz bowiem był skryty, i nikomu z swoich myśli się nie zwierzał. Nawet małżonka prawdopodobnie o niczém nie wiedziała.

Zauważono tylko, że od niejakiego czasu sprowadzał Tarło z zagranicy różne cyrkle i miary, zakupywał najrozmaitsze pilniki i pilniczki a nawet sprawił sobie toczydło do mosiądzu.

Ciekawi mieszczanie zaglądali często w południe, gdy Tarło był przy obiedzie, przez okno do jego warsztatu, ale z pozostawionych na stole narzędzi niczego nie mogli się dowiedzieć.

W średnich wiekach padłaby może na niego kalumnia o czarnoksiężtwa; tyle bowiem leżało tam jakichś figur zakazanych, tyle stało tyglów do topienia kruszców zagadkowych.

Piekarz puścił nawet raz na miasto pogłoskę, że Tarło, jak drugi Archimedes przemyślał nad zniszczeniem rządów nowego burmistrza za pomocą głęboko obmyślonych narzę-

dzi. Zyskało to mu u malkontentów nowe laury, i jaki taki ścisnął mu z pewnym znaczeniem rękę.

Pewnego razu jednak wykryły się tajemne zamiary zegarmistrza. Przyszedł do księdza proboszcza, w erudycję którego wierzył jak w Pana Boga na niebie i po niejakiem czasie odezwał się doń w te słowa:

— Szanowny dobrodzieju! Wiem, że wiele wiesz z książek, których ja nigdy nie czytałem, dlatego odpowiesz mi na niektóre pytania, na które sam sobie w żaden sposób odpowiedzieć nie mogę!

Proboszcz poczęstował go tabaczką, podał mu stołek i złożył uszy do słuchania:

— Powiedz mi najprzód dobrodzieju, czém to się dzieje, że na świecie jest taki ruch regularny od wieków. Jeden dzień świta i zachodzi, drugi powstaje, za drugim trzeci, czwarty i piąty!

— We wszystkiém tém jest wola Boża, panie Marcinie,—odpowiedział proboszcz.

— Wola Boża!.. Przy każdym ludzkim dziele jest także wola człowieka, ale woli téj musiał człowiek nadać pewną podstawę, która się opiera o rzeczywiste siły. I ja gdy chcę zrobić zegarek, nie dosyć jest mojej woli, ale muszę obliczyć i wypilować kółka z mosiądzu, i dać im wewnątrz sprężynę. Świat zaś kręci się i rusza ustawicznie, a przecież żadnej w nim nie widać sprężyny, którąby nakręcać trzeba. Musi więc istnieć jakaś siła, jakieś wyrachowanie, które ten wieczny ruch sprowadza!

— Widzę mości Marcinie,—odpowiedział proboszcz,— że przemyślisz nad rzeczą niepodobną. Lata ci to po głowie, co już niejednemu przed tobą dokuczycyło. Chcesz po prostu zrobić tak zwane „*perpetuum mobile*,” któreby się wiecznie ruszało bez żadnej siły widocznie do tego użytej! Ale to być nie może!

— To być nie może?—wykrzyknął zegarmistrz i zarumienił się jakby go na gorącym uczynku schwymano—to być

nie może? Dlaczego to być nie może? Wszak słyszałem o pewnym zegarmistrzu...

— Wszystko to bajki, panie Marcinie! *Perpetuum mobile* jest tylko mrzonką a niczém więcéj. Sama nauka sprzeciwia się temu. W świecie fizycznym jedna siła zużywa drugą i póty tylko jest ruch, póki jéj nie zużyje. Potém następuje spokój. Jeżeli zegara nie nakręcisz, to stanie i żadne kółko się nie ruszy!

Zegarmistrz uśmiechnął się z politowaniem nad człowiekiem nauki i przytoczył proboszczowi kilka przypadków o nadzwyczajnych wynalazkach, jakie prości ludzie poczynić mieli.

Daremnie proboszcz argumentował nauką i doświadczeniem, zegarmistrz widocznie słowom jego nie wierzył. Bez żadnych wyższych nauk był tego przekonania, że samą myślą można przyjść do rezultatów, do jakich nauka nawet nie doprowadza. W tym względzie trudna była z nim rozprawa.

— Nawet widzisz kochany panie Marcinie, — mówił proboszcz w zapale, — nawet i ten świat, który tak podziwiasz nie jest wieczny, jak sobie wyobrażasz. Pan Bóg nawet nie stworzył tego, co ty stworzyć usiłujesz! Świat, według słów Pisma Świętego, będzie miał koniec jak wszystko co doczesne. Więc między światem a twoim zegarem jest tylko ta różnica, że świat nakręcił Pan Bóg raz na kilkanaście wieków, a twoje zegarki co dzień albo co tydzień się nakręcają!.. Tylko Bóg jest wiecznym!

Tarło posmutniał po tych słowach. Nie długo jednak trwał ten smutek. Człowiek nieugięty w swoich zamysłach nie tak łatwo się poddaje. I zegarmistrz nie poddał się. Z uśmiechem rzekł do proboszcza:

— Ja tam na słowa z szanownym dobrodziejem mierzyć się nie potrafię. Daję jednak słowo honoru, słowo przeciwnego mieszczanina, że nim miesiąc dwa razy w pełni zajdzie, przyjdę tutaj z moim nowym wymysłem, który dobrodziej „*perpetuum mobile*” nazywasz! Tak mi dopomóż Panie Boże!

Od téj rozmowy z proboszczem jeszcze bardziej odosobnił się zegarmistrz od ludzi. Po całych dniach i nocach przesiadywał w swoim warsztacie pomiędzy swemi tajemniczymi narzędziami.

Razu jednego schwytał go piekarz na gorącym uczynku. Powracając późną nocą do domu, obaczył w warsztacie zegarmistrza światło przez szparę w okiennicy. Przyłożył do téj szpary oko i widział jak zegarmistrz zamyślony siedział przed kółkiem mosiężném, które się długo obracało.

Kółko to było grube i mogło ważyć kilka funtów. Wkoło zamiast zębów miało klapy, które się w ciągu ruchu same odmykały i zamykały. Rozumie się, że wymysł taki przyczyniał się do utrzymywania ruchu w sposób bardzo dowcipny. Klapy bowiem ruchome przez swoją ciężkość otwierały się, gdy kółko na dół dążyło a zamykały się natomiast u góry: tym sposobem zmieniał się ustawicznie w ruchu obłak koła, a tem samém i punkt ciężkości, do którego ruch dążył.

Taki przyrząd utrzymywał w ruch puszczone koło dosyć długo w tymże ruchu, a nawet zdawało się, że nigdy kręcić się nie przestanie. Po niejakiem jednak czasie ustawał ruch wszelki, ale Tarło nie brał tego za konieczność fizyczną każdego kółka, ale po prostu widział w tém tylko niedokładność swojej roboty i wyrachowania: był przekonany, że do celu dojść musi.

Piekarz widział go tylko zamyślonego nad tém kółkiem, ale coby to kółko oznaczało, o tém nie wiedział. Przypuszczał jak zawsze pewną polityczną tendencję téj robocie byłego burmistrza, któremu, jak mniemał, nowe rządy dzisiejszego naczelnika w nocy spać nie dawały.

I znowu po mieście rozeszły się dziwaczne wieści o nocnych robotach zegarmistrza, a najbliżsi przyjaciele piekarza oczekiwali z dnia na dzień niecierpliwie tajemniczego dzieła w oknie, w którym niegdyś takiego hałasu narobił ów zegar o czterestu osobnych organizmach.

Jakkolwiek wieści te tylko pomiędzy przyjaciółmi krążyły i do tego pocichu do ucha były szeptane, władza miejscowa dowiedziała się jednak o nich i poczuła się do obowiązku wejść do domu zegarmistrza w nocy z trzema latarkami, aby go *in flagranti* pochwytać.

I rzeczywiście pochwycono Marcina Tarłę na gorącym uczynku.

Była to właśnie północ. W pracowni zegarmistrza świeciła się mała lampka. Na stole stał aparat z owym kółkiem nieszczęsnym, a przed nim siedział jak zwykle mistrz głęboko zamyślony.

Kółko puszczane w ruch i należycie oliwą napuszczone obracało się jakby na nieszczęście tak gładko i długo jak nigdy! Zegarmistrz był zachwycony. Ktokolwiek znał człowieka z pewną manią do czegoś, ten łatwo sobie wyobrazi, w jakim stopniu ekstazy był biedny zegarmistrz, gdy się widział już blizkim celu najgorętszych swoich pragnień. Gdyby mu kto strzelał nad uszami, nieby w tej chwili nie słyszał!

Kółko kręciło się już cały kwadrans i minut kilka. Ruch jego był jeszcze równy i szybki. Nie widać było na nim żadnego zmęczenia. Jasne punkta, które pochodziły od odbicia światła, stały jeszcze prawie nieruchomie w jednym i tym samym miejscu, co oznaczało, że się ruch nie zmniejsza.

Serce biło zegarmistrzowi coraz gwałtowniej. Oczy jego wpiły się w ruchome kółko, uszy chwytały szelest, który ruch sprawiał, a który był dotąd jednostajny i zupełnie równy...

Wtém nagle zakołatano do drzwi: trzy latarki za-
błysły u progu.

— Otworzyć! — wołał głos pachołka, — który dawniej był pachołkiem u zegarmistrza.

Gdyby zegarmistrz miał w tej chwili wszystkie zmysły do swego rozporządzenia, mógłby wiele medytacji odbyć nad znikomością władzy ludzkiej.

Ten sam pachołek, który za jego burmistrzostwa z odkrytą głową przed nim stawał, wołał dzisiaj głosem rozkazującym: Otworzyć! Natychmiast otworzyć, bo drzwi rozbiję!

Również mógłby długo medytować zegarmistrz nad charakterem ludzi publicznych, do których oczywiście ów pachołek należał, a którzy za pieniądze temu lub owemu systemowi rządzenia z jednaką wytrwałością służą! Jakże gorzkie mogły być jego myśli przy tej sposobności?..

Zegarmistrz jednak wcale o tém nie myślał. Zachwycony patrzył na obracające się kółko, po nad które nic go w tej chwili nie obchodziło! On nic nie słyszał, nic nie widział!

Pachołek świadom zamków dawnego swego pana otworzył sam drzwi i wtargnął do sieni.

— Otworzyć! — krzyknął teraz tuż pod drzwiami zegarmistrza, które były zamknięte.

Zegarmistrz jak drugi Archimed nie zważał jeszcze na krzyk nowego nieprzyjaciela. Kółko ciągle się obracało. Ruch był jeszcze równy i jednostajny... szelest ruchu ten sam co przed kwadranssem.

— Otworzyć, bo drzwi wyłamie!—krzyknął znowu ten sam głos pachołka.

— Zaraz, zaraz!— odpowiedział cicho zegarmistrz, aby ruchu nie wstrzymać oddechem.

— Cóż tam znowu?—ozwał się głos drugiego pachołka—przychodzimy w imieniu władzy!

— Powiedziałem że zaraz!—odparł znowu Archimed nie odwracając oczu od kółka.

— Natychmiast!—wołano znowu z sieni.

— Tylko pięć minut jeszcze!—była odpowiedź z warsztatu.

Oczywista że zegarmistrz nie był w bezpiecznej skórze. Coś tam było co zapewne chciał ukryć, do czego potrzebował nieco czasu. Inaczéj wysłany z pachołkami urzędnik nie mógł sobie tej zwłoki wytłumaczyć, a to tém bardziej, że w imię władzy drzwi otworzyć trzeba.

Nie czekano więc owych pięciu minut, który to czas wyprosił sobie zegarmistrz do kapitulacji, tylko wzięto warsztat szturmem nie szcędząc ani drzwi ani rąk własnych.

— Tam do kata! co pan robisz?—krzyknął urzędnik stojący mu nad karkiem.

Zegarmistrz przyłożył palec do ust na znak milczenia, a drugim wskazał na kółko.

Zdziwiony urzędnik stał niejaki czas, patrzył to na zegarmistrza, to na kółko, spojrział z ukosa kilka razy po kątach, gdzie nic nie zobaczył a wreszcie oznajmił gospodarzowi, że idąc z patrolem ujrzał światło w warsztacie i mniemał że się pali.

Zegarmistrz podziękował urzędnikowi i pacholkom za ich życzliwą przychylność, powiedział im „dobra noc” i zawrócił się do swego „*perpetuum mobile*”, ale kółko już się nie obracało!

W następnych dniach próbował jeszcze kilka razy wprawić kółko w ruch, ale kółko kaprysiło teraz i po kilku minutach stawało zupełnie.

Tydzień cały pracował jeszcze nad udoskonaleniem swego pomysłu, ale już nadaremnie. Był przekonany, że ów urzędnik podpatrzył jego tajemnice owój nocy i urzekł jego dzieło.

Z każdym dniem począł coraz więcej tracić nadzieję, że dzieła swego dokona. Myśl ta bolesna, to zwątpienie okropne, które tylko wyższe umysły przy kreacyach swoich czują, pochyliło go do ziemi, a lice jego odziało w zmarszczki smutku i boleści.

Zdawało mu się, że z tego świata zejdzie bez chwały jak zchodzą miliony, nie zostawiwszy po sobie żadnej pamiątki! Ludzie zapomną o nim i nikt z potomności nie zapyta się gdzie to jest ten dom, w którym mieszkał ongi Marcin Tarło, były burmistrz z wolnego obioru mieszczan!...

W tych dniach smutku i boleści zaszedł w domu jego wypadek, na który przy zmartwieniu swoim zrazu nawet mało uwagi zwrócił: małżonka powiła mu syna.

A kiedy chrześcijańskim obyczajem małe dziecko do kościoła zaniesiono, uśmiechnął się ksiądz proboszcz, pogłaskał dziecko po pięknej delikatnej twarzy i rzekł do Tarły:

— Mości Marcinie, stawiasz się w słowie. Właśnie jutro drugi raz księżyc w pełni zaświeci od czasu naszej ostatniej rozmowy; przyobiegałeś mi „*perpetuum mobile*:” ten żywy, ruchliwy chłopiec, to istne „*perpetuum mobile*.”

Zegarmistrzowi tak się ten koncept proboszcza podobał, że się na głos rozplakał z radości, i przysiągł przy pieluchach syna, że już odtąd o żadnym sztucznym „*perpetuum mobile*” myśleć nie będzie, posiadając je żywe, zdrowe i ładne!

— Ale zaczekaj wasze—ozwał się proboszcz—trzeba pierwój odpędzić złego ducha, aby go nie wiódł zdrożnymi ścieżkami żywota!.... Trzeba to „*perpetuum mobile*” ochrzcić!.... Jak chcesz aby się w pielgrzymce ziemskiej nazywał?

— Stefan!

— Stefan? Dobrze! Jest to patron niepośledni, w młodym wieku ukamienowany!... Zrobimy nad nim krzyż święty, aby świat zły i przewrotny również nie zabił go tak młodego!....

I nastąpiła ceremonia chrztu świętego.

Zegarmistrz płakał z radości i rozrzewnienia. Mały Stefuś bowiem kręcił się na wszystkie strony, jakby chciał naśladować owe kółko fatalne, które ojcu tyle zmartwienia przyniosło.

— Dalibóg, patrzcie Michale!—wołał szczęśliwy ojciec ze łzami—czyż to nie istne „*perpetuum mobile*” nad którym przez długie lata pracowałem?...

Zegarmistrz był tego dnia najszczęśliwszym z ludzi, bo miał już jak powiadał, swoje „*perpetuum mobile*...”

IV.

Stłuczone okulary.

W życiu zegarmistrza nastały teraz dni ciche i spokojne, o których w mieście nawet nic nie mówiono. Kronika miasta zupełnie je pomija. Twierdzą uczeni, że milczenie historyi o jakimś narodzie jest dowodem jego szczęścia wewnętrznego; otóż i zegarmistrz był prawdopodobnie szczęśliwy, jeśli z tych dni nic po nim w pamięci ludzkiej nie zostało.

I miał być rzeczywiście szczęśliwym. Stefuś bowiem zastąpił mu zupełnie ową ulubioną jego rozrywkę, bo był tak żywy i ruchliwy jak wymarzone jego „*perpetuum mobile!*”

Był to chłopczyna nadzwyczajnej urody. Miał duże, ciemno-szafirowe oczy, twarz białą i regularnych rysów, a włosy jasnego koloru, które w naturalnych pierścieniach spadały mu na czoło; a co do całej postaci, mógł śmiało malarzowi służyć za model do aniołka.

Zegarmistrz całymi dniami wpatrywał się w swego jedynaka. Na jego widok pierzchała przed nim myśl dawna, aby jakie wiekopomne dzieło sztuki zegarmistrzowskiej po sobie zostawić. Uważał ją teraz za przystęp grzesznej pychy i rozumował w duchu, że stokroć zaszczytniej jest zostawić po sobie człowieka cnotliwie wychowanego, któryby

z korzyścią dla społeczeństwa kontynuował dalej poczciwy żywot swoich rodziców.

Tém uspokoił się były burmistrz miasta i wszelkie swoje dawne myśli i projekty, nie wyłączając nawet owego zegaru z czternastoma organizmami, uważał poprostu za czas stracony, z którego kiedyś przyjdzie mu zdać rachunek w dniu ostatecznym!

Dla sąsiadów otworzył teraz swój dom gościnnie, a kunsztem swoim trudnił się tylko o tyle, o ile on przynosił mu zarobek rzeczywisty. Dawna emulacya z mistrzami zegarów strasburskiego i ołomunieckiego zupełnie go odstąpiła i bardzo mu dobrze teraz z tém było, że został napowrót człowiekiem zwyczajnym, zostawiając innym laury nieśmiertelności!.. On już w Stefusiu swoim widział się nieśmiertelnym, w czém go małżonka i proboszcz utwierdzali.

Wywdzięczając się za te wszystkie ofiary, jakie dla niego ojciec ponosił, rośł Stefus dosyć sporo i z każdym miesiącem tłukł coraz więcej szyb w oknie i szkiełek od zegarków.

Ojciec z rozrzewnieniem opowiadał sąsiadom o tych postępach swego jedynaka i płakał z radości, gdy razu jednego udało się Stefusowi rozłuc olbrzymią banię szklaną, którą ojciec zwykł w sobotę wszystkie porozbierane zegarki ryczałtem nakrywać.

— Patrzcie—mówił do piekarza—ten pewnie nie da się zjeść w kaszy!

— Jak nieprzymierzając zjadł ojca nowy naczelnik miasta!—odpowiedział złośliwie piekarz.

— Cyt! dajcie spokój! — ozwał się pocichu spokojny mieszczanin—dobrze że i tak się stało. Mogłoby być gorzej. Wam tylko gadać byle co! Trzeba rzeczy tak znać jak ja je znam!

Podczas téj rozmowy popisał się znowu Stefus swoją żywością, i stłukł ojcu okulary.



— Mój Boże! Znowu stłukł mi okulary, przez które dwadzieścia ośm lat na świat patrzyłem! — zawołał zegarmistrz i smutno zadumał się nad szkłem rozbitém!

— Tak, to prawda — odparł piekarz bezdzietny — kiedy człowiek ma rodzinę, to już innemi oczami musi na świat patrzeć! Dawne okulary już do niczego! A najlepiej wtedy jest, nic przed sobą nie widzieć!

Stary zegarmistrz chciał właśnie nad temi słowami się zamyślić, gdy do domu weszło kilku mieszczan. Mieszczanie byli coś zaturbowani i mieli jakiś papier w rękach. Po krótkim przywitaniu opowiedzieli byłemu burmistrzowi, że nowy rządca miasta gwałci jego zwyczaje i przywileje, a nawet targnął się na nietykalność miejskich patrycyuszów, wsadziwszy jednego z nich do kałauzu. Taki gwałt popełniony na swobodach miasta wymaga koniecznie skargi do władz wyższych i z taką skargą przyszli właśnie do niego, aby ją podpisał.

Były burmistrz poskrobał się w głowę, zaprosił sąsiadów aby usiedli i ozwał się:

— Wierzę, że w mieście teraz dzieją się rzeczy niesprawiedliwe, ale cóż robić. Głową muru nie przebijemy! Trzeba cierpieć i kwita! Tak wam radzę i wy tak zróbcie!

— Lepiej byłoby panie Marcinie — ozwał się na to piekarz — abyście nad jakim arcydziełem waszego kunsztu do dziś dnia pracowali, niżeli dostaliście owego jedynaka, który już wam cały świat zawiązał! Dawniej przecież myśleliście coś i o sprawie publicznej, a teraz widzicie tylko jedynaka i nic więcej! To prawda, stłukł wam okulary, przez które patrzyliście na świat przez dwadzieścia ośm lat!..

— Otóż dlatego — odparł żartobliwie zegarmistrz do sąsiadów — nie podpiszę owego zażalenia, bo nie mam okularów, a bez okularów nic a nic nie widzę! Gdyby kto z was przez lat czterdzieści dłubał w zegarkach!..

— Nie okulary, nie okulary, panie Marcinie — wtrącił złośliwie piekarz — ale jednak wam oczy zamąci!

— Jeśli tak chcecie, niechże i tak będzie! Jeśli się ma jedynaka, to wolno człowiekowi sobie spocząć. Zawsze ma się tu wymówkę, że co ojciec zrobić zaniedba, to syn potem za niego zrobi! Wy tego powiedzieć nie możecie!

— Daj Boże, daj Boże!—odpowiedział piekarz—aby słowa wasze sprawdziły się!

— Pozwolicie—ozwała się pani Marcinowa—że ja za mego syna odpowiem. Nie wiem, coby on miał w tym świecie do robienia. My damy mu edukacją, aby czemś więcej mógł być aniżeli mieszczaninem.

Piekarz na te słowa postawił marsa, sąsiedzi wzięli skargę i czapki do rąk, ale Tarło nic nie odpowiedział, bo już nie miał okularów, przez które lat dwadzieścia ośm na świat patrzył!

Po tej rozmowie płynęło znowu życie obojga małżonków spokojnie i szczęśliwie. Całym ich światem był jedynak. Pani Marcinowa wymyślała różne sukienki a szczęśliwy zegarmistrz własną ręką piłował różne sprzączki, które te sukienki w malowniczy sposób spinały.

Stefuś był wierny swemu pochodzeniu. Urodziwszy się w tym czasie, kiedy ojciec nad swoim „*perpetuum mobile*” przemyślał, zastępował mu wiernie jego utraconą mrzonkę. Obracał się nieustannie jak fryga na wszystkie strony, tarzał się po ziemi, wyrzucał nogami i rękami targając sukienki i łamiąc sprzączki. Ojciec płakał z radości patrząc na jedynaka, matka dostawała spazmów, a jeśli który sąsiad wskazał na ulicę, gdzie Stefuś tarzał się w piasku i zauważył że takich rzeczy dziecku pozwalać nie można, pan Marcin wytrzeszczał do okna siwe swoje oczy i mawiał:

— Nic nie widzę! Syn stłukł mi okulary i dotąd jakos dobrać sobie nie mogę!

I tak stłuczone okulary były powodem iż pan Marcin wiele rzeczy nie widział!

Pani Marcinowa utrzymywała, że to właśnie tylko na korzyść jedynaka wypaść może. Chłopiec bowiem młody potrzebował wszelkiej swobody, aby zdrowo wyrość i należy-

cie się rozwinąć. Rygor rodzicielski według jęj opinii nie prowadził do niczego. Tworzą się tym sposobem świętoszki, ludzie skryci i złośliwi, podstępni i zawzięci. Jak go Bóg stworzył, niech takim człowiek będzie!

Pan Marcin nigdy się małżonce swojej w niczem nie sprzeciwiał a tém bardziej w kwestyi jedynaka, o którym miał to wyobrażenie, że po ochrzczeniu przez księdza proboszcza jest najwyższą doskonałością!

Było to poniekąd z niemałą korzyścią dla Stefusia. Przynajmniej fizycznie rozwijał się dobrze a w towarzystwie swoich równienników zostawiony był własnemu przemysłowi, radząc sam sobie jak mógł!

Taki tryb życia nie wskazywał mu wprawdzie dróg, jakimi młody chłopiec iść powinien, ale za to rozwijał jego umysł, który sam tych dróg szukać musiał.

Dotąd radził sobie jak mógł. Jeśli ujrzał chłopca słabszego, to niezawodnie nań uderzył i pokonał go. Przed silniejszym miał respekt i starał się nawet o jego przyjaźń, chociażby był przekonany że tenże jego przyjaźni nie jest wart! A jeżeli trudno było o przyjaźń, to unizył się i był jego sługa.

Nieświadomie grały w nim instynkta panującej wieku XIXgo idei!

Kiedy z progu ojczystego domu patrzył na rozległy, nieregularny rynek miasta, kiedy poza dachami pierwszych kamienic widział inne dachy, daszki i kominy, nachodziła go chęć szukania do tych kominów różnych dróg, jakimi dotąd jeszcze nie szedł, a które przecież tam zaprowadziłyby go mogły.

I tak co kilka dni wybierał sobie jakiś fantastycznie wyglądający komin, kreślił w powietrzu najbliższą do niego drogę i tą drogą puszczał się w nadziei, że do celu zdąży.

Dziwiło go jednak nie mało, że chociaż do mety już się zbliżył, nigdy jednak upatrzonego komina nie ujrzał. Dnia jednego tak go to rozgniewało, że zapytał swego nauczyciela który go abecadła uczył.

Pedagog miasta był to człowiek stary, wziął zapytanie chłopca na seryo i odparł z namaszczeniem:

— Gdy będziesz większy, mój Stefusiu, to poznasz, że w życiu człowieka jest wiele rzeczy, które z daleka tylko widzimy, a gdy się do nich zbliżymy, to nikną nam z oczu naszych jak niknie mgła poranna!

— A co to za rzeczy, które tak nikną?—zapytał Stefus wydzierając literę z abecadła.

— Rzeczy te nazywają się ideały!—odpowiedział z powagą pedagog.

— Ideały?—powtórzył Stefus patrząc z zadziwieniem na uczonego starca—ja pytałem o kominny!

— To wszystko jedno mój Stefusiu—mówił dalej niezdeteterminowany pedagog—czém dzisiaj dla ciebie są te kominny po drugiej stronie miasta, tém będą dla ciebie gdy dośrońiesz twoje... ideały!

Stefus wydarł drugą literę z abecadła, ale pedagoga nie zrozumiał. Pedagog mówił dalej:

— Ideały są to rzeczy, które nam się bardzo podobają; ale podobne one są do tych kominów: z daleka widzisz je dobrze, ale gdy przyjdiesz pod kamienicę, to one znikną od ciebie!

Stefus zabierał się do wydarcia trzeciej litery. Pedagog uderzył go po ręce i prawił dalej:

— Czyś jeszcze mnie nie zrozumiał? Nie wiesz jeszcze co są ideały?... Cóż się naprzykład tobie najwięcej podoba?... Pomyśl dobrze i powiedz mi.

Stefus wydarł ukradkiem trzecią literę, podczas gdy pedagog tabakę zażywał, przy czém zawsze oczy zamykał i odpowiedział:

— Mnie najlepiej podoba się... Paulisia Gewontówna!

— Paulisia Gewontówna?—powtórzył pedagog i widocznie zakłopotany zażył powtórnie tabaki.—Paulisia Gewontówna?... hm, hm... widzisz Stefusiu... to także jest... rodzaj ideału!

— Więc ideał jest żeńskiego rodzaju!—rzekł Stefuś popisując się nabytą od pedagoga nauką.

Pedagog zgromił Stefusia za tę odpowiedź i zakazał mu ostro, żeby w ten sposób nigdy nie mówił.

Na tém skończyła się pierwsza nauka o ideałach. Stefuś nieprzyzwyczajony do surowych napomnień zaczął płakać, na co wyszli z drugiej izby rodzice, jako wyższa instancja.

— Stefuś wygaduje głupstwa! Wart różgi!—wniósł zaskarżenie pedagog.

— Ja przecież to tylko powtarzam, czego się od pana profesora ucze—replikował Stefuś!

— Komuż to tak odpowiadasz?—gniewnie zawołał ojciec—a gdzie jest różga?

I wziął się surowy ojciec do szukania różgi, ale jój nie znalazł, bo nie miał... okularów!

Mała ta chmurka na horyzoncie domowym przemieęła bez żadnch bolesnych następstw. Stefuś zapomniał o małej polemice z pedagogiem, a zapomniał tém łatwiej, gdy do izby weszła Paulisia córka sąsiada, z którą lubił się bawić w różne gry.

Zegarmistrz wystrofowany przez żonę, że ma tak okrutne serce dla swego jedynaka, uczuł wyrzuty sumienia za swoją srogość ojcowską i sownie wynagrodził Stefusiowi tych kilka łez, które z powodu kwestyi o ideałach spłyęły z jego pięknych, ciemno-szafirowych oczu.

Szczęśliwy ojciec przyłączył się do zabaw swego syna, łapał z nim piłkę, chował się za piec, a nawet położył się na ziemi i udawał konia, na którym Stefuś galopował przez czas długi, podcinając go od czasu do czasu batożkiem. Paulisia śmiała się serdecznie i pomagała Stefusiowi jak mogła.

Rozmowa jednak o kominach i ideałach wracała często do pamięci Stefusia, osobliwie gdy na progu siedział i na kominy przeciwległych domów patrzył. Dziwiło go porównanie pedagoga tych kominów do Paulisi. Przecież Paulisia

nie miała najmniejszego podobieństwa do nich. Kominy uciekały od niego, gdy się do kamienicy zbliżał, a Paulisia nie tylko od niego nie uciekała, ale owszem sama przychodziła, bawiła się z nim, opierała się o jego ramię i patrzyła w jego ciemno-szafirowe oczy!

Tych sprzeczności między Paulisią a kominami, czyli jak pedagog mówił ideałami, nie mógł Stefuś w żaden sposób pogodzić, choć sobie często głowę nad tém mozolił.

Wreszcie nie stało czasu na takie luźne myśli, bo teraz po pierwszych przygotowaniach wstąpił Stefuś w nowym ubiorze do szkoły publicznej, w której trzeba było z rękami na ławce siedzieć przez sześć godzin.

Było to zrazu wielką męką dla rozpieszczonego jedynaka, ale później odkryły się także niektóre przyjemności nowej sytuacji: zgromadzenie bowiem chłopców było liczne; professor na uczniów patrzył przez palce: można było bić się i różne figle płać, które niejako były popisem tych nowych gladiatorów.

I tak minęły trzy lata, kilkanaście księzek poszło w kawałki, i byłoby się na tém skończyło, gdyby nie matka, która chciała swego jedynaka wy kierować na coś lepszego w świecie, aniżeli na prostego mieszczanina.

To też sprawiono Stefusiowi nowy ubiór, zaczesano mu porządnie włosy i oboje rodzice wywieźli go na początku pięknej jesieni do miasta obwodowego, gdzie go opiece pewnego niższego urzędnika powierzono.

I tak mijał rok za rokiem, Stefuś zdzierał jeden ku-brak po drugim, co roku przyjeżdżał do domu, bawił się z Paulisią a przytém patrzył także i na kominy i utwierdzał się w pierwotnych swoich myślach, że między Paulisią a kominami nie ma żadnego powinowactwa, bo gdy tamte za zbliżeniem się uciekają, to Paulisia nigdy od niego nie ucieka!

Wreszcie nadszedł taki rok, w którym jasno i zrozumiale wytłumaczono mu co to są ideały. I właśnie w tym roku, czy raczej po tém wytłumaczeniu zaszła w nim znaczna zmiana.

Stefuś przybladł trochę, oko jego zamgliło się jakąś tęsknotą, na brodę wysypał się złoty puszek.

Koledzy mieli go w podejrzeniu że wiersze układa.. Było to jednak podejrzenie niesłuszne, bo Stefan inaczej ideały życia pojmował. Nie chciał on się w żadne marzenia zasklepiać, choć mu powiedziano, że wszyscy wielcy ludzie od marzeń poczynali. Ideałem dla niego było życie i to co się w tém życiu zwykłym okiem widzi. Wszystko inne uważał za mrzonki: stanął więc od razu na gruncie realnym.

Stosownie do tego swego usposobienia obejrzał się wkoło siebie, o ile zgadza się z tém wszystkiém co go otacza; sądził bowiem, że do tego wszystkiego trzeba się zastosować.

Najprzód wpadła mu zewnętrzna postać ludzi, których miał naśladować. Uczył się chodzić, jak oni chodzą, ubierać jak oni się ubierają. Rozumie się samo przez się, że w tém naśladownictwie postępował coraz więcej zacząwszy od jakiegoś aplikanta z najeżoną czupryną a skończywszy na młodym księciu, który z gubernierem swoim z pobliskiego zamku do miasta przyjeżdżał.

Goniąc za takimi ideałami życia, popadł nieraz w wielką sprzeczność z rodzicami, bo te ideały kosztowały wiele pieniędzy i z zasadami byłego burmistrza wcale się nie zgadzały. Za to matka trzymała zawsze stronę syna, który wyglądał jak lalka wystrojony i dopomagała mu nawet pokątnie do tego, sprzedając jaki klejnocik domowy lub co się zdarzyło, bez wiedzy ojca.

Zegarmistrz ubytku w domu nie widział, bo okulary stłukł mu już dawno Stefuś, a nowych jeszcze dotąd nie mógł sobie dobrać do oczul...

Z takiego usposobienia Stefusia wypływało logicznie, że garnął się tylko do towarzystwa takich ludzi, którzy powierzchownością swoją odznaczali się od innych. Gdy ujrzał na jakim elegancie nowy tużurek, już starał się o jego przyjaźń, aby przy nim studyować tajemnice mody. Widział

bowiem że to u ludzi popłaca, i że strój zewnętrzny więcej znaczy niżeli dyplomy doktorskie.

Toż wkrótce, jeżeli nie prześcignął, to przynajmniej wyrównał pierwszym elegantom miasta obwodowego. U wielu kolegów był nawet wyrocznią w najdrobniejszych szczegółach mody.

Kobiety rozkosznie patrzyły za pięknym młodzieńcem, któremu strój elegancki jeszcze więcej wdzięku dodawał, i znały go wszystkie pod nazwiskiem: *ładny Stefuś!*

W obec takich sukcesów miasta obwodowego czém mogło być mu teraz miasto rodzinne? Gdzież było tam dla niego towarzystwo? A przecież potrzeba było choć kilka tygodni w domu rodzicielskim przesiedzieć w roku. A w tym domu było wszystko tak staroświeckie, tak zastarzałe..

Stefuś jednak radził sobie jak mógł w czasach tój pokuty. Dwa domy w mieście należały do wyższej miejscowej arystokracji: jeden był dom aptekarza, drugi pocztmistrza. Oba te domy nie miały wprowadzić kobiet, ale było kilku mężczyzn, z którymi mógł Stefuś chodzić po pod boki po rynku miasta.

I była to jedyna jego rozrywka. Codziennie koło południa można było widzieć nierozdzieloną trójkę w jasnych rękawiczkach, która głośno śmiała się i rozmawiała jakby koło nich miasta nie było.

Do tego towarzystwa przyłączali się czasem oficerowie od konnicy, którzy w pobliższej wsi byli rozkwaterowani. Oficerowie byli zazwyczaj ludzie młodzi i zamożni. Mieli ładne koniki i angielskie karykle. Mówiono o tém nieustannie, opatrywano konie i karykle, a Stefuś tak się przyzwyczaił do tych różnych akcesoryów życia ludzkiego, że po nad nie prawie nic więcej nie widział!

Nie widział nawet, że Paulisia, która teraz w dorosłą pannę dojrzała, każdym razem, gdy do miasta przyjeżdżał, sprawiała sobie nową sukienkę, i w niej po całych dniach w oknach domu swego siedziała. Nie widział wcale, jak jój oczy powoli posuwały się za nim gdy po rynku się przechadzał.

A nawet nie wiele widział i wtedy, gdy z babką do jego rodziców przyszła i różne rzeczy z czasów młodocianego wieku mu przypominała.

Stefuś nudził się w jej towarzystwie, odpowiadając na jej zapytania patrzył na rynek, kiedy pokaże się karykiel hrabiego Maszamarosz, lub przynajmniej siostrzeniec aptekarza.

Paulisia widocznie białe ząbki zaciskała z gniewu, ale to wszystko nic nie pomogło. Stefuś stracił zupełnie pamięć o zabawach dzieciennych, bo ideały jego latały gdzieś daleko ponad kominy miasta. Nawet stary piekarz był dla niego nieznośny, który snadź to przeczuł, bo razu jednego, gdy był sam na sam z sąsiadem, rzekł do niego:

— Patrzenie Marcinie, z kim to wasz jedynak chodzi po rynku! Dwóch oficerów i jakiś pędziwiatr! Nie wiem do czego go edukujecie, ale to przecież mi się nie podoba!

Stary zegarmistrz chciał przez okna popatrzeć i machinalnie posunął po stole, aby gdzie okulary namacać, ale okularów nie było, bo były dawno stłuczone!... Nic nie widział!

Matka zaś nie posiadała się z radości, że syn jej brata się z takimi osobami, do których żaden mieszczanin z czapką na głowie nie mógłby się zbliżyć! I słodko zamarzyła o jego przyszłości, budując dla niego zamki i pałace!..

Wreszcie skończyły się szkoły miasta obwodowego. Stefuś miał już dwadzieścia kilka lat. Stary zegarmistrz postanowił po długim wahaniu się aby Stefuś udał się na wszechnicę i tam na wydział prawniczy się zapisał.

Było to prawie nad siły starego zegarmistrza, ale żona wytłumaczyła mu, że Stefuś za tę edukację stokrotnie rodzicom wszystko wynagrodzi, a nawet o krewnych nie zapomni!

Stary Tarło zaciągnął więc dług na kamieniczkę i wyprawił syna do stolicy kraju.

Dzień ten wyprawy był dniem uroczystym w całym mieście.

Najprzód zamówił stary Tarło u proboszcza mszę świętą, na którą wszystkich krewnych i znajomych zaprosił. Po mszy wyprawił u siebie śniadanko sute dla wszystkich nabożnych.

Nawet aptekarz i pocztmistrz, którzy tylko w dni solenne w progi mieszczańskie wstępowali, raczyli przybyć na wielką prośbę pani Marcinowej, która własnoręcznie w tym celu napiekła placek i bułek.

Był także i piekarz stary, ksiądz proboszcz i Paulisia z babką.

Proboszcz był wesół i przypominał staremu zegarmistrzowi szczegóły chrztu Stefusia.

Rozmowa nastroiła wszystkich nader przyjaźnie, do czego również przyczynił się i węgrzyn. Wszyscy kochali się i ściskali, starzy płakali a młodzi śmiali się...

W obec tych afektów nie mógł i Stefuś pozostać nieczułym. Zbliżył się do Paulisi, która już długo tego czekała i opowiedział jój pierwszą swoją lekcją o ideałach i kominach.

Śmiali się oboje z téj lekcji, ale śród śmiechu jakoś coraz więcej zbliżali się do siebie, coraz głębiej patrzali sobie w oczy, a przez oczy gdzieś aż dalej...

— Pani masz prześliczną broszkę, szepnęła wreszcie Stefuś nachylony do Pauliny.

— Czy się panu podoba?— wyszeptała Paulisia—to pamiątka po babce, ale... mogę ją panu dać!

Stefuś patrzył z coraz większym ożywieniem jak prześliczne rączki Paulisi zabłąkały się w chusteczkę muslinową, w której była broszka utkwiona. Po raz pierwszy spostrzegł, że tak drobnój i gładko utoczonej rączki prawie nigdy jeszcze nie widział!... Różowe paluszki rozplątywały długo zawily węzeł chustki,... może zatrzymały się tam naumyślnie tak długo, aby Stefusia uwagę zwrócić na cudowny biust, który ta przezroczysta chusteczka na poły osłaniała...

Stefuś rzeczywiście widział skarby przed samym odjazdem, o jakich dotąd nie miał wyobrażenia... a może wła-

śnie dla tego wydały mu się tak piękne, że je za chwil kilka miał opuścić...

— Pamiątka nie chce jakoś odzepić się od... pani! —szepnął z ożywioną twarzą.

— Jeżeli tak samo pana trzymać się będzie, to będę za nią wynagrodzoną — odszepnęła mu Paulisia prawie do samego ucha, tak że czuł gorący jej oddech na skroni.

Tymczasem odzepiła się broszka i zsunęła się z wolna do ręki Stefusia.

Stefuś obejrzał broszkę ze wszystkich stron jakby jaki talizman.

— Cóżto za znaki na odwrotniej stronie? — zapytał pochichu — korona czy raczej mitra książęca... i herb...

— Herb Radziwiłłów! — odpowiedziała Paulisia z pewnym naciskiem.

Nie było czasu na dalszą rozmowę, bo proboszcz powstał i wszyscy poczęli się żegnać i Stefusiowi szczęśliwój drogi i wszelkiego szczęścia życzyć.

Stefuś uścisnął rączkę Paulisi a daną pamiątkę szybko schował.

Po tym uścisku zdawało mu się, że mu ubyło kilkanaście lat, że jest tak młodym jak wtedy, gdy z pedagogiem o idealach rozmawiał.

V.

Dom tajemniczy.

Najstarszy mieszczanin w mieście, kuśmierz Anastazy, który od lat dwudziestu w grobie spoczywał, opowiadał nieraz za życia, osobliwie gdy przy ciepłym piecu kozuchy naprawiał, dosyć szczególną historią, której był świadkiem naczynym. Osnowa téj historyi była następująca:

Za czasów wielkich niepokojów w kraju, gdy Anastazy był jeszcze małym chłopcem, przyjechała do miasta wielka bryka podróżna, wyładowana różnemi sprzętami. Na bryce siedział jakiś stary szlachcic w perłowym kontuszu z czołem podgoloném i długą szablą przy boku. Przy nim tuliło się małe dziewczę, które widocznie było jego córką lub wnuczką.

Bryka ta stanęła na środku miasta, tak jak to czasem cyganie stawać zwykli. Szlachcic rozścielił koło bryki jakąś derkę, z drugiej zrobił dach i tak przenocował.

Na drugi dzień obszedł całe miasto dokoła i wszędzie pytał, czy kto domu nie sprzeda. Oczywiście że nikt domu sprzedać nie chciał, bo dom dla mieszczanina to połowa jego życia.

Ale poszczęściło się szlachcicowi (tak go w mieście nazywano) że na drugi dzień umarła wdowa po bednarzu, a że

o sieroty zazwyczaj nikt nie dba, to opiekun sprzedał dom i zagarnął pieniądze, same złoto holenderskie do kieszeni.

Szlachcic zwinął derkę, zajechał z bryką do sieni i od-tąd mało kto widział go w mieście.

Zrazu nikt na to nie zważał. Przechodzono koło drzwi zamkniętych i nikomu na myśl nie przyszło zapukać tam i popatrzeć, co się wewnątrz dzieje. Zauważono tylko, że gdy żebrak jaki do bramy się zbliżył, wtedy do niego przez szparę wychyliła się biała rączka, a żebrak głośno prosił Pana Boga, aby na ten dom i jego mieszkańców zesłał jak najwięcej błogosławieństwa!

To też ludzie nic złego o tym domu nie myśleli wychodząc z zasady, że kto biędny jałmużnę daje, ten złym człowiekiem być nie może.

Stróż tylko nocny opowiadał swoim najbliższym przyjaciółom, że w domu tym albo co straszy, albo jakieś nieczyste dzieją się rzeczy. Każdej nocy bowiem, osobliwie gdy koguty na przedmieściu pieją, słycać za oknami jakiś szelest, a przez szpary okiennic widać migające światła.

Razu jednego, gdy stróż za słupem stał ukryty, otworzyła się brama tego domu i ta sama bryka, którą do miasta szlachcic przyjechał, wyjechała z sieni wysoko naładowana!

Stróż znowu powiedział o tém swoim znajomym, z czego urosły o tym domu w całym mieście najrozmaitsze pogłoski. Jedni utrzymywali, że lokator tego domu jest przywódcą bandy złodziejskiej, inni widzieli go przebranego za diabła niemieckiego, a największa część utrzymywała, że to po prostu jest fałszerz pieniędzy, który fałszowany towar bryką po świecie rozwoził!

Pogłoski te zmusiły wreszcie władzę miejscową do kroków policyjnych. Pewnej ciemnej nocy, gdy burza na świecie szalała, kilku pachołków wpadło nagle do sieni z latarkami, a ztamtąd do izby, z kąd wychodził ten dziwny szelest i to światło przyćmione.

I cóż obaczyli pachołkowie?... Oto, przy dosyc wielkim stole siedział stary szlachcic i—szył kozuch!

Pachołkowie przetrzęśli wszystkie kąty, ale nigdzie nie znaleźli tylko same — kozuchy!

Kiedy jednak wrócili do gospodarza, który przy kozuchu został w izbie, zastali go nieżywego! Tchnęła go apopleksya!... Umarł ze wstydu, że go zastano przy takiej robocie!

Kuśmierz Anastazy więcej nie wiedział, ale to co wiedział było istotną prawdą. O bliższe wyjaśnienia trudno, bo wyjaśnień tych nikt z tego domu nie dawał a pół wieku już dawno minęło jak się to działo. Jedna tylko zaufana przyjaciółka tego domu, również zagadkowego pochodzenia, wygadała się raz przed swoją sąsiadką o niektórych szczegółach tego domu.

Skorzystawszy z jej gadatliwości można sobie w następujący sposób tę całą tajemnicę wyjaśnić:

Ów podróżny, który tą bryką do miasta przyjechał, był to szlachcic z głębokiej Litwy, który się tutaj nazwał Gewontem. IMPan Gewont, jak utrzymywała przyjaciółka domu, należał na Litwie do bardzo dawnej i dosyć zamożnej rodziny. Był to człowiek dumny i nigdy tego niecierpiał, aby ktoś nad nim miał przewodzić; był przytem prawy i rzetelny jak rzadko.

W owym czasie zaczął broić po swojemu JPan książę Radziwiłł z Nieświeża, który do pomocy różnych swoich pomysłów zbierał wtedy ową znaną bandę albeńską.

Ponieważ Radziwiłł nie szczędził ani czapki, ani papki, więc banda albeńska rosła z dnia na dzień i jaki taki szlachcic cisnął się do stołu i do nóg pańskich.

Tym sposobem cały powiat już się zalbeńszczył, a nawet i pół-panki zaczęły zaciągać się do znaku pana na Nieświeżu: jeden tylko dworek szlachecki tuż niedaleko zamku zachował swoją niepodległość i głuchym był na wszelkie ze strony zamku admonicje.

Książę próbował najrozmaitszych sposobów, aby upartego szlachcica do bandy wcielić, ale nic nie pomogło.

Szlachcic odpowiadał, że na swojej zagrodzie równa się wojewodzie.

Szlachcicem tym był IMPan Gewont.

Gniewało to kapryśnego księcia. Próbował namowy ojca jezuity, próbował elokwencyi Wojskiego, próbował wreszcie gwałtu i kozaków swoich; ale wszystko nadaremnie: szlachcic stał jak opoka.

A gdy jeszcze i proces o grunt graniczny nic nie pomógł, wtedy nagle zmienił książę front i do szlacheckiego dworku wysłał swego marszałka zapraszając się w gościnę.

IMPan Gewont zwąchał zdradę. Przejrzał cały plan księcia. Książę chciał go po prostu swoją gością zrujnować i upokorzyć sądząc, że potem skłoni się do jego zamysłów.

Cofnąć się jednak nie pozwalał honor szlachecki: przed gościem domu zamykać nie wolno.

Odpowiedział więc marszałkowi, że jeśli książę jako przyjaciel, jako równy do równego przychodzi, to dom jego i serce jest otwarte na rozcień!

Niebawem wjechał książę do dworku z całą swoją świtą. Szlachcic uważał za punkt honoru przyjąć gościa po książęcemu: duma jego nakazywała mu tak.

I trwała uczta cały tydzień. Książę codzien całował szlachcica, żonie i dzieciom robił prezenty, a szlachcic kupował u lichwiarzy klejnoty i w dziesięciorakiéj wartości oddawał prezenty całemu książęcemu orszakowi. Słowem szlachcic chciał być równym wojewodzie!

I dokazał swego. Darami i ucztą przewyższył nawet księcia. Ale za kilka tygodni sprzedał wioskę, popłacił wino, bakalie i klejnoty, a z resztą wsiadł na brykę, aby książę i sąsiedzi jego ubóstwa i nędzy nie widzieli. I pojechał daleko, gdzie go ludzie nie znajdą.

Przyjechał więc do miasta, kupił za resztki dom, a przybrawszy nazwisko Gewont, rozpoczął tutaj nowe życie zupełnie nowego człowieka.

Z jedną rzeczą tylko nie mógł się pogodzić. Potrzeba było czémś na chleb zarabiać. Innéj rady nie było jak imać się rzemiosła, bo służyć nie pozwalała mu jego duma. Ale rzemiosło, według dawnéj rycerskiéj reguły, plamiło zawsze szlachcica, a nawet łokieć i miara.

To téż po długim pasowaniu się z sobą, postanowił wreszcie ukryć przed światem pracę swoją, do którój był teraz zmuszony. W nocy, przy zamkniętych okiennicach szył kożuchy i tajemnie potém jeździł z nimi po jarmarkach; a gdy go ludzie przy téj robocie zastali — umarł ze wstydu!

Taka była powieść o dziadku czy raczej pradziadku Paulisi, którój jednak ona dokładnie nie znała. Pan Gewont bowiem zakazał jak najsurowiej przekazywać pamięć swego rodu sukcesorom, aby ich tym sposobem uwolnić od hańby, która im się słusznie należała, że ręczną pracą plamią klejnot. Według swego mniemania był on ostatnim z rodu, a jeszcze za jego życia skruszył herold u stóp jego kopią i rozłukł tarczę herbową!... Dopóki jednak mógł być szlachcicem, to nim był a nawet zrównał się z księciem wojewodą! Czyż to nie dosyć?...

Po jego śmierci znaleziono list zapieczętowany, który według adresu odesłano, a zaraz za listem przyjechał średniego wieku człowiek, który się również Gewontem nazywał i pozostałą po nieboszczyku córkę za żonę pojął. I on z czasem poszedł za miasto pod czarny krzyż dębowy, a córka jego wraz z mężem umarła w czasie morowéj zarazy, po których została Paulisia.

Paulisia miała już inne nazwisko, ale ponieważ dwóch Gewontów po sobie następowało, to ludzie Paulisię nazywali Gewontówną albo Gewontową.

S. p. Gewont II nie wstępował już w ślady swego poprzednika. Zdaje się, że miał to przekonanie po pierwszym wypadku, że rzemiosło nie może prosperować w domu Gewontów. Do domu w mieście dokupił więc duży ogród na przedmieściu, który miał całej rodzinie dostarczyć chleba, ziemniaków, cebuli i pietruszki.

Tym sposobem życie Gewontów było bardzo biedne. Potrzeba było często łamać się z największą nędzą. Czasami po całych dniach nie było nic ciepłego w domu; ale za to było wewnętrzne zadowolenie, że się na życie nie zarabia rzemiosłem, jak każdy inny prosty mieszczanin.

Stało się nawet, że tak zwany patrycyat miasta przyjął Gewontów między siebie, bo byli tylko posiadaczami kamienicy, a żadnego rzemiosła nie wykonywali.

Z tym jednak patrycyatem żyli Gewontowie na stopie bardzo etykietalnej. Ubóstwo ich nie pozwalało do domu wpuszczać ludzi, którzy zwykli zaglądać po wszystkich kątach i potem w beczynności swojej bawić się obmową. Gewontowie chcieli bowiem ubóstwo swoje mieć tylko dla siebie, a światu okazywali zawsze stronę jaśniejszą. Wrodzoną była im duma pierwszego Gewonta, która z krwią przeszła na dzieci.

W domu było kilka cynowych naczyń, a nawet coś srebra także tam się błyszczało. Wszystko to stawiano przed oczy gości, chociaż kilka dni byli bez gotowanej strawy.

Ta etykietalna przegroda od reszty mieszkańców miasta nadawała im jakąś inną atmosferę, w której czuć było dawniej zamożnych ludzi: atmosfera ta otaczała ich w oczach miasta pewnym urokiem.

Gewontowa miała zawsze ubiór czysty i gustowny, chociaż nie wiedziano z kąd ten ubiór pochodzi. Inne mieszczanki brały ją sobie za wzór wiązania chustki na głowie i noszenia rańtucha z fantazyją.

Jakkolwiek Gewontowie tylko z tak zwaną dawną arystokracją miasta (nowszą nazywano przybłędami) towarzyskie stosunki mieli, wyjątkiem jednak zaszczycali dom Tarłów.

Stary Gewont, skoro tylko na czerwonej tablicy przeczytał to nazwisko, zabrał zaraz z zegarmistrzem znajomość, nie dlatego, że tenże był burmistrzem, ale że się Tarłem nazywał.

Dla starego karmazyna miało to nazwisko jakiś urok tajemniczy. Kilkakrotnie nachodził burmistrza, aby mu powiedział, z kąd do tak pięknego nazwiska przyszedł. Dostatecznej jednak odpowiedzi nie dostał, bo burmistrz sam o tém nie wiedział, a nawet dziwił się, nie znając dawnych rodów szlacheckich, co w tém nazwisku tak szczególnego być może. Wielce nawet zmartwił Gewonta, gdy mu razu jednego opowiadał, że to nazwisko prawdopodobno ztąd w jego rodzie wyrosło, że pradziad jego miał nad rzeką tartak, które to miejsce jeszcze po dziś dzień „tarliskiem” nazywają.

Takie wyjaśnienie nie przekonało jednak starego Gewonta. Widział on poza prostotą mieszczanina jakąś tajemniczą historję domową, która mogła być podobną do jego. Osobliwie uderzały go w rodzinie Tarłów pewne wyższe przymioty, które tę rodzinę nad innych mieszczan stawiały. Według przekonania Gewonta tylko szlacheckie pochodzenie mogło te wyższe znamiona na Tarłach wywierać, chociaż oni o tém pochodzeniu przez dziwny zbieg okoliczności zupełnie zapomnieli.

Być może, że jaki ubogi konar domu Tarłów, jak to w wielkich domach często się widzi, odłamał się od pnia wspólnego i popadł w ubóstwo, które nakazywało mu na rzecz znakomitego domu zrobić ofiarę. Wtedy zapewne wziął się biedny potomek wojewodów do zegarmistrzostwa i wyrzekł się pokrewieństwa, aby klejnotu nie plamić. Według rygoru reguł rycerskich było to prawdopodobnem.

Tak rozumował sobie stary Gewont i bez ubliżenia ścisłał rękę zegarmistrza, choć mu z myśli swoich nigdy się nie wypowiedział. Miał bowiem i on tajemnicę swoją rodową, przestrzegał więc jęj i u drugich. Tym sposobem te dwa domy zbliżone były do siebie nie tylko murem wspólnym, ale także i afektem.

VI.

Paulina.

Stary Gewont przekazał dzieciom swoim, aby historyi domu swego nikomu nie opowiadać; nietylko jednak nie osiągnął tém celu, ale przeciwnie dał powód do najróżnorodniejszych baśni.

W samym domu wyrządziło to wiele szkody. Młodsze pokolenie dowiadywało się dopiero z miasta co o domie mówiono. Rozumie się że to, co mówiono nie zawsze było prawdą. A jeżeli córka z daleka matki o to się zapytała, otrzymała odpowiedź niewystarczającą, na której poprzestać nie mogła.

A po mieście obiegały czasem wieści dziwne. Służące najczęściej roznosiły te wieści. Widząc srebra i jakieś familijne pamiątki w tym domu, dorabiano do nich całą historyę, która czasem nie była bez dowcipu.

I tak żona strażnika od dochodów opowiadała, że Gewontowa jest córką jakiejś wysoko położonej osoby, że nawet od téj osoby nadchodzą listy i prezenty, ale wszystko to musi być w wielkiej tajemnicy.

Opowiadała również, że raz jednego jakiś podróżny przyjechał wozem pocztowym, któremu wszyscy rządowi

bardzo nisko się kłaniali, i prosto poszedł do domu Gewontów i tam aż do wieczora bawił.³

Przyjaciołka pani strażnikowej była tego zdania, że sama postawa i rysy starzej Gewontowej dowodzą, że nie jest ze stanu mieszczańskiego. Przyczynia się także do tej opinii i cały tryb ich życia, który zupełnie różni się od życia mieszczanina. Niemniej i mowa okazuje, że są z dalekich stron kraju.

Na tej podstawie tworzono różne dalsze romantyczne epizody. Mówiono że Gewont wykradł z jakiegoś zamku żonę swoją i tu ją uwiózł, aby się potajemnie z nią zaślubić. Dlatego ma kiedyś na Gewontów spaść kolosalna fortuna, skoro tylko ktoś umrze, kto temu spadkowi przeszkadza.

Niepodobna aby takie wieści nie wpłynęły na umysł młodej generacji Gewontów. To co się słyszało poza domem, miało zawsze jakiś grunt a przynajmniej wskazywało na jakieś tajemnice.

Wnuczka Gewontowej, Paulisia, była o rok albo o dwa młodszą od Stefusia. Teraz miała już lat dwadzieścia i była piękną w całej pełni rozwiniętą kobietą. Miała twarz śniadą z lekkim rumieńcem, krucze, obfite włosy, brew szeroką, oczy brunatne i na wierzchniej wardze lekki puszek. Wzrostu była średniego, kibici wysmukłej i pięknie zaokrąglonej. Do tego należała jeszcze rączka drobna i biała, która zawsze odpowiednim gestem towarzyszyła słowom. Z tą rączką w bezpośrednim stosunku stały oczy, które to dopowiadały, czego rączka i usta zaniedbały.

Nie była to wcale piękność posągowa, nie było tam rysów cichych i spokojnych jak u Wenery medycejskiej, ale było jakieś dziwne życie we wszystkiem i harmonia. Nie tylko słowom, ale nawet i najskrytszym myślom towarzyszyło jakieś zewnętrzne ożywienie całej postaci, które najczęściej te myśli zdradzało.

Paulina od najmłodszego wieku żyła jak każda kobieta w rozmaitych urojeniach.

Gdy była dzieckiem ozwały się w niej piękne, szlachetne instynkta. Stefuś był jój towarzyszem zabaw, Stefusia więc lubiła a nawet kochała go jak brata, chociaż jój często w czémś dokuczył.

Po wyjeździe Stefusia do szkół powiatowych było jój bardzo smutno a nawet często płakała. Ale serce jój poniosło cios bardzo dotkliwy, gdy Stefuś po roku do miasta wrócił i ją zupełnie obojętnie powitał!... Tłumaczyła sobie w rozmaity sposób tę obojętność, którą instynktem odgadywała, pocieszała się jak mogła i czekała znowu rok cały w nadziei, że to się odmieni!

I powoli biegł rok za rokiem a nadzieja zawsze ją zawodziła.

Kto kiedykolwiek badał serce kobiety, która na bierném swoim stanowisku tylko czekać i cierpieć może, ten przyzna, że nad jój ciche bohaterstwo nie ma prawie równego na świecie!

Paulina była także w tych dziesięciu latach taką bohaterką w swoim rodzaju. Od roku do roku odkładała szczęście swoje, liczyła tygodnie i dni i czekała cierpliwie.

Wprawdzie czekanie to urozmaicone było różnemi epizodami, które jednak tylko w jój marzeniu były.

Już gdy miała lat kilkanaście, zasłyszała o wieściach, które o Gewontach w mieście obiegały. Kilka razy potrącała o te wieści z babunią, ale babunia tak dyplomatycznie na to jój odpowiedziała, że uznała za rzecz potrzebną więcéj o to się nie pytać.

Teraz dopiero zaczęła żywo jój wyobraźnia uzupełniać to wszystko, czego babunia niedopowiedziała. Tworzyła więc najrozmaitsze powieści, podobne do tych, które w książkach wyczytała, i niemi karmiła się nieustannie. Wyobrażała sobie jakich bogatych krewnych, którzy się jój wyrzekli, sięgała nawet czasem do sfer bardzo wysokich. Pozostałe po pradziadku pamiątki z herbem książęcym popychały ją jeszcze daléj w marzeniach, i w końcu tak w swoje marzenia uwierzyła, jakby to wszystko było istotną prawdą!

Uważała siebie za jakąś ofiarę względów światowych, i zaciskała drobne rączki swoje przeciw temu światu, który ją rzucił jako konchę z perłą do brudnej sadzawki, pełnej żab i ślimaków!

Ubóstwo rodzi zazwyczaj ludzi egzaltowanych. Jestto rzeczą naturalną. Jeśli człowiek w świecie rzeczywistym, który go otacza, nie znajdzie dla siebie uspokojenia pragnień swoich, to rad stwarza sobie światy idealne i tam chętnie przybywa. Od zbytków i rozkoszy realnego życia tylko niepospolity umysł potrafi się oderwać, aby zaczerpnąć odmładzającą atmosferę idealizmu.

Dom Gewontów był bardzo ubogi. Wielełożono aby przed światem to ubóstwo ukryć; ale im więcej przed światem je ukrywano, tym dotkliwiej dało się ono uczuć mieszkańcom.

Paulina siedziała nieraz po całych dniach bez ciepłej strawy. W tychto dniach trapiły ją najwięcej marzenia o bogatych krewnych, o zamkach i pałacach. Dla ulżenia sobie snuła wtedy z zagadkowych losów swoich najdziwniejszą przyszłość, którą ubierała w dostatki królewskie!

Marzenia takie były dla niej ulgą na dwie strony. Najprzód tłumili w niej boleść, jaką zadawała jej sercu coroczna obojętność Stefusia. Wyobrażała sobie że jej los sam zemści się nad zimnym człowiekiem i wyniesie ją kiedyś daleko wyżej nad niego!... Niemniejszą ulgę przynosiły jej także te marzenia w dojmującym ubóstwie, które na coś innego nie miało litości!

Nieraz bywało, osobliwie w wieczorach zimowych, gdy światła w domu nie było, siedziała Paulina po pięć godzin w ciemnym kącie izdebki, nieruchoma jak posąg z kamienia.

Wtedyto przesuwały się przed jej oczyma cudowne obrazy jakiegoś nieznanego świata, który jak raj utracony tylko bolesną powieść po sobie zostawił!... Ale ten świat do niej należał, a ona do niego! Czyż ma już na zawsze podpisać akt rezygnacyi? Czyż ma się wyrzec tego, co jej

odebrano? Czyż nie ma sposobu, aby to wszystko napowrót zdobyć? Jakież drogi mogą do tego prowadzić?...

Takie pytania zadawała sobie, ale dotąd nie miała dla nich odpowiedzi.

Każdy rok przylewał coraz więcej goryczy do jej młodego życia. Świat, który ją otaczał był dla niej zimny i obojętny. On widział w niej tylko ubogą dziewczynę, a marzeń jej za nic nie liczył!

Marzenia te jednak wycisnęły na całej jej postaci pewne piętno. Głowa jej była zawsze do góry wzniesiona, jak przywykłej do rozkazów królowej. Na czole malowała się duma, którą bardzo łatwo można było zadrasnąć, a w brunatnych oczach przebijała energia, gotowa do walki z życiem na zabój. Każdy jej krok, każdy ruch wyzywał do walki i okazywał gotowość do niej.

Mieszkańcy miasta różnie tłumaczyli sobie tę pychę ubogiej dziewczyny. Jedni widzieli w tém poprostu spadkobierstwo pradziadka. W prawnuczce odrodził się zupełnie szlachcic, który majątek stracił, aby księcia wojewodę przyjąć u siebie jako równego sobie. I być może, że było w tém wiele słuszności.

Inni znowu utrzymywali, że ta duma i lekceważenie innych opiera się na jakichś nadziejach wielkiego spadkobierstwa, a byli i tacy którzy twierdzili, że Paulina poprostu dumną jest na swoją urodę, która ma ją kiedyś wywyższyć daleko ponad stan mieszczański. Śmieli się nawet że oczekuje karety złotej i cugowych koni, które konkurenta przed dom przywiozą...

Była więc znaczna dysharmonia między Pauliną a opinią miasta. Już sama jej postać odbijała znacznie od tła miejskiego. Umiała się ubrać jak się tylko wielkie panie ubierają i umiała nawet w tym ubiorze chodzić, co się bardzo rzadko trafia u kobiet niższej warstwy towarzyskiej.

Każda drobnostka w jej ręku przybierała urok niewysłowiony, czy to biała róża niedbale do włosów wetknięta, czy polny kwiatek wyglądający ciekawie z poza małego

uszka. Była to prawdziwa lwica całego miasta, a dla równiennic była chodzącym żurnalem.

Umysł jój był od natury bardzo hojnie wyposażony. Do tego posagu dodała także trochę pracy własnej. Pedagog miejski miał małą biblioteczkę, z której Paulina jedną książkę po drugiej brała. Przy życiu prawie beczynnym miała więc czas wiele przeczytać, i wiele się nauczyć.

Tym sposobem stworzyła sobie w mieście stanowisko wyjątkowe. Ludzi, o których marzyła nie było w ubogiej miejscinie, a ci, co byli nie odpowiadali jój uroszczeniom. Na rzemieślnika patrzeć nie chciała, a rzemieślnik swoją drogą od niej uciekał, bo widział w niej panią a nie gospodynię.

Jedynym jeszcze marzeniem, dla niej był Stefus. Ale i to marzenie słabło już co rok w miarę jego obojętności i w miarę postępujących coraz wyżej urojeń Pauliny. Wspomnienie jedynie lat dziecinnych trzymało jeszcze nie sympaty nawiązaną, która zazwyczaj jest najsilniejszą ze wszystkich. Wierzyła że ta sympatya i z jego strony się zbudzi, gdy będzie pora po temu.

Najważniejszym epizodem jój cichego życia był rok jeden, w którym wędrowna trupa artystów zabłądziła do miasteczka. Paulina jeszcze dotąd czuła dreszcze na to wspomnienie.

Bohaterowie na deskach teatralnych to byli jój krewni i dobrze znajomi. Ona nieraz w marzeniu odgrywała podobne role, była królową i księżniczką, wiła się z boleści pod wrażeniem jakiegoś urojonego nieszcześcia! Wszystko to przechodziła ona już w marzeniach!

Otóż widok teatru rozognił jój wyobraźnię. Czuła jakąś rozkosz niewysłowioną, gdyby mogła choć kilka chwil w strojach bogatych być księżną, markizą albo hrabiną! A cóżby dała za to, gdyby choć raz jako Marya Stuart przeszła przez scenę! Nawet rolę Elżbiety nie wzgardziłaby, bo miała dosyć dumy, aby tę postać monarchini oddać!

W tym to czasie wzięła nawet z biblioteczki starego pedagoga kilka utworów scenicznych i pilnie studyowała role

bohaterék a nawet w samotnej izdebce próbowała w nich swego talentu.

Po kolei więc przechodziła królowe, księżniczki, hrabiny, kokietki i intrygantki, i wszystko jakoś udawało się jej wybornie! Sama nie wierzyła sobie, że tém wszystkiém być mogła!

Byłoby nader prostą rzeczą, gdyby była poświęciła się temu zawodowi. Miała wszelkie warunki do tego. Ale babunia zganiała jej taki zawód jako niegodny jej urodzenia i Paulina została znowu sama, to jest: została z gorącym marzeniem swoim, i zimnym dojmującym ubóstwem.

Do rzeczywistych zaś epizodów jej życia, należały dwa zdarzenia.

Były to zdarzenia zwykłe, codzienne, bez żadnego prawie znaczenia, ale dla niej nie były bez wpływu.

Pewnego dnia przyjechał do miasta jakiś młody człowiek z długimi włosami i miał z sobą dużą tekę. Zajeżdżał do oberży, która była naprzeciw domu Gewontowej. Oberża ta miała szerokie podcienie, gdzie ten młody człowiek z długimi włosami zwykł siadywać.

Zrazu patrzył tylko ztamtąd po starych domach i gzem-sach i w tece swojej rysował; potem obaczył Paulinę naprzeciwległym podcieniu i już więcej nie patrzył na dachy, tylko wprost na nią.

Paulina widziała to i było to jej bardzo przyjemnym. Wyniosła sobie jakąś robótkę na podcienie, usiadła i od czasu do czasu przymuskiwała włosy, które jej na oczy spadały.

Nieznajomy patrzył na nią nieustannie. Kilka razy nawet wstawał i nieznacznie ukośną linią zbliżał się do niej. Przechodził po pod dom tam i napowrót ciągle na nią patrząc.

Babunia obaczyła nieznajomego chodzącego jakby na szyldwachu i odwołała wnuczkę.

— Czego babunia żąda?—zapytała Paulina kończąc ostatni ścieg robótki.

— Bo tak siedzieć jak na wystawie nie przystoi!— odpowiedziała babunia.

— Dla kogoż siedziałam jak na wystawie, kochana babuniu?

— Juźci nie dla mnie ani dla Moszka, ale dla tego co tam chodzi w zad i wprzód!

— Cóż w tém jest złego?

— W tém może nie być nic złego, ale mamy zawsze wkoło siebie największego nieprzyjaciela, dla którego wiele rzeczy czynić musimy. Jest to opinia publiczna!

— Opinia publiczna! powtórzyła Paulina i zamyśliła się.

Po chwili rozżarzyły się jój oczy, uśmiechnęła się z gorczyzą i rzekła:

— Opinia publiczna... Czyż ta opinia nie przeszkadza nam czasem do naszego szczęścia?

— Być może— odpowiedziała spokojnie babunia— ale kobieta tego co jest, zmienić nie może!

Paulina odeszła do swojej izdebki i długo o tém myślała.

A gdy nazajutrz rano ukradkiem, aby babunia nie widziała, na podcienie oberży spójrzała, nieznajomego już tam nie było: nad rankiem wyjechał z miasta, jak jój o tém doniósł faktor.

I przeszła jój myśl przez główkę: kto wie, czyby nie było lepiej, gdybym na babunię i opinię nie była słuchała, tylko na podcieniu została? Możeby się zbliżył, może...

Drugie zdarzenie różniło się już więcej od pierwszego, i głębiej wbiło się w jój pamięć.

Było to jakoś zaraz po odjeździe Stefusia do miasta obwodowego. Stefus znowu był obojętny, zaledwie kilka słów do nięj przemówił. Paulina płakała trochę i przysięgła sobie nie myśleć więcej o nim.

Prawie tego samego dnia, zaraz po téj przysiędze przyjechał jakiś wysmukły blondyn o bladej twarzy do miasta. Najął sobie mieszkanie w oberży, izdebkę wysłał dywanami i powiedział faktorowi, że chce tutaj brać kąpiele rzeczne.

Do tego oświadczenia dołączył suty tryngeld a faktor za to co tchu obiegł całe miasto, opowiadając co wiedział i czego nie wiedział.

Wiadomość ta doszła i do Pauliny. Zaledwie na podcienie wyszła, już blondyn jakby czekał na nią rozparty na przeciwnéj stronie. Z całej jego postaci było widać, że to pan jakiś wielki.

Paulina kilka razy wyszła na podcienie i patrzyła na nieznanomego.

Za kilka dni przyniósł jój faktor mały wyperfumowany bilecik. Paulina z bijącym sercem rozdarła pieczętkę i wyczytała jednym tchem dwieście jak najpiękniejszych i najśłodszych słówek.

Nieznanomy pisał jój, że na pierwszy rzut oka pokochał ją, że odtąd nie ma pokoju we dnie i w nocy; że mu ciągle stoi przed oczyma i dopóty nie przyjdzie do siebie, dopóki z nią choć kilka słów nie pomówi. Przeto prosił usilnie o wyznaczenie miejsca i godziny i t. d.

Gdy Paulina ten list przeczytała, pobiegła wieczorem do babuni i jój o wszystkiém powiedziała.

Babunia spokojnie odczytała list, pomyślała chwilę a potem rzekła:

— Dobrze moje dziecię. Jeżeli cię kocha, to ja zaproszę go do nas. Podaj mi ćwiartkę papieru.

Paulina podała papier a babunia napisała krótko do nieznanomego, że za godzinę czeka go wraz z wnuczką swoją na filiżankę kawy.

Faktor pobiegł z listem, ale nieznanomy na kawę nie przyszedł; a na drugi dzień nawet o kąpielach rzecznych zapomniał, tylko spakował manatki i z Panem Bogiem wyjechał.

— Źle się stało, że babunia odpisała, — rzekła zachmurzona Paulina.

— A jakże się inaczej stać mogło, moje dziecię? — zapytała babunia.

— Możeby lepiej było, gdybym ja sama tę rzecz w swoje ręce wzięła...

— Być może, ale widzisz serce, tak każe obyczaj!

— Obyczaj! — odrzekła z lekkim kaprysem Paulina — czyż ten obyczaj nie staje nam czasem w drodze?

— I to być może, ale widzisz serce, obyczaju narażać na chybił trafił nie można. W najlepszym razie jest to zawsze gra w loteryą; można wygrać, ale można wszystko przegrać!

— Zawsze babuniu ten co gra ma nadzieję wygrania, a ten co nic nie stawia, nie ma nigdy żadnej nadziei!

Babunia na to jakoś nic nie odpowiedziała, a Paulina wróciła do dawnych swoich marzeń. Marzyła naprzemian to o herbie Radziwiłłów, to o Stefusiu i możliwych skutkach broszki.

VII.

Na szerszym świecie.

Stefuś tymczasem rozpatrywał się coraz więcej w nowej atmosferze, która go teraz otoczyła.

Stolica podkarpackiego kraju nie była wprawdzie wielkim miastem, nie miała owych wielkich, gwałtownych prądów, które przybyłego nowicyusza nagle w odmęty życia porywają; nie miała nawet owych dróg krytych i tajemniczych, jakimi dojsć można do niezwykłych, niespodziewanych rezultatów: mimo to dla Stefusia dla którego miasto obwodowe było dotąd jedyną areną, miała stolica kraju wiele tajemniczego uroku i zagadek życia, których on jeszcze nie znał.

Urok ten jednak nie nabawił go zaraz z początku pewną gorączką, którą zazwyczaj przebywa każdy młody człowiek, gdy poraz pierwszy atmosfera stołeczna go owionie.

Stefuś chciał pierwój zdala od wszystkich prądów przypatrzeć się téj atmosferze, wystudyować ją, aby potem z tém większą pewnością powierzyć się jój falom.

Jak w mieście obwodowém tak i tutaj pierwsze studia poświęcił powierzchowności ludzi.

Nie mieszając się wcale w tłumy mieszkańców przypatrywał się im z boku. Studyował ubiór młodych elegantów

zaczawszy od kapelusza aż do kamaszków. Dłuższy czas poświęcił misternym węzłom krawatek. Patrzył, jak się laski noszą i jaki kolor odpowiada najlepij ubraniu.

Wystudyowawszy to wszystko w najdrobniejsze szczegóły zrzucił z siebie pewnego poranku swoją skorupę parafialną i za pomocą krawca i fryzjera przedzierzgnął się odrazu w dandysa stołecznego.

Trzeba przyznać, że uczynił to z niemałym talentem. Kawał brody wygolił starannie, chociaż jeszcze wcale do golenia nie było wiele, a po bokach twarzy zostawił młodą szkółkę na takie same bakenbardy, jakie nosił hrabia Fredzio. Głowę kazał sobie rozdzielić symetrycznie na dwie połowy, co niejednego starego, na bruku żyjącego szlachcica wprawiało w strach nie mały, aby ta głowa po zdjęciu kapelusza kiedy się na dwie równe części nie rozłupała. Takie wrażenie sprawiał ten podział głowy.

Gdy więc poczwarkę parafialną już za sobą zostawił i niepoślednim motylem w świat stołeczny wyleciał, rozumie się samo przez się, że zaraz przygarnęli się do niego podobni jemu, a on również podobnych sobie wyszukiwał.

Zajawszy więc między młodzieżą pewne stanowisko, spojrzął z niego na świat stołeczny i szukał w nim przyszłych dróg życia, któreby go zaprowadzić mogły do tego, co ludzie szczęściem nazywają.

Mieszkańcy stolicy nie wiedzieli wcale o tém, że w pięknym, o jasnych włosach młodzieńcu, który jak każdy inny śmiertelnik w godzinach po obiednich po „wałach” się przechadza, drzemały zwinięte misternie jak u chrząszcza skrzydła, które go mogły kiedyś unieść wysoko po nad poziom!

Młodzieniec dwudziestokilkoletni czuł te skrzydła pod brązową pokrywką, ale nie chciał jak wielu jego poprzedników zmarnować tych skrzydeł, aby niemi trzepotać bez celu, chociażby to trzepotanie było dla niego bardzo przyjemne; nie chciał również jak Ikar opalić sobie tych skrzydeł i potem kaleką czołgać się po ziemi: chciał poprostu

pierwój przekonać się, w jaki sposób najkorzystniej tych skrzydeł użyć można.

Poczuwał w sobie wielostronne talenty. Mógł pracą zużytkować te talenty i zrobić się niejako znacznym w społeczeństwie, ale wprzód chciał wiedzieć, co społeczeństwo za tę pracę mu ofiaruje.

Na odpowiedź społeczeństwa nie czekał długo.

Pewnego poranku przeczytał na rogach ulic bardzo sympatycznie stylizowane zaproszenie na pogrzeb jednego ze znanych powszechnie artystów i pisarzy; procz tego dzienniki podały tegoż samego dnia szeroki opis życia i prac nieboszczyka i nie szczędziły epitetów jak najpochlebniejszych: jedno nawet z pism obiecało dać portret zmarłego.

Przyznać trzeba, że pierś Stefusia podniosła się przy tych słowach jakimś rozkoszném westchnieniem. Żyć tak, aby takie wspomnienie po sobie zostawić, jest rzeczywiście nie małą rozkoszą!

Stefus postanowił o godzinie oznaczonej na kartkach pośmiertnych przyłączyć się do orszaku, który zasłużonego człowieka odprowadzić miał na wieczny spoczynek.

I tutaj przyznać potrzeba, że aż do téj godziny przetrwał w jakimś niezwykłym, wyższym nastroju umysłu, w którym byłby nawet zdolnym do jakiego poświęcenia się...

Ale jakież było jego rozczarowanie, gdy pogrzeb odbywać się zaczął od szpitala publicznego, i gdy mała tylko garstka ludzi się zebrała aby temu pogrzebowi towarzyszyć!

— Jakto?—zapytał stojącego obok siebie kolegi—czyż to być może, aby ten człowiek był zasłużony i znakomity, aby portret jego po pismach publicznych umieszczali, i żeby umarł w szpitalu publicznym i grzebany był bez współdziałania mar, dla których żył całe życie?...

Kolega Stefusia, który przypadkiem tam się znalazł, wyjął chustkę fularową, strzepnął nią w powietrzu, aby stojące niedaleko kobiety, odznaczającą się woń paczulową poczuły i odrzekł:

— Biedak był wielki! Nie miano go nawet za co pochować! Zbierano składkę!

Stefuś uniósł się gniewem szlachetnym, odwrócił się od kolegi i z pewną demonstracją oddalił się od orszaku pogrzebowego, a nieboszczyka zostawił tym, którzy zostali.

Niewiedzieć tylko czy rozgniewał się na społeczeństwo, które pracownika swego w ubóstwie zostawiło, czy na nieboszczyka, że dla miłości tegoż społeczeństwa ubóstwo cierpiał!

Stefuś niejakiś czas chodził zamyślony. Zdaje się że nieboszczyk wypłatał mu niemałego figla zmarłszy ubogim i w szpitalu. Możliwe bowiem wnosić, że Stefuś przy swoich nadzwyczajnych talentach, myślał na prawdę o wyszczególnieniu się jakimś talentem, któryby mógł go wznieść wysoko. Nieboszczyk jednak popsuł mu szkaradnie wszelkie rachunki i zostawił mu tablicę na czysto zmazaną.

Mimo tak smutnej odpowiedzi, jakie mu społeczeństwo dało na jego milczące zapytanie, nie mógł się jednak pozbyć tej myśli, aby praca jakaś wykonana z talentem, była wynagradzana tylko ubóstwem i portretem pośmiertnym. Nagroda taka nie przypadła mu do smaku, myślał jeszcze o tém, że może być inną!

Niebawem jednak nadeszła druga odpowiedź, jeszcze wyraźniejsza.

Dzienniki wyszły w czarnych obwódkach i grubém piśmie zapowiedziały stratę jednego z najznakomitszych pisarzy. To samo rokoszne westchnienie podniosło znowu pierś Stefusia. Znowu pospieszył na pogrzeb, mimo mrozu i śniegu, słyszał nad grobem nieboszczyka wzniosłe słowa jednego z uczonych; ale zaraz na drugi dzień wyczytał w dziennikach odezwę o składkę dla pozostałej biędnej rodziny.

Stefuś przez dwa dni chodził gniewny i opryskliwy, wyrzucał sobie, że się Francuzem nie urodził i postanowił nie sięgać ręką po te ideały życia, które się kończą śmiercią

w szpitalu lub składką dla pozostałych sierot! Przypominał nawet sobie w tej chwili pierwszą rozmowę swoją ze starym pedagogiem o ideałach i kominach kamienieć i przyznał mu słuszność. Ukryty jego ideał zniknął, gdy się do niego zbliżył, bo zamiast niego zobaczył szpital, ubóstwo i jałmużnę!

Postanowił więc nie szukać najprzód drogi dla siebie, ale popływać trochę razem z falą. Być może płynąc z falą, ta droga gdzieś się wykryje, a wtedy będzie czas pomyśleć nad nią. I tak uczynił.

Broszka z herbem Radziwiłłów leżała zamknięta w pudełku wraz z guziczkami od rękawów. Ile razy guziczki odmieniał myślał o niej, myślał o tym prześlicznym biuście, na którym ona chusteczkę muślinową spinała; przypomniał sobie nawet, jak wiele czasu potrzebowały paluszki Pauliny, aby ją od tej chusteczki odczepić. Było to wspomnienie miłe i miało dla niego pewny urok, osobliwie gdy sobie te piękne krucze włosy, te oczy brunatne ogniem strzelające żywo przed duszą postawił. Czasami nawet ciągnął myślą do lat najpierwszej swojej młodości, ale to wszystko co ztamtąd wyniósł było podobne do wieńców tych kwiatów, które nie upajają wonią wiosenną, ale bawią oko swemi kształtami na szybie zamarznietej!

Broszka jednak z herbem Radziwiłłów leżała spokojnie na dnie pudełka, jak załoga fortecy, która kiedyś może zrobić wycieczkę i zwyciężyć. A tego zwycięstwa niktby jej nie mógł w przyszłości odmówić, mając doświadczenie że życie różnemi drogami chodzi i często jak potok nagle w ziemi przepada, aby potem znowu wypłynąć, a wypłynąć tém silniej po chwili, gdy się tego nikt nie spodziewał!

Stefuś jednak nie myślał w tej chwili o niebezpieczeństwie, które w pudełku dotąd schowane było; postanowił spokojnie płynąć z prądem niekórej młodzieży, w kole której przypadkiem się znalazł.

Młodzież ta miała już gotowe swoje drogi, a drogi te były dosyć przyjemne.

Różnica między tą młodzieżą a dawniejszą, z pomiędzy której wyszli ci dwaj nieboszczycy, których pogrzeb tyle zmartwienia sprawił Stefusiowi, była bardzo znaczna.

Dawniejsza młodzież pojmowała inaczej swoje zadanie. Nie miała ona pretensyi do pełnego życia, bo wiedziała że jest dopiero młodzieżą. Uważała za rzecz słuszną, aby do tego życia powoli się przygotować; aby w zaraniu młodości zebrać jakiś kapitał moralny, zanim na pełne morze żagle rozwinie, i zedrze zasłonę z obrazu, który miał być życiem istotném!

Dlatego nie można było tej młodzieży szukać w zastępach życia realnego. Na ubogich poddaszach zgromadzała się u kolegi, który talentem lub pracą między nią zabłysnął i chętnie poddawała się jego wpływowi, chociaż on był ubogi i ubogo urodzony.

Było to wprawdzie życie częstokroć od realnego życia oderwane, stworzyło ono wielu marzycieli i ludzi suchych teoryj, ale dawało zawsze szlachetny grunt przyszłości, którą kiedyś ci ludzie weszli do życia rzeczywistego, przedstawiać mieli.

Ludzie ci w odosobnieniu od świata mierzyli siły swoje, zaprawiali się do późniejszych walk gladyatorskich i byli twórcami przyszłości. Ponieważ w pierwszej młodości nie uznali wygodnej zasady, aby we wszystkiém do świata się stosować, zażądali później od tego świata, gdy się do niego ze swemi ideałami spuścili, aby tenże do nich się stosował.

Była to wprawdzie walka nie równa, świat nie chciał ich widzieć i wszystkich swoich względów im odmówił, jednak zawsze było zwycięstwo po ich stronie, choć w szpitalu umierać musieli, choć po ich zgonie dla pozostałych sierot jałmużnę zbierano! Złote bowiem ziarna ich pracy rozsypywały się z kłosów starannie dojrzałych, a nie jedno ziarno wpadło na ziemię urodzajną i nagrodziło robotnika plonem obfitym!

Takięj młodzieży nie miał teraz Stefuś przed sobą. Być może, że ona gdzie była, ale Stefuś jej nie znał i ni-

gdzie nie widział. Ta, którą on widział, przypadała bardzo do jego smaku.

Młódzież ta porzuciła dawniejsze swoje odosobnienie i wstąpiła odrazu, jak tylko można było, w życie realne. Nie byłoby to może źle, gdyby to życie realne nie ścierało zbyt wczesnie idealniejszych barw życia, które jak kwiat drzewa potrzebują pierwój kwitnąć, nim owoc wydadzą. Do tego wczesnego życia przyczyniały się różne okoliczności.

Niektóre z nich były nawet bardzo szlachetnej natury, ale rezultat przynosiły jak najgorszy.

Szlachetném wiedziona uczuciem młodzież chciała uboższym swym kolegom przyjść w pomoc. Zamiast zorganizować między sobą pomoc wzajemną, zaczęła w tymże samym celu wyzyskiwać uczucie publiczne, aby sobie środków na godziwy cel swój przysporzyć.

Urządzano bale publiczne, dawano zabawy kostiumowe, wyprawiano koncerty i widowiska sceniczne: we wszystkim tém, rozumie się, młodzież rej wodziła.

Jakkolwiek cel był zawsze dobroczynny i szlachetny, jednak dla aktorów tych zabaw publicznych wypływały ztąd znaczne moralne niekorzyści.

Najprzód młodzież odrywała się od książek i drogi czas traciła na rozległych przygotowaniach. Prócz tego uboczne akcesorya życia, jakimi są zabawy towarzyskie, wzięła za jeden z czynników tego życia i to niepośledni. Była to dla niej arena popisywania się nie pracą i talentem, ale powierzchowną ogładą i sztuką podobania się. Bohaterstwem dla niej było być jednym z gospodarzy balu i pięknym kobietom podawać rękę do promenady na sali. A szczytem marzenia—być przewodzcą, w tańcach, czyli jak się wyrażano z niemiecka „*Vortänzerin*.” Niektóre nawet dzienniki były tak nieogłędne, że nazwiska przyszłych fortencerów drukowały w kronikach swoich grubém pismem, aby wybierającym się na bal młodym kobietom dać wyobrażenie o przyszłym ich szczęściu!...

Działało to bardzo na młodą wyobraźnię i usuwało w głąb poważniejsze strony życia.

Prócz tego wyprawianie podobnych widowisk i zabaw dla szerszego koła publiczności, wprowadzało tę bawiącą się młodzież odrazu w bezpośredni stosunek z całą publicznością, o co dawniej długą i poważną pracą dopiero potrzeba było się starać.

Łatwość ta dostania się do środka życia, kazała lekceważyć wszystkie inne drogi, które również do niej prowadziły, ale były dłuższe i wymagały wprzód dyplomu pracy. Pocóż bowiem pracować, pocóż dalszemi dążyć drogami, jeśli się bez tego obejść można?

Niemniej złą stronę miało to wczesne wejście w świat młodzieży pod względem ekonomicznym. Dawniej dosyć było studentowi, że miał czém bądź się okryć: jeden frak był na trzydziestu, którego sobie z koleżeńską życzliwością wzajem pożyczano, gdy tego konieczna była potrzeba; dzisiaj dla zebrania trochę grosza dla uboższej młodzieży, wydawano znaczne summy na strój balowy, które daleko więcej przewyższały jałmużnę!

Z balów, z widowisk publicznych rozpoczynały się znajomości, bez których dawniej młodzież się obchodziła, a na które teraz potrzeba było sporego wydatku na rękawiczki, krawatki i odzież.

Słowem młodzież ta nabyła wprawdzie więcej wprawy do życia towarzyskiego, umiała z pewnym zaniedbaniem na fotelu siedzieć, z ładnemi kobietami bawić się ożywioną konwersacją, z wdziękiem strzepywać popiołek z papierosika, a nawet w sprawach buduarowych mogła mieć pewną biegłość, ale z młodzieży téj nie wyjdzie Mickiewicz ani Szajnocha!

A taką właśnie młodzież miał Stefuś dzisiaj przed sobą. Powtarzamy, że może po za tą młodzieżą była gdzie inna, bo niepodobna aby między zgnilizną nie było zdrowych atomów; ale Stefuś tych atomów nie widział, bo jego usposobienie ciągnęło go w inną stronę.

Wszedłszy pomiędzy tę młodzież, zaczął zaraz badać, co właściwie téj młodzieży najwięcej pomaga do powodzenia na towarzyskiej arenie małej stolicy kraju.

Już z góry przekonał się, że tego powodzenia nie daje ani nauka cicha i rzetelna, ani praca dla społeczeństwa korzystna, ani żadna inna, niebłyskotliwa zasługa.

Postanowił więc nie tykać tych rzeczy, które wprawdzie po śmierci illustrowanym portretem nagradzane być mogą, ale życie każą kończyć w szpitalu po nędzy i ubóstwie!

Odrzucił więc precz od siebie te mary kościste, drżące z głodu i chłodu.. i zaczął się zastanawiać nad drogami, które najwygodniej prowadzą do szczęścia zwykłego.

Chciał on bowiem szczęście swoje pochwytać gdzieś w pół drogi, nim ono jeszcze zwykłym trybem do niego zdążyć mogło. Droga ta bowiem była długa i nudna. Mógł wprawdzie skończyć prawo, zostać co najmniej adwokatem, dorobić się majątku i potem używać szczęścia!

Na to jednak potrzeba było długo, bardzo długo czekać. Zresztą ostateczny ten cel stał zawsze przed nim, ale jeśli w połowie drogi przed tym celem mógł inne szczęście znaleźć, dłaczegóż go nie brać?

Aby jednak to szczęście schwycić, potrzeba było najprzód rozpatrzeć się między drogami, które do tego szczęścia prowadzą, i dobrze poznać stanowiska, na których tę płochą zwierzynę spotkać można!

Rozpatrując się wkoło siebie, spostrzegł, że do tego żadnej głębszej pracy nie trzeba, ale drobnych, towarzyskich talencików. Wszystko inne miała równoważyć: młodość i uroda. Już pod tym względem miał niejaki doświadczenie, że nadpełteńskim sylfidom lepiej podoba się młody i przystojny student niżeli uczonego professor, któremu od wielkiej nauki nos się trochę przykrzywił!..

Do tego kapitału, który już posiadał, potrzeba było jeszcze dodać jaki talencik.

Gra na fortepianie jest dobrą, ale potrzebuje wiele pracy. Napisać jaki artykulik w dzienniku, lub co łatwiejsza,

jaką powieść dramatyczną, byłoby wprowadzić nader łatwo, ale do tego potrzeba znowu pracy i czasu, a przedewszystkiē, jak mniemał Stefuś, chęci; ale właśnie tēj chęci nie było, i literatura została prawdopodobnie uboższą o arcydzieło belletrystyczne!

Zgodził się więc na śpiew. Głos ma każdy człowiek, pomyślał sobie: trochę ćwiczenia i jakoś będzie!

Na jego szczęście miała stolica podówczas pewne stowarzyszenie amatorów muzyki. Stowarzyszenie to byłoby bardzo dobre, gdyby sobie założyło cel kształcenia ubogich ludzi w śpiewie, którzyby potem z tego śpiewu mogli mieć i dla siebie jaką korzyść i dla sztuki krajowej w czēms się przyczynili.

Stowarzyszenie jednak pominęło ten cel i ograniczyło się na prywatnej zabawie kilkunastu młodych kobiet, które się w domu nudziły i dla rozrywki w chórach prywatnie sobie śpiewały: rozumiē się, że dla urozmaicenia tych chórów, stworzono i chóry młodzieży.

Było to jakby dla Stefusia wymyślone. Miał głos miły i sympatyczny, miał młodość, towarzyską ogładę, do tego zawsze modny tużurek lub frak najświeższego kroju: czyż tēm wszystkiē nie można się zbliżyć do postaci szczęścia? Nauka to droga daleka, a tu... może być tylko jeden krok!...

Stefuś zapisał się do śpiewu i zaraz w piērwszych tygodniach spodobała sobie głos jego jakaś młoda amatorka, która prosiła go, aby ją odwiedzał dla wzajemnych exercycyj muzycznych.

Początek był dobry. Amatorka prowadziła dom dośyć otwarty, można było w nim przynajmniej dwa razy na tydzień berbatkę wypić, troszkę pośpiewać, a więcej się naśmiać i nażartować!

Czyż to nie przyjemniej, niżeli siedzieć gdzieś na poddaszu pomiędzy książkami?...

Prócz tego miał taki początek bardzo praktyczną stronę. Z jednej wziętēj reduty można było ostrzeliwać cały

mur forteczny: w domu amatorki robił Stefuś nowe znajomości, studyował je, wzbogacał swoje doświadczenia i czekał na ową zwierzynę, którą szczęściem nazywał!

Skończyło się jednak tutaj na niektórych doświadczeniach, ale zwierzyni nie było!

Nadszedł wkrótce karnawał. W karnawale wyprawiała młodzież kilka publicznych bali na cele dobroczynne, dawała przedstawienia amatorskie, i urządzała koncerty i loterye fantowe. We wszystkiém tém, rozumie się, prowadziła rej młodzież: w najetych karetach jeździła po domach, zapraszała, bawiła się dla wypoczynku w niejednym salonie; słowem rozrywali się wybornie: do tego potrzeba było być ubranym jak z pudełka.

Stefuś znalazł sposobność, że zawsze wkręcił się między tych szczęśliwych. Z białą krawatą, w białych rękawiczkach rozpierał się w karecie, rzucał lokajom galonowanym bilety swoje, z szykiem prawdziwie arystokratycznym; przemawiał z uśmiechem do hrabin i baronowych, a czasami nawet dla wypoczynku pozwolono mu zaciągnąć się papierosikiem... a to jak mniemał tylko dlatego, że był przystojny i młody!...

— Czegoż więc więcej potrzeba?—pytał siebie na schodach—jeśli to wystarczyć może?...

Na balu był jednym z gospodarzy. Gospodynią, której towarzyszył, była jakaś hrabina. Stefuś rozmawiał z hrabiną, jak równy z równą, bo w téj chwili nic go od niej nie dzieliło!

Był nawet fortencerem i organizował z niemałym talentem cały, długi kotylion! Był nawet przy tym kotylionie prawdziwym twórcą, bo wymyślał znakomite figury, najzawikłańsze kombinacje, które potem jakby laską czarnoksiężką przy powszechnych oklaskach rozwiązywał!

To téż w kotylionie tym był godnym zazdrości bohaterem. Z twarzą zarumienioną, z głową do góry wzniesioną wydawał rozkazy jak wódz naczelny, a cały gmin, między

któremi były hrabiny, baronowe a nawet księżniczki słuchał go jak trzoda owiec słucha swego pasterza!

A ileż trofeów spadło nań w tym kotylionie! Piers jego obwieszona była orderami, jakichby mu nie jeden dygnitarz pozazdrościł! Księżniczka dobijała się o niego, aby w jego objęciach przebiegać parkiety salonu! Czyż te ordery, które się zyskuje w krwawych bitwach więcej są warte? Tam można rękę lub nogę utracić, a tu tylko zyskać: tylko zarobić można!...

Niech tam piszą co chcą zgryźliwi pedagodzy o obowiązkach młodzieży, jeśli tu tak łatwo zyskać uścisk małej rączki, po uścisku serduszko, a po serduszkach... posażek, od którego procenta są czasem daleko większe od największej pensyi najwyższych urzędników!...

Tak myślał sobie Stefuś i z prawdziwym zapałem zataczał koła po woskowanych parkietach i czekał rychło-li udarowany będzie za tę pracę jakimś obiecującym wejrzeniem?

Wejrzeń było mnóstwo, westchnień nie mało, nawet uścisk ręki czasem się wydarzył; ale to wszystko było tak po mistrzowsku niejasne i niezrozumiałe, że tego w żaden sposób nie można było uważać za prolog do realnego szczęścia.

Stefuś jednak tém się bynajmniej nie zniechęcał: uważał po prostu że jeszcze nie czas potemu; nabierał jednak zawsze wprawy na przyszłość i zaznajamiał się z drogami jakimi szczęście ludzkie chodzić zwykło. Na tych drogach miał je ułoić.

Nadszedł wielki post a z nim pora na koncerty i przedstawienia sceniczne amatorów.

Stefuś znalazł i tutaj sposobność umieszczenia się w jak najlepszym świetle. W chórze stawał zawsze na przodzie w kunsztownym oświetleniu, co takie wrażenie pomiędzy amatorkami sprawiło, że chóry muzykalne literalnie wyrwały go sobie, chociaż śpiewać właściwie jeszcze nie umiał! Ale młodemu i przystojnemu wszystko darowano!

— Ach, jego organ jest już śpiewem!—mówiła młoda adwokatowa do sąsiadki już podstarzałej, która w nim zaledwie początkującego ucznia widzieć chciała.

Najwyższym szczytem jego powodzenia była gra w teatrze amatorskim.

Stefuś grał rolę bohatera. Bohater, rozumie się był kochankiem. Miał swojej kochance wiele do powiedzenia, wiele razy do niej się zbliżał, brał ją w objęcia, klękał przed nią, a potem nawet jakby z przesytu tylu dobrych rzeczy, sztyłem się przebił!

Stefuś wykonał to wszystko z takim mistrzostwem, że wszystkie kobiety bukietami go zarzuciły i póty mu oklaskami spokoju nie dały, póki z ziemi nie powstał i choć już był trupem, nie podziękował nader słodko wszystkim drobnym rączkom!

Teraz możnaby powiedzieć, stracił Stefuś prawie równowagę zmysłów. Do tego przyjaciel jego i kolega szkolny, który pisaniem „Kronik” do gazet na chleb zarabiał, opisał szeroko całe to przedstawienie i głównego aktora nazwał po prostu.... geniuszem!

Stefuś uwierzył „Kronice,” rozrzucił po głowie włosy jak zazwyczaj wszyscy milczący geniusze czynić zwykli, i nastroił pretensje swoje do stopnia, od którego zaczyna się kipiątek! Już nic przed sobą nie widział, tylko same olbrzymie sukcesy!

Rozumie się że i książek szkolnych nie widział!

Tym sposobem rok minął, egzaminu się nie zdało! Do domu bez atestatów nie było po co jechać, a zresztą czemże po tych sukcesach stołecznych był dla niego dom rodzinny?

Napisało się więc do starego ojca liścik czuły, że choroba, która właśnie w same egzamina wybuchła, nie dała mu zdać tychże w porządku, ale ma je składać w czasie feryi przez które musi w stolicy pozostać.

Stary zegarmistrz zmartwił się, matka płakała nad chorobą jedynaka, Paulina wylała także kilka łez i w księdze cierpień swoich zaznaczyła sobie znowu rok jeden.

Stary piekarz radził sąsiadowi wejrzeć bliżej w tę sprawę, ale zegarmistrz nie miał znowu okularów i choćby chciał nie mógłby nic zobaczyć. Nie przyznając się przed sąsiadem zebrał nieco grosza i pod sekretem wręczył pocztmistrzowi, aby wysłał do stolicy na zapłacenie długów swego jedynaka, które dorosły już cyfry dosyć znacznej.

Swoją stronę to samo zrobiła i matka i zachowała sekret nie tylko przed piekarzem ale i przed mężem!

Piekarz jednak, który był niespokojnym duchem miasta dowiedział się o jednym sekrecie i o drugim i postanowił bez żadnej inicjatywy ze strony rodziców interweniować.

Wypadała mu właśnie w tym czasie podróż do parowego młyna który był za stolicą. Chciał więc skorzystać z tej sposobności i zbliżyć się w stolicy do syna swego sąsiada i przyjaciela, aby go w chorobie pocieszyć i ojcu zdać raport jak najdokładniejszy.

Nieszczęsny! Nie wiedział, co za okropny cios gotował Stefusiowi!....,

VIII.

Jedna scena.

Był to właśnie dzień gorący, prawdziwie sierpniowy. Ludność miasta stołecznego uciekała z rozpalonych kamienic i szukała cienia poza rogatkami miasta.

Najmilszém miejscem dla takich wycieczek jest tak zwana Zofijówka.

Zofijówka, to Szwajcarya nadpełtewska. W nader romantyczném położeniu między jarami i wzgórzami, otoczona lasem i stawkiem, a po skrzydłach przysiadłemi do ziemi cegielniami, daje Zofijówka mieszkańcom stolicy swój niejako pierwsze abecadłowe pojęcie o potędze i dziewiczym jój uroku.

Tutaj podczas feryi szkolnych wyprowadza stary pedagog najlepszych uczniów swoich i uczy ich *ex natura*, co to są góry i doliny, strumyki i jeziora. Wybrana przy cegielni ziemia daje mu sposobność zapoznania uczniów z różnemi formacyami, które tutaj rozumie się w miniaturze, w naturalnych leżą pokładach. Po wyczerpaniu tych geognostycznych wykładów, pokazuje im pełzające po ziemi robaczki, i uczy ich rozróżniać bąka od trutnia. Nieomieszka im przytem powiedzieć, który kłos jest żytem a który pszenicą,

zadając im później dowcipne pytanie: jak się nazywa bułka w dzikim stanie?

Ludzie słabi na płuca, którym się zdaje, że człowiek do prawidłowego oddychania powinien mieć dziesięć razy więcej powietrza, niżeli zazwyczaj w mieście każdemu wymierzają, wychodzą tutaj jak głodna załoga fortecy na zaprowiantowanie się powietrzem i czystą wodą kryniczną.

Emerycy cywilni i wojskowi zajądają tutaj żytni chleb z mlekiem w tém mniemaniu, że tym sposobem po czterdziestoletniej pracy biurowej i wynaturzonym życiu wojskowym wracają napowrót do prawideł natury, chociaż te prawidła sprawiają im niestrawność i bóle żołądkowe.

Najlepiej reprezentowaną jest tutaj Izba obrachunkowa. Ludzie rachunkowości obliczyli bowiem, że tutaj racye chleba z masłem i rzodkiewką są daleko większe niżeli po miejskich restauracjach, co także i o szklankach piwnych powiedzieć można. Zresztą zastępy te składają się po większej części z poetycznych pobratymców czeskich i sielankowych synów Germanii, którzy dążą tutaj, aby przy kufelku piwa podziwiać „*freje schöne Natur*” albo na przemian: „*Gde domow mój*” albo „*War ist den Deutschen Vaterland*” zaśpiewać.

Czasami wysunie się z długiego parowu szereg jednako ubranych sześciu dziewczec, starannie podług wzrostu uporządkowanych. Kilku aplikantów idzie w assekuracji tego orszaku, który zamyka poważny jegomość z twarzą w grube fałdy obleczoną.

Jest to ojciec sześciu córek, rodzic jakiejś dykasteryi, który sprawiając córkom przyjemność dzisiejszej wycieczki, oblicza w duchu dosyć dotkliwy koszt sześciu czy raczej siedmiu porcyj kawy i możliwą za ten expens korzyść co do widoków matrymonialnych.

Świata wyższego tam nie ma najeźściej. Jest to wycieczka zadaleka i nie ma wyższej reputacyi. Towarzystwo, które się wybiera, czyni to tylko dla ruchu. Niema

się tam przed kim popisywać ekwipażem i toaletą, bo konsumenci piwa i powietrza na tém się nie znają.

Wyjątkiem tylko zbłądzi tam karetą z herbem. Będzie to zapewne jakaś dogorywająca staruszka, której lekarz domowy jako *ultimum remedium* zapisał świeżą naturę.

Biedna ta natura! Po wyczerpaniu wszelkich kapryśków, po długich wędrówkach przez manowce i bezdroża, po zużyciu tego wszystkiego co kuchnia łaćnińska dać może, wracają owi ludzie do prawideł natury, jak owi emeryci do razowego chleba z mlekiem! Jest to jednak już często za późno, a jak owym emerytom spóźniona sielanka sprawia tylko boleści żołądkowe, tak i owym z honorariów lekarskich uwolnionym pacjentom nie wróci już natura sił utraconych.

Dzisiaj Zofijówka była dosyć osamotniona. Na „Pohulance” i „Cetnerówce”, w sąsiednich miejscowościach otworzono nowe restauracje. Amatorowie piwa i chleba z masłem udali się tam na zwiady, gdzie większe będą porceye. Na Zofijówce zostali tylko ludzie systematycznego porządku, którzy raz obranych programów nie zwykli dla lada nowości łamać.

Ci tylko siedzieli dzisiaj przy długich stołach w szeregach przerzedzonych i smutno ruszali głową nad niestatkami rodzaju ludzkiego, który jeszcze dotąd nie pozbył się pierwiastku rewolucyjnego i ustawicznie ugania się za nowościami tego świata, które nic nowego dać nie mogą.

Przy jednym z osobnych stolików siedział młody człowiek, nader starannie wystrojony. Miał na sobie jasny ubiór, cały jednakowy z pewną fantazyą zrobiony. Pod szyją ulokowały się olbrzymie kołnierzyki, mocno krochmalne, które nie pozwalały mu zginać głowę w sposób przyrodzony. Chcąc widzieć co przed nim na stole było, musiał cały korpus poniżej bioder zginać i tym sposobem przypominał nieco postać wielbłąda.

Nie było to pięknie, ale miało zawsze w sobie coś odznaczającego się. Był to Stefuś.

Założył na nos lornetkę, obejrzał starannie wszystkie stoły, przejrzał także nieliczny tabor dorożek i rozkazał sobie podać herbatę z różnemi przekąskami.

Herbata, ów napój czysto miastowy, który dobry jest, aby ciasne i ciemne ulice rozprzestrzenić i rozjaśnić; napój, który tylko wtajemniczonym w jego sekrety ludziom udaje się; ów napój wśród rozległego widoku Zofijówki, wśród krzawiących się kufli piwa i mleka, był istną parodią!

To też jeszcze smutniej zaruszali głowami zacni emeryci, którzy w tém jedném słowie „herbata” oczywistą profanacją swojej ukochanej Zofijówki widzieli!

— Cóż to za elegant, który tutaj na herbatę przyjeżdża? — zapytał łysy bezwłosego.

— Ej! Nie!... Widać po tém oglądaniu się, że on tutaj na coś upatrzonego przybył!

— Być może! Ludziom próżnującym, głupstwa w głowie! Co dzień to widzimy!

— Największém głupstwem panie Michale jest: sześćdziesiąt ośm lat!

Łysy jegomość chciał podgarnąć sobie włosy, ale przypomniał sobie, że tych już nie ma, i zatrzymał rękę w połowie drogi. Bezwłosy rozśmiał się, trącił go łokciem i rzekł:

— Po co całemu światu ręką łysinę pokazywać! Świat i tak ją widzi, chociażbyśmy ją Bóg wie jak zakrywali! Ręczę panu, że z taką łysiną nie ma się już co tak oglądać, jak ten elegant!

Łysy był przyzwyczajony do żartów bezwłosego swego kolegi; to też nic nie odpowiedział, tylko żart ten sporym haustem z kufelka zapił, a Stefusiowi pozwolił oglądać się podług woli.

Stefuś oglądał się ciągle, kazał nawet „panience” nie bardzo z herbatą się spieszyć, i uzupełniał co chwila rozkazy swoje co do dodatków herbacianych.

Stefuś nie pozwalał sobie codziennie takiego wybryku. Szczupła rodzicielska pensyjka nie wystarczała na to. Wprawdzie można było u kolegów coś pożyczyć, ale i to nie

mogło pokryć kosztów lepszego życia. Przemysł jednak jego rozwinął się tutaj wspaniale.

Żyjąc w szerszym świecie, potrzeba było tym i owym znajomościom choćby napozór tylko wystawniejszemu życiu wyrównać. Na to zaś nie było funduszków. Stefus więc ułożył sobie taki program życia, że pięć lub sześć dni w tygodniu kontentował się suchym kawałkiem chleba lub skromnym jakimś obiadem *incognito* w przedmiejskiej gar-kuchni, a raz lub dwa razy pojawiał się z fantazją zasobnego człowieka w najpierwszych restauracjach i z pewną ostentacją zjadał drogie i wykwintne potrawy. Tym sposobem podtrzymywał relacje swoje z ludźmi, którym w wydatkach codziennych wyrównać nie mógł.

Zdaje się, że i herbata na Zofijówce należała do rzędu owych reprezentacyj, z jakimi od czasu do czasu się popisował. Ale reprezentacja ta nie miała odpowiednich widzów. Emeryci nie tylko nie zbudowali się szumnie zapowiedzianą herbatą, ale poczytali ją jeszcze na niekorzyść konsumenta wielkim głupstwem a to raz dla tego, że sami herbaty nigdy nie pijali, a powtóre, że herbaty na Zofijówce nigdy jeszcze nie widzieli, choć tu chodzili już od lat dwudziestu!

Pewną więc rzeczą było, że herbata Stefusia była obliczoną dla zupełnie innych widzów.

Jakoż w samej rzeczy, z głębokiego parowu wysunęła się zwolna olbrzymich kształtów kareta, jakiej drugiej na całym obszarze dziesięć milowym nie było.

Ekwipaż ten zwrócił teraz uwagę emerytów na siebie, którzy już i tak, jak zazwyczaj emeryci, usposobieni byli do widzenia świata w czarnych kolorach i poczytywania wszystkiego za głupstwo!

Poczęli więc o ekwipażu czynić sobie półgłosem różne uwagi i ubolewać nad ciemnotą ludzi.

Najprzód zwrócił ich uwagę furman siedzący na koźle tak wysoko, że zdawało się, iż po wierzchołkach sosen pojedzie. Furman ten miał całą liberyę, sięgającą aż po kostki szerokim galonem obszytą. Kapelusz na głowie trójgraniast-

ty był także sporo szychem obsyty, a co najmocniej emerytów intrygowało, to był rodzaj epolety srebrnej na jednem ramieniu, którą furman od czasu do czasu nader dumnie potrząsał. Zdawało się że uważał tę epoletę za zaszczyt nadzwyczajny!

Niezwykła ta dekoracya furmana sprawiła, że podrażnieni rozkosznie tą nowością ulicznicy puścili się za ekwipażem zaraz od „Zielonego” galopem, a niektórzy uczepili się z tyłu i szczęśliwie aż do Zofijówki przyjechali mimo protestacyi akselbantowego jegomości, przed którą nader zęcznie umieli się za olbrzymiem pudłem ukryć.

Tym sposobem ekwipaż przybył na Zofijówkę wraz z liczną załogą. Załoga ta zmuszona do opuszczenia swego dotychczasowego stanowiska, otoczyła szerokim wieńcem szczęśliwego człowieka ze srebrną epoletą, a niektórzy nawet kusili się o tę dekoracyę, drażniąc ją z tyłu długim kijkiem..

Tymczasem z karety wysiadły dwie kobiety w strojach nader wytwornych.

Stefuś, który właśnie teraz już przy zastawionój herbatcie swojej siedział pospieszył do karety.

Jedna z pań była młoda i dosyć ujmująca. Miała ruchy nadzwyczaj żywe, trochę efektowna. Druga starsza mogła być tak zwaną: *dame de compagnie*. Była dosyć sztywna i milcząca.

— Ach! Pan już tutaj?—zawołała młoda—i już obłożony biszkoptami, ciastami, konfiturami!

— Nagromadziłem wszelkie słodczyce, — odpowiedział Stefuś,—na jakie tylko Zofijówka zdobyć się mogła, ale nie mogły mi one osłodzić gorzkich chwil oczekiwania!

Pani Aurelia (tak się nazywała młoda dama) podała mu drobną rączkę opiętą w ciasną rękawiczkę, pokazała szereg najbielszych ząbków i odparła:

— Widać ztąd, że brak idealniejszych przyjemności mógłbyś pan sobie wynagrodzić dobrą herbatą z biszkoptami, ciastem francuzkiem i konfiturą!

— Próba, jak się przekonałem, nie udała się!

— Bo pan niewłaściwe próby czynisz!... Daleko skuteczniej byłoby może długie chwile oczekiwania zastąpić poetyczną medytacją pięknej natury, tego ślicznego krajobrazu z lasem i stawkiem...

— Ach to wszystko takie nieme i zimne!

— Wszystko jest nieme, jeśli nie umiemy zapytać się i wydobyć odpowiedzi!

Oczy pani Aureli zmrużyły się i skoncentrowały na chwilę całe swe światło na bakenbardy Stefusia. Stefus pogłaskał zato bakenbardy w nagrodę zwycięstwa i uśmiechnął się.

— Czasami,—odpowiedział—zamiast rychłej odpowiedzi lubimy zawieszenie wyroku, bądźto z obawy przed nie-szczęściem bądź szczęściem!

— Trzeba sobie na jedno i na drugie zasłużyć!... Wyobraź pan sobie, jakbyś pan korzystnie wyglądał, gdybyśmy tam z głębokiego jaru obaczyły pana na tém urwisku pod konarem téj sosny tak poetycznie rozstrzępionéj... zamysłonego z wejrzeniem utkwioném.

— W herbatę z przekąską! To prawda, że to nie bardzo poetycznie. Ale ja jestem realnym.

— Zawsze mi to pan powtarzasz. Zaczyna mnie to już nudzić, bo przedsięwzięłam sobie nastroić pana jakoś poetyczniej. W pańskim wieku tylko poezya powinna nad wszystkiém dominować!

— Lubię poezyą w książce i to nie zawsze!

— A za cóż pan nas masz?

— Za poezyą realną, która nie gardzi nigdy dobrą herbatą i przekąską z konfiturami!

— Otóż mylisz się pan! Herbatą i konfiturami gardzimy na Zofijówce, bo trzeba przecież użyć tutaj sielanki!

Łysy trącił tutaj łokciem bezwłosego i szepnął do niego półgłosem:

— Cóż to za paplanina! Czy pan rozumiesz co z niéj? Ja jestem ciemny jak w rogu!

— Sześćdziesiąt ośm lat panie Michale,—odpowiedział bezwłosy,—to ciemność egipska w takich rzeczach! Już tam oni muszą się rozumić, inaczej nie gadaliby do siebie. Gdy wróbel do wróbla ćwierka, to także się rozumieją, chociaż my z tego nic się dowiedzieć nie możemy!

— Chyba że to nie ludzie!

— Chciałeś powiedzieć panie Michale: nie-emeryci!

Łysy splunął z indygnacyi nad całym światem, który nie ma łysiny, a fertyczna dziewczyna nakryła tymczasem osobny stolik, do którego i Stefuś przeniósł się ze swoją wykwintną herbatą.

Na stoliku pojawiły się szklanki mleka czyli śmietanki i jakieś ciasteczka czerstwe.

Podczas kiedy towarzystwo przy osobnym stoliku jak można najlepiej się zabawiało, a ulicznicy przedmiejscy prawdziwy szturm w skombinowanych kolumnach do srebrnego kutasa stangreta przypuszczali, dwaj emeryci opowiadali sobie o właścicielce karety różne informacyjne szczegóły, które tutaj w treści powtórzyć należy.

Pani Aurelia czyli jak ją powszechnie nazywano pani baronowa, była córką, a nawet zdaje się jedynaczką, pracowitego ziemskiego właściciela, który w pocie czoła uprawiał piaszczyste swoje grunta.

Na tych piaszczystych polach rozwinęła się Aurelia bardzo ładnie według prawideł natury. Miała wdzięki ciała i umysłu a w dodatku dosyć nieszpetyny posażek, pracą ojca uzbierany.

Do tych wdzięków łącznie z posażkiem wzdychało wielu powiatowych kawalerów, a każdy okazywał jej swój afekt jak umiał. Jeden zajechał czwórka kasztanków przed ganek, chociaż cała okolica wiedziała, że na te kasztanki wystawiony był weksel na przyszły posag żony; drugi pojechał wprzód do Lwowa, kazał tam sobie głowę na dwie połowy symetrycznie rozdzielić i tak rozdzieloną głowę przyniósł pannie w ofierze na wszelkie przygody życia: trzeci

sprowadził z Wiednia najmodniejszą krawatkę w jaskrawe pasy i nią przed jęj oczyma zabłysnął.

Byli również i tacy, którzy znani powszechnie w okolicy przybyli na codziennych wózkach swoich i mówili z ojcem o porobionych sprzętach w polu i prawdopodobnej spe-randzie wydatków....

Aurelia jednak żadnego nie akceptowała, bo z góry ułożyła sobie planik całej swojej przyszłości, a takięj przyszłości nie dawał jęj żaden z dotychczasowych konkurentów.

A przyszłość ta była żywcem wyjętą z jednego z francuzkich romansów.

Były to poprostu rozkosze salonu.

Romans francuzki wymalował jęj ten salon na wielkim świecie w tak poetycznych kolorach, z taką ułudą wszelkiego prawdopodobieństwa, że trudno było innego szczęścia pragnąć.

Było tam wszystko jakby na scenie jakiego teatru. Gospodyni domu siedzi na kozetce i przewraca jakiś dziennik illustrowany. Słychać dzwonek. Lokaj przynosi kartę wizytową. Gospodyni czyta kartę, namyśla się... wreszcie każe przyjąć. To pewnie intryga pani A. — myśli sobie i gotuje się do odparcia tęj intrygi. Wchodzi pan B. Rozpoczyna się zręczna szermierka słów i spojrzeń... domysł był prawdziwy, pani A. intrygowała, ale się nie udało. Tymczasem nadchodzi trzecia osoba. Ta osoba zawiązuje teraz istny dramat. Idzie już teraz o losy dwojga ludzi. Któżby był tak okrutnym i pomagał do haniebnęj intrygi. Trzeba ludzi ratować. Gospodyni po mistrzowsku prowadzi całą akcyę, która na wieczornęj herbacie kończy się zwycięstwem nawpół już przegranej sprawy, a salony stolicy składają biletami wizytowemi hołdy zręczności pani X. i polecają się jęj pamięci!...

W drugim obrazie widziała siebie śród swego salonu otoczoną adoratorami. Nie miała ona złych zamysłów, ale tak dla zabawki można sobie pewnej szermierki słów i spojrzeń pozwolić! Wszak to można tak mistrzowsko wszystko prowadzić, że to nigdy do niczego obowiązywać nie może,

a przecież jest rozrywką, która sprawia pewne lekkie emocje....

Tak sobie jedynaczka wyobrażała „salon” i tylko za cenę takiego salonu chciała oddać przysłemu mężowi serce, rączkę i posag.

Takiego jednak kandydata nie było. Każdy z nich chciał na wsi siedzieć i pracować. A tak zakwasić sobie całe życie nie było wcale życzeniem ładnej i żywej jedynaczki.

Otóż już w ostatecznej godzinie, gdy jedynaczka miała dwadzieścia sześć lat, przyjechał szpakowaty pułkownik od huzarów, który świeżo z pułkiem swoim w okolicy rozłożył się i porozumiał się z nią o szczęście małżeńskie. W skutek tego porozumienia opuścił nietylko, jak mówi Pismo święte, ojca i matkę, ale opuścił i pułk swój i przeniósł się do stolicy nadpełtewskiej, aby tamże swojej ukochanej ów wymarzony „salon” zbudować!

Pułkownik był baronem niemieckim, ale jak widać nie takim strategikiem. Trudno bowiem było o gorszą pozycję dla „salonu,” jaką jest stolica Lwa.

Stolica Lwa nie czytuje prawdopodobnie francuzkich romansów, bo nietylko, że warunków „salonu” u siebie nie ma, ale nawet nic o nich nigdy nie słyszała!

Słowo „salon” zna tylko z powieści „Dzierzkowskiego” i dodaje zaraz do tego „ulica.” Bez tego dodatku nie umiałyby nawet sobie wyobrazić, jakim sposobem sam salon mógłby istnieć na świecie. „Salon” według tych wyobrażeń u niej to hrabia,—a „ulica” to szewc. Te dwa antagonizmy tworzą jedno i drugie, bo bez antagonizmów jedno i drugie istnieć nie może.

W salonie więc może tylko być hrabia, a szewc na ulicy. Szewc to często synowiec proletaryatu, a inteligencya to także proletaryat. Wnioski z tego dalsze są bardzo łatwe.

Takie miała, a może i dotąd ma stolica Lwa wyobrażenie o „salonie.” Nie winna ona temu, bo innych wyobrażeń

jój nie dano, przynajmniej do czasu, gdy pani Aurelia tam salon zakładała.

Aby słowo „salon” oznaczało jak gdzieindziej w Europie zbiór ludzi odznaczających się w różnych zawodach publicznych, celujących uzyskaną pozycją w społeczeństwie, o tém tutaj nikomu się nie śniło!

Stosownie więc do niefortunnego dogmatu śp. Dzierkowskiego „salon” mógł się tylko składać z samych hrabiów, do których czasami „koligaconych” przypuszczano.

Na nieszczęście pułkownik był tylko baronem, nie miał w kraju żadnych koligacyi, więc plan jego był niestrategiczny i nie taktyczny, jeśli przy ulicy Jezuickiej chciał dla swojej idealistyki założyć „salon” w takim znaczeniu, w jakim go francuzkie romanse pojmują.

Koledzy jego utrzymywali, że to nie był pierwszy, ale właściwie drugi jego błąd taktyczny....

Stosownie więc do życzeń swojej małżonki miał pułkownik przy ulicy Jezuickiej salona otworzyć.

Trzeba przyznać, że pułkownik wywiązał się z swego zadania bardzo zaszczytnie. Po dwutygodniowej bowiem pracy i frasunku stanęło sześć pokojów starannie umeblowanych. Nie brakowało tam niczego, co zewnętrzną stronę salonu stanowi. Gdyby najwybredniejszego lokaja do tych meblami, firankami, portierami, lustrami i dywanami ubranych pokoi wprowadzono, i zapytano go jak jeden z takich pokoi nazywa, toby odpowiedział: „salon.”

Ale salonowi temu brakowało mimo orzeczenia lokaja, jeszcze pewnego dodatku, to jest szacownych gości. Otóż o nich teraz zaczęli się starać skrzętni małżonkowie.

Sprowadzono z Wiednia olbrzymią karete, wybrano wysłużonego grenadyera na stangreta, przybrano nawet do assekuracyi karety przed ulicznikami strzelca z pioropuszem — jednak o gości było jakoś bardzo trudno!

Państwo baronowie porobili uroczyste wizyty, wyszafowali mnóstwo kart; ale za karty otrzymywali w zamian kar-

ty i to jeszcze nie od wszystkich dłużników, i na tém się skończyło!

Baronowa nie umiała sobie poradzić. Wykwintne stoły stały próżne, francuzkie dywany leżały nie tknięte żadną nogą na parkietach.

Pułkownik wpadł na trzeci z kolei nieszczęśliwy koncept i zaprosił swoich dawnych garnizonowych kolegów. Ci stawili się w komplecie, a nawet przewyższyli takowy.

Zrazu było to nowością dla baronowej. Palisandrowe stoły uginały się pod tortami i pieczenią sarnią, butelki strzelały plutonami, dym amerykańskich cygarów czernił tak samo białe firanki jak dym z prostych dwu-centówek.

Bardziej jednak niżeli ten dym brudne były rozmowy ochoczych gości. Dowcipy były trafne, ale czysto garnizonowe obliczone na mocniejsze nerwy. Owój lekkiój przezroczyściej szermierki słów i spojrzeń, o których marzyła baronowa, nie było nigdzie! Intryg miłosnych lekko naszkicowanych nie rozumiano, a sentymentalne urojenia brano za równo z głupstwem, które może być tylko rezultatem głodnego żołądka!

Baronowa zaczęła się rozczarowywać. Garnizon jój stawał się każdego wieczorku w pełnej liczbie, zjadał sumiennie wszystko, co było na półmiskach, wypijał do ostatniej kropli, co mieściły w sobie faszki i faszeczki, ale natomiast nic jój nie dawał. Byli tacy, którzy przez cały czas ani słowa nie powiedzieli, tylko najadłszy się, szukali wygodnych kanapek, aby spokojnie trawić. Żadna historia, żadna choćby najdrobniejsza intryżka nie wywiązała się z tych kosztownych wieczorków. Żony garnizonu mówiły o smacznych ciastach, o przyprawie pieczeni i udzielały je z całą serdecznością swoich arkanów kuchennych, przy których Aurelia dostawała mdłości i spazmów!

Dała pułkownikowi znak niezadowolenia z gości swoich: pułkownik zatrąbił na odwrót. Trudna była sprawa z odwrotem, ale powoli jakoś to się zrobiło. Pole zostało oczyszczone z nieprzyjaciela, poległym ofiarom wysypano mogiły z wiankami wspomnienia i akt pierwszy się skończył.

Rola pułkownika była skończona, baronowa wzięła sprawę w swoje ręce. Mąż dostał dymissyą i mógł teraz swobodnie w kapenhauzie „wiedeńskim” prowadzić dalsze rozmowy z przyjaciółmi swymi garnizonu. Dymissya ta bardzo mu się podobała.

Trzeba przyznać, że baronowa heroicznie walczyła z anti-towarzystką chorobą stolicy. Jój olbrzymia karetka z olbrzymem na koźle kolebała się po całych dniach po nierównym bruku ulic, strzelec zsiadał i wysiadał na kozioł, biegał po schodach, roznosił bilety, ale wszystko nadaremnie! Domatorska stolica nie dała się niczém rozruszać, istniejące według zawodu lub urodzenia kółka zacisnęły się szczelnie aby żadnego nie uprawnionego przybysza do siebie nie przyjąć, a baronowej nie pozostało nic innego jak dumanie w samotnych salonach.

Złośliwi powiadali, że razu jednego widzieli pułkownika z arkanem pod pachą wychodzącego na obławę, aby jako tako salon swojej żony zaludnić, i utrzymywali, że znajomi wciągali na widok jego swoje szyje głęboko w tułowy, aby się tylko nie dać złapać!

Baronowa przeszła wszelkie możliwe warstwy ludności stołecznej, wpisała się do chórów amateerek i towarzystw dobroczynnych, kwestowała po domach i sprzedawała fanty i doprowadziła po dwuletniej ciężkiej pracy do tego, że mogła w swoim salonie mieć jednego artystę-muzyka, jednego malarza, dwóch dependentów od adwokatów, z których jeden grał na basetli, drugi na skrzypcach i trzech chórzystów ze stowarzyszenia z dodatkiem kilku pieczeniarzy, którzy w zamian za kawał mięsa znosili jój różne plotki miejscowe.

Za pomocą tego kontyngensu urządzała małe wieczorki muzykalne i bawiła się jak mogła.

Z pomiędzy trzech chórzystów pierwsze miejsce zajmował Stefuś.

Był on nieocenionym dla niej nabytkiem. Układał teatru amatorskie i grał razem z nią role pierwszego rzędu. Przymem był zawsze na usługach, czego tylko zapragnęła.

Dla Stefusia był salon pani baronowej nader wygodnym. Wchodził gdy miał czas, a nudząca się baronowa miała przynajmniej sposobność wygadania się, za co mu pułkownik był bardzo wdzięczny. Polubił go jak swego syna, a nawet w kawiarni grywał z nim w domino.

Baronowa w braku innego materiału widziała w nim artystę, a że w romansach artyści i poeci zazwyczaj ważną rolę odgrywają, toż i jemu chciała koniecznie narzucić jakąś rolę, któraby w sposób nader niewinny mogła ją trochę intrygować.

Dotąd jakoś nie mógł Stefuś nadać się do żadnej roli. Był wprawdzie mistrzem w rolach teatralnych, ale w życiu nie kwapił się do ról podobnych, bo talent swój, jak się zdaje, chciał chować dla téj roli, która miała być początkiem jego przyszłości. Kończyło się więc wszystko na pewnej szermierce słów, która mu sprawiała zadowolenie, że szermierzyć potrafi.

Taki był stosunek Stefusia do baronowej.

Napozór był ten stosunek dosyć niewinny, ale wywierał on na moralną stronę Stefusia pewien wpływ niekorzystny. Osobliwie przy dłuższém trwaniu tego stosunku uderzyło to w oczy.

Dla młodego człowieka, jakim był Stefuś, powinna kobieta mieć pewien urok tajemniczy, który mu tylko zwolna pozwala zbliżyć się do niej, by w niej ideał życia adorować. On powinien wprzód widzieć go tylko zdala, marzyć o nim, pragnąć zbliżenia, walczyć z przeszkodami i powoli wyciągać rękę do pół mglistej atmosfery, która ten ideał otacza.

Jest to tak zwany kwiat uczucia, nim w jakikolwiek owoc dojrzeje.

Barwa tego kwiatu ściiera się łatwo, jeśli przedział, który młodego człowieka od świata oddala, nagle znika i pozwala mu żyć w téj pełni życia, do jakiej jeszcze dojść nie był powinien.

Baronowa była piękna, młoda kobieta. Miała pewne wykształcenie, wiele uroku i rutyny towarzyskiej, która jej towarzystwo czyniła miłym i pożądanym.

Stefuś w pierwszych dniach był tym urokiem wzruszony, jak każdy młody człowiek nim być powinien. Jego umysł ożywiało się przy jej słowach trafnych i dowcipnych, jego ucho mile chwyciło ten dźwięczny i harmonijny głos kobiety, która czuła to co wymawiała.

Gdyby Stefuś poprzestał na rzadkich chwilach takiego wzruszenia towarzyskiego, byłby zachował wszystkie poetyczniejsze barwy swojej wyobraźni, które dla całego życia tak są potrzebne.

Ale Stefuś nie znał takiej ekonomii, bo takich barw nie cenił wiele. Baronowa nudziła się, Stefuś był codziennie dobrze widziany, rozmawiali o wszystkim, o czem tylko się dało, tak, że po jakimś czasie spoufalili się z tym ideałem życia jakby on był jego kolegą szkolnym!

Spokojnie siedział po długich godzinach rozparty na fotelu, zaciągał się papierosikiem jakby był w kawiarni, mówił albo drzemał lub poziewał, jak mu się podobało, a baronowa szczebiotała często bez należytego porządku w myślach, bo on właściwie był dla niej niczem!

Tym sposobem nabierał Stefuś pewnego fałszywego ożycia się w świecie, które czyniło go mało wrażliwym na rzeczy, które nim wzruszać powinny były.

Była to pewna starość moralna, która każdego wczesnie w świat rzeczywisty wchodzącego młodego człowieka ogarnia, a która najwybitniej okazała się na Stefusiu.

Młoda dziewczica, do której w towarzystwie się zbliżał, była mu rzeczą zupełnie obojętną, jeżeli naprzód jakiej myśli nie powziął. A jeśli to była dziewczica z niższych warstw towarzyskich, i nie miała takiego jak baronowa uroku wyższego świata, to zaledwie spojrzął na nią.

Po jakimś czasie spostrzegła to nawet sama baronowa. Złożyła to na karb powszechnej dzisiaj u młodzieży choroby, która jakby wyżyta i przesycona życiem wyglądała

a nie wiedziała, że jej postępowanie ze Stefusiem takie same skutki sprowadza.

Zauważyła od niejakiego czasu, że Stefus nie o wiele się różni od starego pułkownika. O kobietach odzywał się w ten sposób, jak człowiek w całym życiu doświadczony i syt nawet już tego życia.

Stefus nie był wcale takim, ale przez wczesne zbliżenie się do świata, przybrał takie pozory, naśladowując starszych, którzy przypuścili go niejako do równouprawnienia. Najwięcej przyczyniła się do tego baronowa, chociaż o tém bynajmniej nie wiedziała.

Miała ona dawniej wyobrażenie, że u młodego człowieka jakiegobądź wspomnienie o kobiecie powinno wywołać choćby niewidzialny rumieniec, powinno przyspieszyć bicie serca i w głowie się odbić.

Stefus jednak spoufalony tak częstém jej towarzystwem odzywał się o kobietach takimi słowy, jak się mówi o psach i kotach, i zaprawiał te słowa pewnym cynicznym dówcipem. Miało to u niego oznaczać dojrzałość do świata i pewne realne zapatrywanie się na życie. Deklamował poezye Hejnego, i umiał doskonale trawestować Mickiewicza: „Powrót taty!”

Zrazu bawiła baronowę ta poufałość młodego człowieka, potem gniewała ją. Widziała że mimo wszelkich swoich wdzięków nie sprawia na nim żadnego wrażenia, chociażby one było najniewinniejsze, chociażby było-tylko pewnym obowiązkiem każdej młodości.

Rozpoczęła więc kampanią. Zrazu prowadziła ją nader małemi subtelnemi środkami. Ubierała się dla niego staranniej. Rozpoczynała rozmowę z romansem francuzkim w rękę, opowiadała mu treść romansu, powtarzała mu sytuacją bohatera i bohaterki, urywała w połowie słowa, spuszczać swoje piękne oczy i doszeptując resztę jakimś dziwnie stłumionym głosem, przyczem piękny jej biust, wznosił się lekko jakby fale na cichém jeziorze przed burzą...

Stefuś na to wszystko po swojemu odpowiadał, bo kobieta siedząca przed nim nie wchodziła w rachunek jego przyszłości. Potrzeba było użyć środków silniejszych.

— Jak się panu moja fryzura dzisiaj podoba?—zapytała go raz po dwugodzinną pracę przy gotowalni.

— Jest to fryzura—odpowiedział spokojnie—jakię często używa księżniczka. Lubię tę fryzurę.

— Ale pan patrzysz na nią tylko z frontu: spojrzysz pan jak ona w tyle wygląda?

Tu skrzyła szybko swoją piękną główkę i pochyliła się przed nim jakby do ukłonu.

Stefuś ujrzał przesliczną szyję cudownej inkarnacji, jaka kiedykolwiek istnieć mogła, z lekkim, aksamitnym meszkiem, który gubił się za tajemniczym rąbkiem rannego negliżyku.

— Bardzo misterna fryzura — odpowiedział — tylko wkraść się w skład loczków mały nieporządek.

— To popraw pan!—wyszepnęła baronowa a gorący jej oddech odbił się o batystową koszulę Stefusia.

Stefuś zaś spokojnie, jakby był biegłym fryzyerem, dla którego zatrudnienie takie jest zatrudnieniem codziennym, odgarnął zabłąkane loki od małego uszka i przerzucił je na drugą stronę.

— Tak będzie dobrze—odparł i usiadł napowrót jak najwygodniej w fotelu.

— Pan powinieneś zostać fryzyerem!—zauważyła złośliwie baronowa zaciskając białe ząbki.

— Sądzę, że byłbym mistrzem w tym zawodzie!—rzekł z uśmiechem Stefuś zapalając papierosa.

— Nie przeczę, masz pan bardzo pewną i spokojną rękę!—dorzuciła baronowa.

Na tém skończył się atak, ale kampania nie skończyła się. Przeciwnie, baronowa uważała teraz za punkt honoru, użyć wszelkich środków, aby młodego Stefusia z tego przedczesnego indyferentyzmu wyleczyć. Nie działała tu w interesie własnym, ale w interesie tego wielkiego ideału życia,

jakim jest kobieta. Tak przynajmniej tę walkę sobie przedstawiała, a nawet pułkownika w sojusz wciągnęła.

Pocziwy pułkownik cieszył się z dowcipnych planów żony, a najbardziej cieszył się z tego, że żona znalazła sobie rozrywkę, która uwolni go na czas niejaki od kłopotliwego starania się o gości.

Teraz rozpoczęło się na wszystkich punktach ostrzeliwanie nieprzyjaciela.

Grad pocisków padał na Stefusia. Bomby, granaty, pełne kule i kartacze, pociski napełnione wewnątrz masą zapalną, sznapugle i pułkule z łańcuchami, wszystko to dobyto z arsenału.

Zrazu sprawiało to Stefusowi niejaką przyjemność, bo oczywiście rozumiał do czego to dąży; później jednak uspokoił się, bo wymierzone pociski sprawiły wprost przeciwny skutek.

Stefus przyszedł do przekonania, że baronowa szalenie w nim się zakochała. Zamiast widzieć w tém jakiegokolwiek szczęście, przypisał całą zasługę sobie i jako nieodparty zwycięzca serc kobiecych nastroił wyżej swoje marzenia, które nawet daleko po nad fryzurę baronowej sięgały.

Baronowa w jego oczach była tylko jedną z ofiar, jakich wiele może na drodze życia pozostawić będzie musiał, zanim do portu prawdziwego swego szczęścia zawinie!.. Dla baronowej mógł dzisiaj mieć tylko słowo politowania, że przypadek zbliżył ją do jego zwycięzkiego rydwanu!...

Takie wyobrażenie miał teraz o sobie Stefuś po nieśczęśliwym ataku baronowej. Uczyniło go to więcej cynicznym, zarozumiałym i na wszystko co go otacza, zimnym i obojętnym.

Tym sposobem filantropijne usiłowania baronowej pogorszyły jeszcze sprawę Stefusia. Ale baronowa była kobietą, ale program u kobiety równa się zmianie. Więc walka do ostateczności!

Wycieczka na Zofijówkę była niejako kontynuacją téj walki i z tego stanowiska trzeba sobie objaśnić pierwsze słowa między baronową a Stefusiem.

Wprawdzie siedzący obok nich emeryci trochę odmiennie zapatrywali się na tę sprawę, ale im we wszystkim wiary dać nie można, bo jako ludzie starzy i zgryźliwi nie lubią o świecie dobrze mówić.

Stefuś popijał z wolna swoją herbatę, bawił się krokoszem farbowanymi cukierkami, a różowe usteczka baronowej maczały się od czasu do czasu w białej śmietanie, jakby się okryć chciały śnieżną zasłoną.

Rozmowa była urywana jak każda wojna która od walk większych przeszła w partyzantkę. Skakano z przedmiotu na przedmiot, od stawku do cegielni, od sosny do buku. Całego bożego stworzenia użyto, aby siebie wzajemnie zwalczać, i w końcu gdy od stawku chłodny wietrzyk wieczorny zawaiał, powstano z wielkim szelestem i kazano olbrzymowi z axelbantem podjechać.

— Pan z nami wróćisz — rzekła do Stefusia baronowa — mam nawet planik na dzisiejszy wieczorek. W tej porze niepodobna dawać większych wieczorków, ale powtórzymy sobie nasze role do przyszłego amatorskiego przedstawienia.

— Znam już każde słowo, które pani masz mi odpowiedzieć — ozwał się Stefuś z uśmiechem — a wiedzieć wszystko tak naprzód, to nudno, strasznie nudno!

— Właśnie że pan nie wiesz, jaką niespodziankę panu gotuję — odpowiedziała baronowa.

— *Voilà le mat!* Na to się zgadzam! — rzekł Stefuś i podał ramię baronowej.

Mimo rzuconych przez obu emerytów kilku tysięcy djabłów wraz z beczkami i furgonami odjechała karetka dosyć szczęśliwie po małej utarczce z ulicznikami w wąwozie, i po godzinie drogi jednostajnego dudnienia zatoczyła się przed nową dwupiętrową kamienicę przy ulicy Jezuickiej.

— Czy nie czujesz pan tego skwaru? — zapytała baronowa wystawiając małą nóżkę na stopień.

Nie miał czasu Stefuś odpowiedzieć na to, bo potrzeba było podać obie ręce baronowej, która się lekko na jego ra-

mionach oparła. Stefuś przyznał, że rzeczywiście dzisiaj jest gorąco!

Potém podał ramię baronowej i oboje powoli weszli na szerokie schody.

Baronowa była mocno zmęczona. Opierała się na ramieniu Stefusia i jakoś powoli, przy wzajemnej pomocy weszli nareszcie do salonu.

W salonie były jeszcze rolety od słońca puszczane. Nadawały mu one koloryt prawdziwie zielonkowy, większa bowiem część przedstawiała widoki różnych okolic. Zielonawe światło przebijało się przez lasy i łąki i czyniło salon podobnym do altanki ogrodowej.

Baronowa rzuciła się na fotel. Schody zmęczyły ją jeszcze bardziej. Zdjęła kapelusik z głowy a z kapelusikiem odpiął się także jeden obfity warkocz i powoli stoczył się na białą szyję.

Po chwili i chusteczka koronkowa tamowała jej oddech pełną piersią. Dwoma paluszkami wysunęła ją z po za rąbka sukni, zdjęła z szyi i rzuciła na stół przed sobą.

— Jak pan nie możesz czuć tak straszego gorąca?— zapytała ruszając wachlarzem.

— Nigdy w lecie nie czuję zbytniego gorąca, za to w zimie i zimna nie czuję—odparł Stefuś.

— Toś pan szcz... nieszczęśliwy!—wykrzyknęła nagle poprawiając się.

— Nieszczęśliwy?—powtórzył Stefuś, który takiego zwrotu wcale się nie spodziewał.

— Alboż to nie jest prawdziwém nieszczęściem być na wszystko nieczułym?

— Czyż to się odnosi także do gorąca i zimna?

— Wszak mamy na wszystko jedne i te same nerwy!

— Zdaje mi się, że czułość zawisła więcej od serca!

— Gd serca?... Wszak serce, to nerwy, powiedziałeś pan niedawno!

— Czy tak powiedziałem?... Nie przypominam sobie. Jeśli tak było, to miałem prawdopodobnie jakieś powody do tego!... Czy pani baronowa sobie nie przypominasz jakie?

— Były to zapewne powody nie wielkiej wagi, jeśli pan o nich zapomniałeś!

— Być może. Są powody, które mają tylko chwilową wartość!

Baronowa spojrzała z ukrytym gniewem na dwudziesto-kilkoletniego młodzieńca, który w ten sposób z nią rozmawiał. Zdawało się jej teraz, że ona po części temu była winna.

— Chciałabym z panem mówić, gdy pan będziesz miał lat trzydzieści kilka!—ozwała się.

— Nie wiem, czy o wielebym się zmienił!—odpowiedział Stefuś.

— Mnie się zdaje, że pan będziesz wtedy starcem!

Stefuś przeszedł ręką po bakenbardach, skrzywił się poprawiając lornetki i odparł:

— Weszliśmy w rozmowie w nieprzyjemną sferę!

— Więc trzeba ją nagle czémś przerwać!... Powtórzmy nasze role do przyszłego przedstawienia... ale, przynajmniej ja z mojej strony—w kostiumie!

— Czy to ma być niespodzianka?

— Czy za mało panu tego? *Attendez!*

Wymówiwszy te słowa wstała z fotelu i wyszła do przyległych pokoi. Towarzyszka baronowej, która była Szwajcarką i nie po polsku nie rozumiała ukazała teraz Stefusiowi jakieś album, aby go czémś zabawić.

Za dobrą pół godzinę wyszła baronowa. Miała na sobie jakąś powiewną, napół przezroczystą suknię z błękitnej gazy. Włosy były w nieładzie rozpuszczone. W rękę trzymała złoty pasek.

Był to kostium teatralny, który miał przedstawiać ranny strój markizy z jakiejś francuzkiej komedii. Stefuś grał w tej komedii rolę kochanka.

— Nim jednak próbę rozpoczniemy,—szczebiotała słodko baronowa,—to jest, nim się widokiem pana przestraszę, żeś w takim rannym kostiumie mnie zeszedł, pozwól pan, że

wypełnisz pierwój służbę kamerdynera, czy raczój pokojówki. Czy wszędzie gładko suknia leży?

Baronowa obróciła się tutaj zwolna. Cała jój postać była piękną, jak postać Wenery.

— Wszędzie dobrze,—odparł Stefus, ale ciągle jeszcze patrzak!...

— Zdaje mi się, że te fałdy nierówne,—rzekła podnosząc z przodu suknię i wystawiając małą nóżkę.

— To tylko tak się pani wydaje!—odpowiedział Stefus i spuścił oczy na nóżkę.

— A jak się panu te szerokie rękawy podobają?—zapytała z uśmiechem złośliwym i podniosła rękę do góry.

Stefus spojrzak na szeroki rękaw i ujrzak w nim białą okrągłą rękę aż prawie po ramie.

— Te rękawy bardzo dobrze ubierają!—odparł zapuszczając jeszcze raz oko w głąb tego rękawa.

— A teraz trzeba jeszcze ten pasek ubrać, i zaraz zaczynamy!.. Za ciasny.... możebyś pan mi pomóg!

Stefus był już nieco do roli swojej przygotowany. Jeszcze jednak musiał pomódz pasek zapiąć.

— W samój rzeczy, jest trochę za ciasny,—odrzekł ściągając paskiem elastyczną kibić baronowej.

Zapięcie paska zabrało trochę więcj czasu. Baronowa pomagała mu, ręce ich często się razem spotykały.... pasek stawał się jakoś coraz krótszym. Wreszcie udało się, Stefus podniósł głowę do góry.

Baronowa spojrzak z lekkim uśmieszkiem na Stefusia, który włosy sobie odgarnął z gorącego czoła.

— Teraz przystąpmy do naszej roli! — zawołała i odskoczyła na kilka kroków.

W roli:

Ona: Przebóg Edwardzie! Ty mnie zgubisz!... Gdyby mój małż...

On: O gdyby samo piekło stanęło mi w drodze!.. Wyzwę i zwyciężę!

Ona: To szał mój drogi! To szał, to nie miłość, to nie to uczucie, którego jest wieczność!...

On: Miłość nie rozumuje mój aniele! Miłość to ślepe dziecko z oczami zawiązanemi!...

Ona: Miłość to łódka na falach jeziora, ale łódka bez steru i żagli utonie!

On: Dostyć tych pięknych słówek!... Powiedz mi Julio czy markiz dzisiaj odjedzie?

Ona: Wiesz Edwardzie, że on nigdy naprzd o tém nie mówi!

On: Potrzeba mi koniecznie o tém wiedziéć. Raz muszê tę sprawê zycia zakończyć!

Ona: Przebóg! Ty chcesz krwi? Chcesz śmierci, chcesz mordu?... O mój Boże!... I ja tego człowieka kochałam! Jam temu człowiekowi oddała całe życie moje, a on... a on chce mi męza zabić!

On: Tak Julio, chcę ci męza zabić, abym potém mógł być twoim!...

Ona: Ach mój biedny Alfons!... Jesteś złoczyńcá mój drogi! Złoczyńcá jesteś!

(Kochanek bierze się pod boki, śmieje się śmiechem homerycznym a potém siada).

On: Zadziwia cię mój śmiech Julio, ale pozwól wytłumaczê się z niego. Śmiałem się z wielkiego zadowolenia, że przecieź raz przekonałem się, że mnie wcale nie kochasz!

Ona (rzuca się na niego): Jaktó książę! I ty po tylu dowodach możesz mi tak okropne słowa powiedziéć?

On: Dałaś w téj chwili dowód najlepszy!

Ona: Jakiż dowód?

On: Przecieź wiesz, jeśli się pojedynek odbywa, to niepewna jest który z dwóch zginie!..! Tyś tylko myślała w téj chwili o śmierci męza, a o mnie wcale nie! Moja śmierć była ci obojętná!

Ona (biorąc go w objęcia): O mój drogi Edwardzie! Przebacz mi, przebacz!... Prawda, że o męzu pierwêj myślałam, ale widzisz.... przyzwyczajenie.... dziesięć lat pożycia

małżeńskiego a zresztą ślub przed kapłanem.... wszystko to połączyło się razem, aby o nim pierwój pomyśleć.... ale serce moje zawsze i wszędzie tylko tobie, i jeszcze raz tylko tobie oddane!...

Tu pochyliła się baronowa nad Stefusiem i nastąpiła chwila milczenia.

On: O jakżem szczęśliwy!... Nie wiedziałem, że te usta mają tyle trucizny oraz i tyle słodyczy!...

W téj chwili uderzyła grających komedya zmiana oświetlenia w salonie.

Baronowa spojrzała na drzwi; drzwi były otworzone: na progu stał jakiś obcy człowiek.

Był to jakiś przedmieszczanin w siwej kapocie, czerwonym pasem opasany. Na kapocie było sporo mąki, jakby we młynie mieszkał. Włosy miał siwe, ręce grube, narobione.

Baronowa krzyknęła i zasłoniła sobie zrazu oczy.

— Przepraszam aspanią dobrodziejkę, — odpowiedział nieznajomy, — szukałem służącego, ale nigdzie go nie znalazłem, a konie z bryką na ulicy czekają. Jestem Mikołaj Placek, piekarz i sąsiad imci pana Marcina Tarły zegarmistrza naszego i przychodzę właśnie za zleceniem jego, abym widział się z jego synem panem Stefanem, o którym mi powiedziano, że tylko tutaj u aspani dobrodziejki mogę go znaleźć!... Otóż i znalazłem: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Jakże się macie panie Stefanie?

Stefan poznał wprawdzie dobrze znany głos starego piekarza, ale nic mu nie mógł odpowiedzieć.

Zdawało mu się, że nagle skamieniał, zacząwszy od wielkiego palca a skończywszy na języku. Nie mógł ani powstać, ani przemówić.

Baronowa odstąpiła kilka kroków od improwizowanego księcia. Była to w każdym razie niespodzianka nader nieprzyjemna.

— Rodzic wacpana, — mówił dalej piekarz, — kazał się zapytać, czyś pan otrzymał przez Mordkę owe pięć reńskich co panu posłał na buty i książki?

Buty i książki ocuciły Stefusia. Śród takiej poezyi salonowej o butach i książkach, relacya ta więcej niżeli wymysł szatański!... Baronowa jeszcze do siebie przyjść nie mogła.

Ale Stefusiowi groziło jeszcze większe niebezpieczeństwo! Stary piekarz mógł dalej gawędę prowadzić, mógł różne rzeczy wypowiedzieć w naturalnej czy udanej prostocie swojej....

Zerwał się więc z fotelu, na który księciem usiadł, chwycił za kapelusz i rzekł do baronowej:

— Przepraszam panią, interesa powierzone mi przez trzecią osobę zmuszają mnie rozmówić się z posłańcem....

Baronowa ukloniła się grzecznie a Stefuś wypadł za drzwi popchnąwszy przed sobą piekarza.

Zdaje się, że w téj chwili czuł łzy pod powieką i przeklinał siebie, że się przynajmniej nie urodził baronem!

IX.

Z a l b u m u.

Katastrofa ta była bolesną, ale stało się, i odmienić jej nie można było; zresztą ulica Jezuicka była jedną z pięćdziesięciu ulic i uliczek stolicy, pozostało mu zawsze czterdzieści dziewięć.

Chodziło więc tylko, aby możliwym oskarżeniem piekarza skutecznie zapobiedz.

Gdy nad tém trochę pomyślał, okazało się, że jeszcze z tego niejaką korzyść wyciągnąć może.

Napisał więc prędko długi list do rodziców, opowiadając im o piekarzu, który go znalazł w salonie pewnej hrabiny, do której był zaproszony, aby się przygotować do wystąpienia w teatrze na cel dobroczynny. Wezwał przy téj sposobności piekarza za świadka, jak bogatym był salon, w którym go zastał i jak wielką była pani, z którą rozmawiał. Wypływało oczywiście z tego, że do takich domów musi się porządnie ubierać i że rodzice, jeżeli jemu drogi do szczęścia zagrozić nie chcą, to dadzą mu sposób ubrania się tak, jak tego jego pozycya wymaga.

Gdy stary zegarmistrz ten list przeczytał i właśnie głową chciał na to pokiwać, rozplakała się matka z wiel-

kięj radości, że Stefuś do wielkich państw w gościnę chodzi i że niezawodnie wielkie szczęście spotka go na świecie! A kiedy stary piekarz z mąką nadciągnął i swoją opinię inaczej wyraził, opisując panią i jej bogate komnaty, pani Marcynowa zapomniała o opinii sąsiada a upoiła się bogactwem komnat, w których Stefuś na krześle się rozpierał i była przekonana, że jej ładny i piękny Stefuś przynajmniej z księżniczką ożenić się może.

I nie dała mężowi póty spokoju, póki dużego listu nie złożył i kilka cedulek bankowych w nim nie zapieczętował!

Tym sposobem Stefuś jeszcze zyskał na tej fatalnej katastrofie. Wprawdzie stosunki z baronową oziębily się bardzo od tego wypadku, ale Stefuś jakoś tém się teraz bardzo nie martwił.

Baronowa nie była kobietą bardzo przesądną, ale samo zdarzenie było tak dziwne i tak tragi-komiczne, że całą jej dawną tkanę fantastyczną porozdzierało w kilku miejscach nielitościwie.

Zresztą byłaby może i darowała Stefusiowi tego zamęczonego piekarza i przekaz o butach, gdyby Stefuś sam nie był tem tak skonaternowany, że w możliwość dawniej przyjaźni nie wierzył. Już mu w całej jego roli tam coś zawadzało, już nie był panem siebie!

Bywał tam wprawdzie czasem, bo zdawało mu się, że cały świat zwróci na to uwagę, jeżeli nagle przestanie tam bywać, ale próby teatralnej już nie powtarzał.

Nastąpiła między nimi jakaś milcząca ugoda, aby nadal na zwykłej obojętnej stopie pozostać.

Stefuś wynalazł sobie inny podobny salon, a salon ten był dla niego tém miłszym, że wchodził do niego jako człowiek zupełnie świeży.

Tym sposobem upływało dalsze życie Stefusia. Składało się ono z podobnych obrazków, mniej więcej do siebie podobnych, jaki dopiero co opisaliśmy.

Nabierał on coraz więcej wprawy do życia towarzyskiego, a jakkolwiek książki szkolne i inną pożyteczną naukę

zupełnie zaniedbał, nie zaniedbał jednak uczyć się tego wszystkiego, co tylko w towarzystwie, do którego się cisnął, popłacać mogło. Uczył się najnowszych tańców i języka francuzkiego, umiał strzelać i rąbać się na pałasze, nabył także powierzchownych wiadomości o koniach i psach. Zawiązywał stosunki, gdzie tylko się dało, brał w entrepryzę wieczorne zabawy z tańcami, dostarczając tancerzy zdrowych, młodych i zdolnych.

Tym sposobem wyrobił sobie pewne stanowisko między młodzieżą, która bez niego nic zrobić nie mogła. Jeżeli jaki rywal obok niego stanął, to miał w zanadru mnóstwo gotowych i nader skutecznych intryzek, któremi w krótkim czasie z wielką chwałą pokonywał nieprzyjaciela.

Mianowicie strasznym był dla karnawałowych kawalerów, którzy w tym czasie zjeżdżali się do stolicy z różnych powiatów, aby w posażnych pannach się zakochać i je złować.

W takim razie potrzeba było starać się najprzód o jego przyjaźń. Miał on po różnych domach znajomości i mógł tych znajomości użyć na korzyść lub niekorzyść pretendentów.

A posiadał właśnie dla nich broń najstrasliwszą, to jest miał talent ośmieszania drugich.

Talent ośmieszania drugich to zaiste broń okropna! Wymaga on wprawdzie wiele dowcipu i zręczności, ale te właśnie posiadał Stefuś w wysokim stopniu. Umiał różnym osobom nadawać nader zręczne i charakterystyczne przezwiska, zmyślał różne anegdotki o nich, opowiadał je z dowcipem i taką bezkrawą bronią zabijał biedne ofiary na śmierć.

Mowiono nawet, że ten talent przynosił mu pewny dochodzik, bo przyjaźń tak niebezpiecznego człowieka trzeba było czémś okupić, chociażby tylko pod formą pożyczki.

Tym sposobem minęło lat kilka.

Stefuś miał już teraz gęste i bujne bakenbardy i lat dwadzieścia sześć.

Co roku prawie zapisywał się na kursa, kupował książki, poświęcał się niby temu lub owemu specjalnemu przedmiotowi, miał nawet zamiar zostać professorem ekonomii politycznej, a w najgorszym razie objąć redakcję jakiego pisma, jak o tém baronowej raz opowiadał, ale skończyło się dotąd tylko na marzeniach, bo na egzamina i redakcye pism jakoś czasu mu nie stało, chociaż o zdolnościach swoich do tego zupełnie był przekonany!

Tym sposobem wyrobił się powoli do pewnego typu pewnej części młodzieży dzisiejszej, która niby wszystko wie i umie, do wszystkiego ma zdolności i potrzebne przymioty, mogłaby pisać poemata, dramata i powieści — tylko że nie chce!

Z takiego patrząc stanowiska patrzyła młodzież na wszystko z góry, mozolną pracę ludzi rzetelnie pracujących ma za nic, z politowaniem uśmiecha się na widok rzeczy już dokonanych przez drugih, bo ona daleko więcejby zrobiła — gdyby chciała!

Ale że na nieszczęście nigdy nie chce, to też nigdy po niej nic nie ma!

Taką drogą szedł także Stefuś. Rozповідаł kolegom o szerokich planach przyszłej działalności swojej, potępiał w czambuł dzienniki, literaturę i politykę krajową, śmiał się nawet czasem z Mickiewicza i Pola, stawiając im na przeciw Homera i Szekspira i żałował tylko, że mu czas i stosunki nie pozwalają wziąć się do pióra!

Jest nawet podejrzenie, że w „kronikach” niektórych dzienniczków robił *anonim* małe wycieczki sarkastyczne przeciw ludziom zasłużonym, ale to tylko tak dla zabawki. Na seryo do tego zawodu przystąpić nie chciał, bo to nie dawało żadnych realnych, czyli, jak się zawsze wyrażał, *pozytywnych* korzyści.

Przy tak szeroko nakreślonych planach były egzamina szkolne dla niego rzeczą tak drobną, że jój przy końcu każdego semestru nigdy nie dojrzał.

Do starego ojca pisało się różnie: raz że zdał, drugi raz znowu że plan swojej przyszłości zmienia, że temu lub owemu zawodowi się poświęca, że ma przyobiecany od księcia urząd bardzo intratny w krajowym towarzystwie i t. p.

Staremu zegarmistrzowi czasem smutno się zrobiło za synem i cedułkami bankowemi, ale wierzył w jego mądrość i naukę i był pewny, że dobrze w świecie się pokieruje.

Stefuś już od lat trzech nie był w domu rodzicielskim. Tłumaczył się że nie ma czasu, że jest zajęty naukami; raz tylko i to *incognito* odwiedził rodziców, o czém nawet miasto nie wiedziało.

Co do nauk ścisłych, do których ojciec i proboszcz zawsze go zachęcali, rozumował sobie Stefuś w ten sposób:

— Gdybym z celującym nawet postępem całe rzymskie i austriackie prawo skończył, do czego potrzeba mi cztery lata mozolnej pracy, to miałbym nadzieję służby bezpłatnej jako aplikant przez trzy lub cztery lata; potem dano by mi za siedm godzin dzienną pisaniny w brudnej izdebce trzysta guldenów, z nadzieją, że po dwudziestu latach pilnej pracy mogę otrzymać tysiąc!... Czyż nie jest to zmarnowany czas? Czyż ten czas jako kapitał użyty nie mógłby mi przy moich zdolnościach przynieść poza służbą rządową dziewięć razy tyle?...

Tak rozumował Stefuś, ale w głębi myśli miał inne widoki. Przekonał się gruntownie, czego właściwie w towarzystwie, w którym brał udział, od człowieka młodego wymagają, aby miał jakie takie powodzenie! Młode kobiety, które się w samotności nudziły, nagadały mu tyle pięknych rzeczy o jego oczach, bakenbardach, rozumie i dowcipie, że już nic nie potrzebował. Na cóż, myślał sobie, przyda mi się głębsza nauka, jeśli jeden zręcznie poprowadzony kotylion przeciąga do mnie wszystkie młode panny i mężatki, podczas gdy professor wszechnicy samotnie pod piecem stoi? Czy nie można z tak korzystnej pozycji skorzystać i od jednego zamachu wziąć sobie towarzyszkę życia, której posag może być większy niżeli cała dotacya uniwersytetu?...

Myśli te były dotąd tylko marzenia, ale teraz nadszedł czas, aby je zrealizować.

Stefuś długi czas stał pewnego dnia przed zwierciadłem w swoim pokoiku i przy cichym monologu muskał starannie swoje bakenbardy, które już były tak wielkie jak skrzydła u wiatraka.

— Zdaje mi się,—mówił do siebie,—że byłby już czas spróbować szczęścia. Nadeptałem się po salonach i pokojach już dosyć. Znam świat i wiem jakimi drogami chodzić. Kobietom się podobam, mam tego niezaprzeczone dowody. Jeżeli u doświadczonych kobiet, które z tysiąca mogę wybierać, mam takie szczęście, dczegóż nie mógłbym znaleźć jakiej posażnej panny, któraby mnie pokochać mogła?...

Nastąpiła pauza w monologu. Słowo „kochać” zbudziło w jego sercu jakieś dziwne wzruszenie.

Cóż to było za wzruszenie? Czy jakie wspomnienie przemknęło po strunach duszy, które zabrzęczały dziwną harmonią?... Czy drobna rączka baronowej trąciła je, czy różowe paluszki pani Idalii wzięły ten akord tak pełny i czarujący?... Nie, to nie były żadne wspomnienia, on takich wspomnień nie miał, któreby tak przyjemnie grały; to jakiś dźwięk zabłąkany: to głos przemijających instynktów!...

Przeszło: serce uciszyło się.

Stefuś spojrział znowu do zwierciadła: w zwierciadle ujrzał nader przystojnego mężczyznę!

— Znam serca kobiece, — mówił dalej do siebie, — wiem jakiej strawy im potrzeba. Mogę im tego wszystkiego dostarczyć. Czyż to się innym nie udaje? Czyż Władek, który prócz bujnej czupryny na głowie nic w głowie nie miał, który tylko za pożyczone na weksle pieniądze sprzągnął jedną maści czwórkę i karykel stary od hrabiego Wilhelma wyszachrował; czyż nie ułowił rączki i posagu panny Agapity, która przecież do najświetniejszych partyi należała?... I to uczynił Władek, głupiuteńki chłopiec jak but z lewej nogi, który tylko frak miał modny i po francuzku nie źle paplał! Czegóż więc pannom naszym więcej potrzeba? Jeżeli

one tak tanio się sprzedają, dlaczego drożej za nie płacić? Po cóż umartwiać ciało nauką mozolną, po cóż brać na siebie ciężkie obowiązki względem społeczeństwa i Boga, jak mówią, jeśli tego wszystkiego do ostatecznego celu życia nie potrzeba? Przeciwnie, życie pracowite skręca nam grzbiet i wykrzywia barki, obciąża nasze ruchy i czyni nas niezgrabnymi, co u kobiet bardzo wiele znaczy! Czyż Ferduś chłopiec prosty jak świeca i zgrabny jak wiewiórka, za którym panny przepadają, mógłby być takim, gdyby przy stoliku pracował zamiast tańczyć po całych dniach, jak to czyni? *Mundus vult...*

Nie dopowiedział łacińskiego frazesu, bo coś go nagle zakrztusiło. Odszedł od zwierciadła i przeszedł się kilka razy po pokoju. Za każdym krokiem patrzył na nogi, czy się według prawideł uginają; patrzył także na buty ze skóry lakierowanej, czy ich forma nie wykracza jeszcze przeciw regułom.

— Czasu już tracić więcej nie można, — mówił dalej, — mam lat dwadzieścia sześć! Trzeba na zwierzynę uderzyć, ale pytanie: jak i gdzie?

Na pytanie: jak? nie było mu trudno odpowiedzieć, nie miał bowiem w tym względzie wiele do wyboru.

Doświadczenie wskazywało mu, że najlepszym i powszechnie praktykowanym środkiem do zajęcia serca pańeńskiego, mającego posag znaczniejszy jest: karykiel, cztery konie w angielskich szorach, służący w liberyi i obcisłe rękawiczki. Jeżeli do tych akcesoryów nie ma się widocznego majątku, to trzeba koligacyi z jakąś rodziną znaną i zamożną, na kartach wizytowych herbu i choćby jakiejś pozorniej dzierżawki, za którą tymczasem żydek, niby subarendator płaci!

To wszystko było dla Stefusia niepodobnym. O karyklu i czterech koniach nie mógł ani myśleć, to samo i o służącym w liberyi, a chociaż z nazwiskiem możnaby się było do nieboszczyka wojewody przyłączyć, to przecież nie dałoby

się to zrobić w stolicy nadpełtewskiej, gdzie stary piekarz już go raz niemiłosiernie skompromitował.

O tych śródeczkach więc nie można było wcale myśleć; pozostał tylko jeden środek, to jest: miłość!

Zdawało się Stefusiowi, że ten środek jakby dla niego był stworzony.

Mógł kochać jak tylko bohater na scenie kochać może, mógł być kochanym aż do szaleństwa Ofelii, a wtedy wszystko dałoby się zrobić i bez karyków i bez koni.

I takie zdarzenia bywały już za jego pamięci w stolicy nadpełtewskiej.

Na drugie pytanie: Gdzie? nie można było tak prędko odpowiedzieć. Tutaj trzeba było dobrze się namyślić, bo wszystkie większe bitwy nie tyle od męstwa wojsk jak od terenu zawisły!

Jakiż to teren wybrać do téj walki o przyszłe szczęście?

Stefuś długo chodził zamyślony. Trudno wszystkie jego myśli odgadnąć.

Głuche wieści krążyły między kolegami, że Stefuś na terenie stolicy już jakąś małą potyczkę był przegrał, ale nikomu o tém nie powiedział. Czy miałby powtórnie kusić się na tém miejscu?

Kiedy Stefuś właśnie nad tém myślał, otworzyły się drzwi a do pokoju wszedł młody człowiek starannie ubrany; w jednej ręce trzymał laseczkę z pieskiem, w drugiej świeżo oprawne album.

— O mój złoty, — zawołał Stefuś, — jakże się masz Edwardzie! Siadaj! Bardzo się cieszę!

Przyjaciel jednak nie usiadł, tylko stanął na środku pokoju i smutno głową do Stefusia pokiwał.

Stefuś zrozumiał ten giest, zasmucił się także, spuścił oczy i ozwał się:

— Słyszałem, słyszałem, ale cóż robić! Prawdę mówiąc ja się tego spodziewałem. Już to mi się nie podobało,

że w trzeciej figurze kotyliona nie wybrała ciebie ale Fredzia.... I jakże ci odpowiedziała?

— Jak? — krzyknął Edward, — dostałem takiego kosza!

Mówiąc to przyłożył laskę do nosa i dodał jeszcze do niej album.

— Tam do kata! Głupia dziewczyna!... Co to masz za album? Pokaż!

Stefuś otworzył album. Zaraz na pierwszych kartach obaczył fotografię dosyć ładnej, młodej twarzyczki.

— Kto to jest? — zapytał.

— To moja siostra stryjeczna! — odpowiedział nieszczęśliwy przyjaciel.

— Meżatka?

— Nie, panna.

Stefuś patrzył niejakiś czas na fotografię, potem odłożył album na bok.

— Ależ proszę cię, — zawołał, — czemu nie siadasz? Siadaj!... Jakie palisz cygaro? Ja zwykłą palę Havanna, ale czekaj.... zabrakło mi.... może posłać.... a może papieros ukrećisz?... Tylko nie mam tego lepszego tytoniu; mam zwykły, prosty: czasem dla spauzowania lubię prosty.

Edward usiadł i wyjął swoje własne cygaro.

— Masz cygara? — rzekł Stefuś, — to dobrze, zapalę i ja cygaro.... Proszę cię, chciałbym właśnie z tobą pomówić o tym interesie co do żeniaczki.

— Et, lepiej nie przypominaj mi! Miasto dużo mnie kosztuje, a wiesz że wiele nie miałem!

— Właśnie chciałbym ci jakąś myśl podać w tej mierze, bo widzisz serce, ty zły plan ułożyłeś!

— Jakto zły plan? Co mogłem to robiłem. Ale kobiety dzisiaj nie kochają!

— Nie wierz temu, kobiety kochają, tylko trzeba umieć je znaleźć!

— A gdzież takich znaleźć!

— Wszędzie, wszędzie mój drogi, tylko nie w stolicy!

— Jakto? Żeby na kilkanaście tysięcy nie było ani jednej?

— Fałszywie zapatrujesz się na tę kwestyą, mój drogi, zaraz ci rzecz wyjaśnię.... masz drugie cygaro? To nie chce się palić, odłóż je tu dla służącego!

Edward podał mu nowe cygaro. Stefuś zapalił i mówił dalej:

— Powiadasz, że kilkanaście tysięcy jest panien w stolicy, ale ja ci zaraz dowiodę, że nie prawda. Najprzód trzeba od tego odtrącić wszystkie córki urzędników, bo te w rachubę nigdy nie wchodzi. Jest to tylko materyał na stare panny a nic więcéj. Co dzisiaj warta panna bez posagu? Czyż można mieć za złe człowiekowi, który od takiej panny ucieka, która mu nietylko w dom nic nie przyniesie, ale jeszcze żąda potém od męża aby ją w aksamity ubierał...

— O takich pannach nigdy nie myślałem!

— Są teraz panny, których rodzice posiadają domy. Z téj kategorii także mało się co wybierze. Najczęściej jest liczna rodzina, a panna dostanie w posagu półtory ściany murowanej! Prócz tego rodzice takiej panny są to ludzie prości, często rachunkowi. Pytają konkurenta co ma i co robi? Nie rozumieją się ani na szyku, ani na żadnych innych wyższych przymiotach. Wolą córkę wydać za kupca lub rzemieślnika, a w najgorszym razie za biuralistę, który jeszcze studentem kochał się w córce!

— I o tych również nie myślałem!

— Pozostają teraz rodziny szlachty, to jest: właściciele ziemskich. Z tych nie wiele stale tu mieszka, a większa część zjeżdża się tylko na zimę, *respectively* na karnawał!

— Otóż o téj kategorii najwięcéj myślałem!

— Łudziłeś się! Najprzód miej to za aksyomat: jeżeli panny ze wsi do stolicy na zimę przyjeżdżają a nie mają już krótkich sukienek, to rzecz oczywista, że szukają mężów, chociażby Bóg wie jak się tego wypierały! Zazwyczaj powiadają w takim razie, że to tylko dla zabawy, dla tańców się robi! Nie wierz temu! Każda z nich, jeśli trzy razy podskoczy, to przynajmniej przy dwóch skokach o mężu myśli!

Są to poprostu wyprawy po mężów, do czego nietylko tańce, ale i teatru amatorskie należą!

— Zdaje mi się, że to właśnie najwłaściwsza kategoria...

— Łudzisz się. Jeżeli panna do miasta po męża wyprawę robi, to jest już w tém pewny rachuneczek. Wprawdzie rodzice mówią: może sobie kogo upodoba! Ale po to upodobanie robi się umyślną wyprawę, szuka się już tego upodobania, a więc postępuje się z pewnym rachunkiem, który wcale do spraw miłości nie należy. Miłość bowiem to córa niebios, przychodzi ona sama, tak jak rosa wieczorna, o której dziś jeszcze nie wiedzą z kąd się właściwie bierze!

— Przecież tego o wszystkich powiedzieć nie możesz!

— To mówię o najniewinniejszych! Inne to już poprostu jak na polowanie się zjeżdżają i z tém się nawet wcale nie tają. Matki zakładają domy na wielką skalę, aby złudzić kawalerów pozorem dobrego bytu, a tymczasem pilnie dowiadują się o majątkach młodych gości swoich.... Mówią bardzo wiele o bogatych sukcesyach, nieprzymierzając jak ja o twoim bogatym stryju rozповідаłem, nie wiedząc, że ma córkę, o której dopiero z tego album się dowiedziałem.

Edward smutno spuścił głowę.

— Otóż widzisz, że tutaj tylko najczęściej o złudzenie chodzi, kto kogo złudzi i oszuka, a trafia się niestety, że obie strony czasem fatalnie się oszukają! Ponieważ zaś między kobietami jest większa solidarność i lepsze talenty dyplomatyczne, to przegrana najczęściej jest po naszej stronie! Powiadają wtedy: panna zerwała, bo przekonała się że go kochać nie może! Nieprawda! Ktoś szepnął tam do ucha ciotki lub mameczki, że hołysz, nie ma nic i kwita!—I ty gniewasz się teraz i powiadasz, że panny nie kochają! Prawda, że takie panny, które tylko wyprawy i polowania na mężów robią, nigdy nie kochają!

— Ba, a gdzież znaleźć te, co kochają?

— Na wsi, na wsi, mój drogi! W białym dworku o czterech pokojkach a przy pełnej sakwie papy dobrodzieja! Tam, gdzie to jeszcze są ogródki z malwą i słonecznikami,

a śród niego zagony z cebulą i selerami! Gdzie mama czasem godzinki ze służbą śpiewa, a panienska sama indykom karm rzuca! Tam serduszko ma jeszcze barwę śliwki węgierskiej, na której wszędzie ślad zostawisz, gdzie się jój dotkniesz!... A serce wiejskich panien to jak z gutaperki: ugnie ci się pod palcem, ale zaledwie odejdziesz już się wyprostuje!... Na wieś bracie, na wieś!

Edward zamyślił się! Po chwili podniósł głowę, uśmiechnął się i odparł:

— Widzę, że dyabelnie rozumiesz te sprawy! Gdybym cię zawsze jak ministra miał przy boku....

— Zgoda! Obiecałem wprawdzie Ferdusiowi, że z nim na ferye pojedę, ale daję tobie pierwszeństwo.

— Jakto? Czy na seryo mówisz o tém?

— Zupełnie na seryo. Wiesz, mnie takie robienie planów sprawia rozkosz niewypowiedzianą! A tutaj od dobrego planu wszystko zawisło. Prócz tego człowiek w takim razie sam za siebie mówić nie może; potrzebny jest jaki towarzysz, któryby dobrą opinię jego rozszerzał, wszędzie go chwalił, gdy potrzeba nawet i o successyach mówił a w najgorszym razie o loteryi. U panny jest taki poradnik nieoceniony: zwraca on nieustannie jój uwagę na ciebie, najkorzystniejsze strony twoje, słowem, robi wszystko, co ty robić nie możesz!

Edward namyślał się ciągle.

— Wszak stryj twój jest człowiek bardzo bogaty: nieprawda?

— Bardzo bogaty, ale successyi po nim nie mogę się spodziewać, bo ma córkę!

— Ma córkę.... to mniejsza. Ale przecież prowadzi dom, miewa gości,...

— Tak, dosyć!

— Moznaby zawiązać inne znajomości.... i iść.... coraz daléj, póki się coś nie wynajdzie!

— Ba, jakże to zrobić!

— Rzecz prosta: ja pojedę na parę miesięcy do ciebie; tam przygotujemy wszystko; ztamtąd napiszesz do stryja, że chciałbyś go odwiedzić, ale masz u siebie przyjaciela.... powiesz że artysta, albo poeta, lub historyk, który zbiera daty historyczne, lub co chcesz.... tylko znowu musisz zważyć, żebym miał potrzebną aureolę i powagę do roli, jakiej się podejmuję! Wtedy będziemy korzystać ze stosunków i pokrewieństwa domu stryjowskiego i powoli po uchwyconej nitce dostaniemy się do kłębka szczęścia!

— Toby nie była zła myśl!

— Namyśl się dobrze i powiedz mi, abym wiedział, co mam Ferdusiowi odpowiedzieć. Czy masz jeszcze jedno cygaro?

X.

Sielanka.

Była niedziela. Dzień był pogodny, lipcowy. Z małego kościołka, który stał nad brzegiem lasu wyroił się ludźmi i rozmaitemi ścieżkami rozlał się po całej dolinie.

Byłaż to dolina rokoszna! Z jednej strony piętrzyło się wzgórze, sosnowym lasem okryte, a z drugiej toczyła się biała rzeka, nad brzegami której wznosiły się zagrody wieśniacze jak stado owiec pijących wodę. A w dali błękitniały dalsze smugi widoku, ale były już tak niewyraźne, że można je było wziąć za dalekie chmury, powstające za krańcem widnokregu.

W samym środku doliny, między kościołkiem a zagrodami przysiadł do ziemi niski dworek z wyskakującym na rzekę gankiem, otoczony lipami, z pomiędzy których bieliły się dwa gołębniki. Na śpichlerzu krytym słomą osadził sobie bocian gniazdo nader misternie, zbudowawszy je jak fortecę niezdobytą. Za gniazdem bocianięm wznosiły się karłowate wierzchołki drzew owocowych i okrążały prawie wszystkie budynki gospodarskie.

Patrząc od kościołka, na ten dworek i zagrody z ogrodami, na te gniazdko bocianie i rzeczulkę srebrną, a słysząc

przytem srebrny dźwięk muszek lipcowych i przytłumiony brzęk pszczołek, które z pobliskiej pasieki na paszę wylatywały; zdawało się, że ta dolinka dla człowieka może się stać całym światem, że w niej żyć i umierać można, tak samo jak Francuzi o swoim „*Palais-royal*” mówią, że można w nim pięćdziesiąt lat mieszkać nie widząc wcale Paryża i nie pragnąc go!

Kiedy ludek pobożny z kościołka już się wyroił, gdy jedni po ścieżkach się rozeszli a inni w rozrzuconych grupach na cmentarzu jeszcze stali; wyszedł przez małe drzwi od zakrystyi sędziwy jegomość w szarzej kapotce, prowadząc pod rękę młodą w białą sukienkę ubraną panienkę, mającą lat kilkanaście.

— Tatuńcio zapewne zaczeka tutaj na proboszcza — ozwała się panienka — a ja tym czasem pogadam z Borysową, która ot tam pod lipą stoi. Wczoraj zasłało jój dziecię.

— Dobrze Zosieczko — odpowiedział sędziwy jegomość i wypuścił małą rączkę z pod pachy.

Zosia pobiegła do Borysowej i zaczęła ją wypytywać o Staszka.

Było to dziecię bardzo miłe. Mogło mieć najwięcej roczek siedemnasty. Twarz miała gładką i blado-różową jak poziomka, oczy niebieskie, a włosy ciemne w długich puklach rozpuszczone. Usteczka nie były podobne do koralu, ale do bladój, zaledwie rozkwitłej różyczki. Wzrost więcj mały niż średni i elastyczność całej postaci nadawały jój podobieństwo do chochlika.

Tymczasem z zakrystyi wyszedł proboszcz w długiej sutannie, strzepał tabaczkę z piersi, która była dosyć wysoko przez niższe zasoby podniesiona i rzekł do dziedzica:

— Więc mówisz szanowny kolatorze, że *post ecclesiam malvasiam!*

— Tak się należy dobrodzieju. *Antiquo more!* Mał-mazyi nie ma, ale miodek za to nieszeptny!

Proboszcz powiedział jeszcze coś na pochwałę miódka, obtarł sobie usta z oskomy i obaj puścili się ścieżką ku białemu dworkowi.

Tymczasem Zosia załatwiła sprawę z Borysową i ucieszona że jej faworyt już zdrow był, zbiegła drobną nóżką po ścieszcze z góry i dopędziła ojca z proboszczem.

Proboszcz spojrzał jakoś filuternie na Zosię, aż raczka spiekła, a potem ożwał się:

— I cóż dzisiaj będzie panno Zofio? Czy może przeczuwa co to serduszko?

— Cóżby miało przeczuwać?—odpowiedziała Zofia— to co zawsze w ten dzień!

— Przepraszam panią! Dzisiaj jest św. Zofii z trzema córkami!

— Jużesmy o tém rano mówili księże dobrodzieju!

— Ale o to mi chodzi, że ten dzień nie zawsze przynosi jedno i to samo, bo wreszcie sam tatuńcio przyznaje iż toby się sprzykrzyło! Pierwsze dni św. Zofii z trzema córkami, przynosiły cukierki i lalki, następne ołówki, farby i pendzliki, potem książeczki, drobne stroiki i t. d., a dzisiaj co będzie? Aha! Już jest raczek! No to dobrze! Dzisiejsza św. Zofia przyniosła... raczka!

Zosia naprawdę raczka spiekła, bo ksiądz proboszcz w nią wmówił. Cóż było robić?

— Raczka upiekłam, to prawda,—odpowiedziała—ale sama nie wiem dlaczego! Od dwóch tygodni wiedziałam już naprzód o wszystkich niespodziankach, jakie mnie dzisiaj spotkać miały. Tatuńcio najlepiej zrobił: podał mi próbki różnych materyi, które ze Lwowa przyszły i powiedział mi abym sobie co z nich wybrała na niespodziankę!... Ciocia chciała tę rzecz lepiej poprowadzić, bo nic mi nie powiedziała; ale zapytanie jej, które buciki są mi najwygodniejsze, zaraz wszystko zdradziło. Malwina znowu pisała do cici, w jakim kolorze kapelusze lubię, a ciocia zostawiła ten list na mojem biurku, który oczywiście według wszelkiego prawa przeczytać musiałam! I tak dalej... i tak dalej...

dowiedziałam się o wszystkim!... A dzieci ze wsi, które wraz z nauczycielem miały mi na niespodziankę kantatę jakąś odśpiewać; musiałam sama uczyć téj kantaty, bo nauczyciel nie miał fortepianu i rady sobie dać nie mógł!... Otóż takie to wszystkie niespodzianki w mojem życiu!

Ostatnie słowa wymówiła Zosia tak tragicznie, że ojciec się rozśmiał na całe gardło, w czém mu barytonem proboszcz zawtórował, aż bocian w gnieździe zaklekotał!

— Smutne to twoje życie, moja Zosiu—rzekł ojciec ocierając łzy ze śmiechu—sama próżnia i jednostajność! Żadnej zmiany, żadnej niespodzianki!... Biędne dziecie!

Rzekłszy to ucałował ją w czoło i znowu zaczął się śmiać, śmiać do rozpuku.

— Nie rozumiem tatuńcia dzisiaj!—ozwała się Zosia z małym kaprysykiem na czole—czy powiedziałam jaką niedorzeczność, że się tatuńcio tak serdecznie śmieje?

— Daruj mi dziecie—rzekł ojciec—jeżeli na twoje imieniny się nie uśmieję, to kiedyż śmiać się będę. Gdy twoje życie będzie tyle lat liczyć co moje, to nie będziesz gniewać się wtedy na śmiech, który jest jak wyblask chwilowej pogody śród ciągłej słoty!

— Ale jeszcze wszystkiego o niespodziankach nie wyczerpaliśmy!—zauważył proboszcz.

— Prawda, jeszcze nie odebraliśmy listów z poczty—dodał ojciec.

— Tam już żadnych niespodzianek nie będzie!—odparła Zosia—znam wszystkie listy, które nadejdą z powinszowaniem. Od Milki, Miñci, Salci i Maryi; dalej od Genci, Kostusi i Binci, od p. Pafnucego, Jerzego, Karola i Edmunda, od stryjów, wujów: zgłęła, wszystkie listy z powinszowaniami mogę wyliczyć!

— Obaczmy, obaczmy—odpowiedział ojciec—a teraz Zosiu pomyśl o śniadanku, bo proboszcza twoje listy pewno nie nakarmią!

Wszyscy zbliżyli się teraz do ganku. Pan Maciej z proboszczem usiedli na ławie, a Zosia pobiegła tymczasem, aby rozkaz ojca wypełnić.

— Panna Zofia ma dzisiaj lat siedemnaście—zagadnął proboszcz zażywając tabaczkę.

— Nie wspominaj mi o tém dobrodzieju!—odpowiedział Maciej—bo strach mię bierze gdy sobie pomyślę, że niezadługo trzeba będzie ją utracić, a Bóg wie jeszcze kto mi ją weźmie!

— Przecież przemocą nikt panu nie wydrze! Pocóż się darmo obawiać!

— Są różne rodzaje przemocy! A przyznam się dobrodziejowi, że od dzisiejszej młodzieży to aż mnie strach bierze! Nie wiem co się z tą młodzieżą dzieje, ale wszystko to takie jakieś stare, wyżyte, bez kropli poezyi w duszy! Każdy mówi, jakby Bóg wie jakie doświadczenia miał w życiu, jakby w tém życiu już nic nie było dla niego nowego, a fundamentem wszystkiego — pieniądz! Dobra to rzecz pieniądz, ale gdzie pieniądz jest wszystkim, tam człowiek trupem!....

— Prawda, prawda! Boga nie ma! Miłości świata nie ma! Sceptycyzm!

— Przyznam się, że czasem nachodzi mnie myśl dziwna. Czyby nie było lepiej, gdyby Zosia posagu nie miała?

— To już czarna melancholia dobrodzieju! Boga nie trzeba obrażać!

— Gdyby przynajmniej matka jój żyła! Matki mają jakoś lepsze instynkta!

W sam czas pojawiła się Zosia na progu, bo na twarzy ojca zaczął już rozpościerać się głęboki smutek na wspomnienie żony. Śniadanko było już gotowe.

Wszyscy weszli do pokoju.

Po kieliszku starki zasiedli obaj do stołu. Boże dary, smacznie przez kucharza przyprawione, rozweseliły pana Macieja, do czego także przypowiadki proboszcza się przyczyniły.

Po godzinie byli wszyscy zdrowi i weseli a nawet i Zosia lekki rumieniec na twarzy dostała.

— Teraz będziemy czytali niespodzianki!—zawołał proboszcz—bo właśnie w tój chwili przyszedł posłaniec z poczty i dobrze wypakowaną torbę złożył na stole.

Pan Maciej chwycił za gazety, proboszcz za pisma literackie, a gruby pęk listów dostał się Zosi, która drobnymi paluszkami prędko je przerzucała.

— Ten od Mani, ten od Binci, ten od stryjeni, tamten od wuja....—szczebiotała z rokosznym uśmiechem, czytając adresy.

Potém zaczęła jeden po drugim otwierać. W samój rzeczy oko nie omyliło jój. Wszystkie listy były od wymienionych osób. Nawet mężkie listy poznawała z charakteru pisma.

Powinszowania mężczyzn były dosyć charakterystyczne. Jedne miały tylko zwykłe karty wizytowe, inne, mianowicie z prowincyi, były wyłącane i z girlandami!

Pomiędzy niemi zabłąkał się także *anonim*, który wierszem opiewał wdzięki solenizantki. Ale zaraz przy drugiej zwrotce poznała Zosia starego pułkownika, który i w poezyi nie mógł się pozbyć swego „mospanku” rymując go z „kochanku!”

Zosia odczytała odę i radość z niej była powszechna.

— A jeszcze jeden list zostawiłaś!—zawołał ojciec.

— To od Edwarda! Zaraz odczytam go!

— Czy pan Edward ożenił się?—zapytał proboszcz gospodarza—miał się we Lwowie żenić!

— Gdzież tam—odparł gospodarz—taki jak inni! Folwarczek obdłużony wyżej wartości, i zamiast wziąć sobie jaką gospodarną dziewczynę i pracować z oszczędnością, on traci pożyczony grosz na konie i lokaje i poluje za wielkim posagiem! Żal mi go!...

— Cóż tam panna Zofia tak się wpatruje w ten list pana Edwarda?—zapytał proboszcz.

— Bo tu jest fotografia!

— Fotografia? Co za fotografia?—zapytał ojciec.

— Fotografia Edwarda!

— Czyś go nie widziała, że tak mu się przypatrujesz?
— Nie, tatuńciu bo tu tu jest ich dwóch na fotografii razem!

— Dwóch? ... Któż taki? ... Pokaż dziecię!

— A co, czy to nie jest niespodzianka?—zauważył z uśmiechem ksiądz proboszcz.

Zofia zarumieniła się lekko i spuściła oczy na list, który do tej fotografii był dołączony.

Tymczasem obejrzeni wszyscy fotografią, która przedstawiała dwóch młodych ludzi, siedzących obok siebie z cygarami w ręku.

— Zapewne jakiś znajomy jego!—zauważył pan Maciej—obaj kazali się fotografować.

Na odwrotnej stronie było napisano: „Posyłam ci, kochana kuzynko, przyobiecana fotografią; ponieważ jednak innych egzemplarzy nie mam, to przyjmij ten, na którym jestem z moim dobrym przyjacielem! Z powinszowaniem imienin!”

— Przystojny mężczyzna, ten przyjaciel Edwarda!—zauważył proboszcz.

— Rozumna twarz!—dorzucił pan Maciej.

— A to list Edwarda do tatuńcia!—ozwała się Zosia i sięgnęła jeszcze raz po fotografią.

Pan Maciej wziął list i zaczął czytać. Edward pisał, że właśnie wybierał się do kochanego stryja, gdy do niego przyjechał przyjaciel i dawny kolega, który poświęca się różnym studjom historycznym a mianowicie archeologii, w którym to celu kraj zwiedza i dawne pomniki zbiera i różne uroczyska i kurhany rozkopuje. Uprzedza więc stryja, że z tymże archeologiem razem dzisiaj przyjedzie i niejaki czas tam zabawią, bo w sąsiedztwie wykryto właśnie ślady grobów pogańskich!...

— Otóż będziemy mieli dzisiaj i archeologa!—ozwał się pan Maciej do córki!

— Wolałabym, żeby był danserem!—z kaprysykiem odpowiedziała Zosia.

— Otóż masz!—zawołał ojciec—słyszałeś proboszczu? I masz to dzisiejsza młodzież czegoś pożytecznego się uczyć, jeśli panny tylko danserów chcą z niej mieć?... Moje serce, nauki nie trzeba nigdy lekceważyć, bo społeczeństwo nie stoi tańcem ale pracą i nauką! Ten archeolog więcej wart niżeli legion skoczaków, których rozum jest tylko w nogach!

— Ale tatuńciu! Cóżto za kazanie w dzień św. Zofii z trzema córkami!.. Przecież ja tego na seryo nie powiedziałam i przyrzekam, że tylko z tym archeologiem dzisiaj bawić się będę!..

— Obaczymy!—odpowiedział z uśmiechem pan Maciej i trącił kieliszkiem o kieliszek proboszcza.

Zosia patrzyła jeszcze czas niejaki na fotografią. Proboszcz powiedział, że przyjaciel Edwarda jest przystojnym, ojciec dorzucił do tego, że „twarz rozsądna.” Zosia myślała o jedném i o drugiem i przyznała w duchu, że obaj mieli słusność. Osobliwie podobała się jój w przyjacielu Edwarda pewna swoboda w całej pozie, chociaż nader starannie był ubrany. Podobni jemu młodzi ludzie z prowincyi nie mieli nigdy w oczach jój tój swobody. Jeden trzymał głowę tak sztywno, jakby ciągle o kołnierzyku myślał, drugi podnosił ustawicznie ramiona do góry, jakby chciał się stosować do błędów krawca, który za wysoko dał kołnierz, a trzeci zajęty był guzikami u rękawów koszuli, które ustawicznie wysuwał.

Przyjaciel zaś Edwarda rzucił się na fotel fotografa z taką swobodą, jakby nikt na niego nie patrzył, a przecież była pewna malowniczość w jego pozie, pewna wyższość człowieka nad ubiorem.

Te spostrzeżenia sprawiły miłe na nią wrażenie i postanowiła za najbliższém widzeniem się zapytać Edwarda o tego znajomego. I nie wiedzieć, czy to z umysłu czy z roztargnienia się stało, fotografia nie poszła napowrót do koperty listowej, w której jój było bardzo dobrze, ale wsunęła się za rąbek białej sukienki, gdzie jój widocznie było bardzo nie wygodnie.

Po śniadanku zaczęli się zaraz goście zjeżdżać, którzy w tym dniu zwykli dosyć licznie do dworku przybywać, nawet dalsi sąsiedzi a kawalerowie aż z trzeciego powiatu.

Młodzi, którzy idealniejsze mieli pobudki do dzisiejszych odwiedzin, zjeżdżali się pod wieczór, aby przy zmierzchu zastać w domu jakieś poetyczniejsze usposobienie. Starsi jednak brali rzeczy realniej. Dobrego obiadku nie należało pominąć, a dobry obiadek według nich dodawał fundamentu do poezyi na całą resztę dnia, choćby nawet i do północy.

Do tych oczywiście, mimo weny poetyckiej, należał pułkownik dawnego autoramentu. Przyjechał najpierwszy, a nawet gniewał się na niewstrzeżliwość proboszcza, że z śniadankiem na niego nie zaczekano. Udobruchano jednak starego wiarusa jakimś ekwiwalentem za poniesioną stratę, który naprędce piękne rączki Zosi zaimprovizowały.

Humory były jak najlepsze. Na obiadek przybyło kilku innych jeszcze dalszych sąsiadów.

Zosia zarzucona była bukietami. Jój oczy świeciły się jasno, twarz grała kolorami szczęścia.

Obiadek był wyborny, wznoszono różne toasty, a toasty niektóre były tego rodzaju, że Zosia musiała oczy na talerz spuszczać, aby nikomu nie dać w nich co przeczytać. Do tego jeszcze potrzeba było często rąbka sukienki poprawiać, bo nieznośna fotografia spychała go zawsze z należytych granic.

Obiad skończył się dosyć późno, a po obiedzie zaraz zaczęły się zjeżdżać inne grupy gości.

Młodzież z trzech powiatów była licznie reprezentowaną. Zwiozły ją rozmaite bryczki, wózki i karykle, na co kogo stać było. Każdy chciał się jakoś w strojnieszem pierzu okazać, bo jedynaczka gospodarza, który był bardzo zamożny, warta była tego.

Już się wreszcie zciemniało. Zapalono kandelabry i oświecono nawet ganek dla spóźnionych gości. Zosia kilkakrotnie wyjrzała oknem czy kuzynek z swoim archeolo-

giem nie przybył, ale kuzynka jeszcze ani archeologa nie było.

— Nieznośny! — pomyślała sobie, — bez niego nie mogę ułożyć żadnej zabawy! Obiecałam ojcu, że z archeologiem bawić się będę, a dopóki go nie widzę, nie mogę żadnego programu powziąć, bo nie wiem, czy on ze mną zechce o kwiatkach i gołąbkach moich rozmawiać!..

Tak dumiała sobie Zosia, gdy naraz pod oknami zaturkotało. Wyjrzała: poznała konie Edwarda.

Cofnęła się szybko w środek zgromadzenia, aby ztamtąd z należytą powagą przywitać nowych gości.

Długo, długo czekała na nich, ale gości nie było. Rozpoczęła gawędkę z panem Romanem, który stał najbliżej, przeciągała ją dosyć długo, z czego pan Roman wiele pochlebnych rzeczy o sobie wnosił, ale gości nie było.

Nasi goście tymczasem kazali sobie dać pokój w oficynach i przebierali się, aby z całym szykiem wielkomiejskim wystąpić. Zosia czekała niecierpliwie, pan Roman był pewny, że się w nim zakochała.

Wreszcie otworzyły się drzwi. Wszedł najprzód Edward, po nim Stefuś.

Zosia do kuzynka postąpiła krok naprzód; ale wnet zatrzymała się. Twarz jej oblała się szkarłatem.

— Przedstawiam kuzynce mego przyjaciela pana Stefana Tarłę, — ozwał się Edward.

Zosia ukłoniła się z widocznym zakłopotaniem. Twarz jej pałała ogniem. Rąbek sukienki podnosił się...

Stefuś pogłaskał bakenbardy z nieznacznym uśmiechem.

— Cieszę się, — rzekł z lekkim ukłonem, — że zajęty tak melancholijnymi studjami, jakimi jest rozkopywanie przeszłości, napotkałem na tak radosną chwilę, że mogę dołączyć się do tyłu szczęśliwych...

Zosia chciała coś odpowiedzieć, ale słowa poplątały się jej i skończyła na powtórnym ukłonie.

Tymczasem zwrócił się Stefuś do ojca, potem do proboszcza i pułkownika, wreszcie do młodzieży.

Z wszystkimi przemówił słów kilka nader trafnie. Kobięty patrzyły na niego z widocznym zajęciem.

Stefuś był dzisiaj ubrany nader skromnie, stosownie do swego nowego zawodu. Nic w nim dzisiaj nie błyszczało, nic się na nim nie świeciło. Odbijał w tym względzie nader korzystnie od młodzieży, która obwieszoną była brelokami, dywizkami i łańcuszkami.

Zgromadzenie jakoś za nadejściem tych gości spowaźniało. Jakiś spokój archeologiczny wiał po całym pokoju. Nawet młode panienki nastroiły się poważnie i pomarszczyły piękne czoła swoje.

Zosia gniewała się na siebie, że nowemu gościowi tak niekorzystnie się zaprezentowała i pytała siebie po raz dziesiąty, dlaczego na jego widok jęj twarz tak nielitościwie spleśniała!

Wreszcie nadeszła wieczerza. Mimo wszelkiej pokusy, która ciągnęła go do grona panien, wybrał sobie Stefuś mały stoliczek, przy którym gospodarz, proboszcz i pułkownik siedzieli.

Nie uszło jednak jego uwagi, że Zosia dotąd nie usiadła, tylko uważała gdzie on się umieści. Gdy już przy ojcu usiadł, zajęła miejsce przy drugim stole w takiej pozycji, z której na towarzyszy ojca patrzeć mogła.

— Mój panie, — kontynuował dalej rozmowę pan Maciej, — niech mi pan raczy wytłumaczyć, z kąd panu przyszła chęć w tym wieku do tak poważnych studyów, jakimi jest archeologia. Mówi to zawsze na korzyść pańską, przy powszechnym dzisiaj usposobieniu młodzieży naszej. Mimoto, zawsze jest uderzającym taki fenomen, dotąd bowiem ludzie starzy, dla których obecność już niczem była, zwracali się do katakumbów przeszłości i tam wśród pleśni grzebali!

— Słusznie pan dobrodziej mówisz, — odparł Stefuś z powagą, — że tylko ludzie starzy tułali się dotąd po grobach przeszłości. To też odniosło to bardzo zły skutek. Przeszłość w rękach tych ludzi wyszła na świat w całej grozie zniszczenia. Podano nam w ręce szkielety, pogniłe

szmaty, rdzę i cuchnące popioły. Ducha, który to wszystko ożywił, nie schwycono, zostawiono go na dnie katakumby! A podane nam skostniałą ręką resztki przeszłości, groby i pomniki nie przemówiły do nas, jak były powinny przemówić! Otóż w tém zależy dążność dzisiejsza, aby te drogie resztki dobyć na świat ręką młodą, ożywić je ciepłem poezji, która odradza i stworzyć z martwych rzeczy żyjące!

— Ślicznie pan powiedziałeś! — zawołał proboszcz — *spiritus flat!*

— Dążności takie są nader szlachetne! — dorzucił pan Maciej i zamyślił się.

Zosia mimo szczebiotań swoich sąsiadek słyszała każde słówko młodego archeologa i historyka. A rąbek białej sukienki uciskał coraz więcej podnoszącą się pierś białą...

Po wieczery rozpoczęła młodzież tańce. Stateczniejsi przeszli do innych pokoi na cygara.

— Czy pan z nami? — zapytał pan Maciej — czy w kole kwiatków naszych polnych?...

— Oczywiście, oczywiście! *Utile dulci!* — ozwał się proboszcz.

Stefuś przyłączył się do młodziej generacji.

— To mi młody człowiek! — zagadnął w drugim pokoju proboszcz do pana Macieja — może z niego młodzież wzór brać!

— Prawda, prawda, — odparł pan Maciej, — bardzo mi się podobał! Aż miło z nim mówić!

Tymczasem w salonie szły tańce jak w najlepsze. Zdrowa powiatowa młodzież wybijała hołubca aż okna brzęczały, tupała obcasami i przyhukiwała muzyce własnym głosem.

Zosia z twarzą zarumienioną, z piersią falującą stała opodal Stefusia.

— Czy pan wcale nie tańczy? — zapytała — panu zapewne śmiesznie wydajemy się!

— Dlaczego ma być taniec śmiesznością? — odparł Stefuś, — taniec to extaza szczęścia!

— Powiedziałybyśmy: szafu — bo do szczęścia czegoś więcej potrzeba!

— Pani masz szczególny talent... wzbudzać ten szał! Sam czuję...

— Czy tak?—zaszczebiotała Zosia a czy jój rozjaśniły się—czy tak?... to... to... proszę!

Tu podniosła lewą rączkę do góry i zwróciła się pierśią do Stefusia.

Nie było rady dla improwizowanego archeologa. Pochwycił w pół wiotką kibić, która jak powój zdawała się owijać o niego i puścił się z całym zapałem ulubionego walcu Straussa.

Mówią, że walec jest tańcem astronomicznym, gdyż naśladuje ruch ciał niebieskich.

Zofia nie przeczyła temu w téj chwiii, bo zdawało się jój, że jak śnieżna Juno płynie po niebie a w oczach jój migają się gwiazdy, tam gdzieś daleko, daleko jeszcze!...

— Czy pani nie zmienisz swojej definicyi tańca? — zapytał Stefuś, gdy Zosia na fotel prawie bez tchu upadła i całą pierśią oddychała.

— Nie, panie! To prawda co powiedziałam! Taniec to extaza szału!

— A ja chciałbym w téj chwili wierzyć, że taniec to extaza szczęścia!

Zosia otworzyła szerzej niżeli zwykle swoje piękne oczy i spotkała się z oczami Stefusia, w których była jakaś dziwna, nieodgadniona tęsknota!

Stefuś przysiadł się do niój. Rozpoczął rozmowę poważnego zakroju. Mówił o poezyi, o dziwnie prozaicznych cechach dzisiejszego wieku, o potrzebie ideału w życiu, w pracy i w marzeniach.

Zosia słuchała go z rozwagą. Odmówiła panu Romanowi i panu Karolowi tłumacząc się, że jest mocno zmęczona; odmówiła nawet Biñci, która ją do jakiejś figury zapraszała.

— Pan jesteś tak wyższym nad rozkosze dzisiejszój zabawy naszój, — mówiła do niego, — że się obawiam, abyś

się pan nie znudził! My takie zwyczajne, zwykłe stworzenia Boże!

— W tém właśnie zależy cała poezya życia, — odpowiedział Stefuś, — że rzeczy poważne przeplatamy niewinną zabawą. Zabawa to przyprawa życia, a w tém jest rozum, aby téj przyprawy za wyłączny pokarm nie używać. Gdyby naprzykład pani kto codziennie tańczyć kazał...

— Uchowaj Boże! Gdybym dla tańca miała zaniedbać mój ogródek, moje gołąbki, moje dzieci na wsi, nadzór nad gospodarstwem domowém: to byłby grzech śmiertelny!

— Zgadzam się zupełnie z panią; dlatego dzisiaj tańczyć będę!

— O to bardzo pięknie ze strony pana, że pan... do nas się zniżasz!

— Przepraszam: przed chwilą tańcząc z panią myślałem, że latam po niebie!

Rąbek sukienki był znowu za ciasny. Zosia posunęła go ku ramionom i odparła:

— Nie widzę, abys pan to seryo mówił!

— Przyjmuję wyzwanie!... Pozwoli pani, że porozumię się z narodem!

Skłonił się z uśmiechem i wstał z fotelu, aby z młodzieżą porozumieć się o zmianę tańca.

Stefuś chciał teraz stworzyć widzom arcydzieło. Zorganizował kotyliona z wszystkimi dodatkami, jak go w Wiedniu praktykują. Do pierwszej pary stanął z Zosią.

I zawiązał się łańcuch najpiękniejszych rączek i sukienek, i puścił się w dziwne zwoje — pojedyncze kółka pękały i osobno wirowały — za nimi szły inne, wytryskując z tłumy jak srebrne bańki z głębi wody i łączyły się w jakiś dziwny chaos, który jednak miał pewien system i porządek.

Potworzyły się najcudowniejsze grupy, te grupy rozbijały się i zbijały za każdym słowem, które z ust Stefusia wychodziły, rozwijały się i zwijały w kłębek, wreszcie nagle z porwanemi końcami stawały jak wryte!...

Po tym ruchu w massie, następował ruch par pojedynczych. Rozpoczął Stefuś z Zosią. Fala skręcała się to na lewo, to na prawo, niknęła w massach i znowu wypływała jak wypływają melodyjne tony piosenki z całego chóru, który jój wturuje!

Wszyscy widzowie byli zdumieni! Stefuś jak czarno-księżnik jedném skinieniem kierował tą massą różnobarwną, i między tą massą odznaczał się z towarzyszką swoją jak czerwone pasmo w przedzy szarój!

Przy takim towarzyszu musiała Zosia być królową, bo byłaby nią każda inna. Sąsiadki nie mogły się napatrzeć na tak piękną parę. Nawet proboszcz i pan Maciej wyszli z drugiego pokoju i z uśmiechem na twarzy patrzyli na wcale nowe dla nich widowisko.

— Patrz pan,—ozwał się proboszcz do pana Macieja, który okiem gonił ładną parę,—i nasz uczony archeolog rozumie się na sztuce Terpsychory!

— Bardzo dobrze!—odpowiedział zadowolony pan Maciej,—tak być powinno. Młodość ma swoje prawa!

Kotyliion przeciągnął się aż do północy. Stefuś wyszedł z niego obwieszony orderami naprędce zaimprovizowanemi i cofnął się jak drugi Cyncynat z całą skromnością archeologa w najciemniejszy kąt salonu, dokąd za nim wdzięczne spojrzenia wszystkich panien pospieszyły!

Już jutrzienka świeciła na niebie, gdy goście zaczęli się rozjeżdżać.

Zosia żegnała wszystkich z wielkiém wzruszeniem, całowała się z przyjaciółkami aż do łez, pana Romana nawet serdecznie za rękę ścisnęła, bo cały świat w téj chwili tak bardzo, tak bardzo kochała! Jój serce było dzisiaj otwarte jak kielich lilii, białej, niewinnój lilii!...

— A cóż panno Zofio,—rzekł na pożegnanie proboszcz,—czy nie przepowiedziałem niespodzianki?

Zosia chciała uderzyć proboszcza po rękę, ale przypomniała sobie, że to ręka poświęcana; skończyło się więc na uderzeniu przyjaciółki w ramie, która koło niój stała.

Stefuś widział to uderzenie. Uśmiechnął się z zadowolenia i podał Zosi rękę na dobranoc.

Zosia odsunęła grzecznie jego rękę, wzięła inną, którą jój podano i rzekła z uśmiechem:

— Pan przecież nie odjeżdżasz?... Trzeba dać pierwszeństwo tym, co jadą!

Stefuś przyjął wyrok i czekał.

Czekał do samego ostatka. A gdy już prócz ojca i Edwarda nikogo więcéj nie było, wtedy dopięro podała Zosia rękę:

— Najwaleczniejsi, — ozwała się, — ostatni schodzą z pola bitwy.

— A na polu, niestety, muszą zostawić niezwalczonych! — dodał Stefuś.

Zosia powiedziała szybko dobranoc i wykręciła się, aby w jój oczka nikt nie zajrzał.

Za chwilę już jój nie było: tylko szelest sukni dochodził z dala.

Stefuś i Edward udali się do oficyn.

— Szalone porobiłeś konkiety! — rzekł do niego Edward, — wszystkie panny zakochały się w tobie!

— Zakochały, jak zakochały, — odparł Stefuś głaszcząc bakenbardy, — ale zrobił się potrzebny fundament do dalszych naszych operacji. Teraz słowo moje, w twoim interesie gdzie rzucone, będzie miało już pewną wagę!

— Otóż mówię ci, wyrocnią będziesz!

Przyjaciele rozmawiali jeszcze czas niejaki między sobą, zapalili cygara i zasnęli wreszcie spokojnie, gdy pierwsze promienie wschodzącego słońca ozłociły szyby ich izdebki.

Spali spokojnie, nie słyszeli nawet ptaszka, który jakby posłany od kogo usiadł na ich okno, ćwierkał im jak mógł najśłodziej jakąś piosenkę do snu!

A w okienku, do którego sen nie chciał zawitać, nie było ani ptaszka, ani słońca!...

Okienko to wychodziło na północ, na zimną północ. Wiatr chłodny uderzał w nie, gałęzie lipy szeleściły pod niem, a niebo przysłało mu tylko zimne, błękitnawe światło.

Ale za okienkiem w pokoiku było za to bardzo rozkosznie. Piękną, bujnemi lokami ubraną główkę otaczały złote marzenia, które się śkliły jak piórka pawie i dźwięczały jak rój muszek złotoskrzydłych! Wszystkiego było tam pełno. Było słońce i gwiazdy, były kwiaty i trawki, był strumyk i skała, księżyc i altanka! Wszystko to było ożywione, mówiło, zwierzało się i słuchało wzajem cichych, jak szepta szeleszczących zwierzeń marzącego serduszka...

Trudno jest iść za śladem tych złotych marzeń, które są szybsze od iskry elektrycznej, trudno dzień po dniu zapisywać drobne zdarzenia, które są wielkie dla tych, dla których się zdarzają!

Stefuś z Edwardem ulokowali się na czas dłuższy w oficynach. Stefuś miał robić wycieczki do granicznych kopców, rozdzielających korpusy majątków, w których wietrzył kurhany i uroczyska. Tymczasem tworzył z Edwardem plany, aby go gdzie bogato ożenić, jak mu to przyobiegał.

Pan Maciej najserdeczniej przyjął ich w gościnę, a Stefusia za jego rozsądne zdania tak pokochał, że między nim a proboszczem przyszło nawet do pewnej zazdrości, proboszcz bowiem utrzymywał, że od razu przeczuł w Stefusiu znakomity talent i erudycją.

A Zosia?

O Zosi jest trudno co więcej powiedzieć. Zosia sama nie umiałaby zdać z tego sprawy. Miała tylko jakieś dziwne uczucie, ale nie wiedziała, co się z nią dzieje. Nie wiedziała, czy to, co po jej głowie biega, są myśli czy marzenia; nie wiedziała, czy je gdzie wyczytała, czy sama stworzyła.... ale z tém wszystkiém było jej dobrze, było bardzo dobrze!

Najlepiej zaś było jej, gdy księżyc do pokoju pomiędzy liście winogrodu świecił, a Stefan przy fortepianie jakąś rzewną piosenkę śpiewał o dwóch gołąbkach czy turkawkach....

Dzionek spływał po dzionku, godziny gdzieś umykały jakby skrzydła miały. A jeśli Stefuś na kilka godzin do swoich kurhanów wyjechał, Zosia nie odstąpiła od okna, póki go wracającego nie ujrzała. Rozumié się, nikt o tém nie wiedział, bo to był jój sekrecik.

Podejrzywała jednak Stefusia, że wie o tém. To ją mocno martwiło. Chciała się zamaskować, chciała być w oczy inną niżeli za zielonemi kwiatkami w oknie, ale to nie udawało się!

Stefuś z razu uśmiechem zadowolenia witał każde spostrzeżenie, które na jego korzyść wypadało. Widział, że rachunek założony zbliżał się powoli do rezultatu i zacierał ręce z radości, że mu się wszystko tak wybornie udało! Był tu jeszcze dawnym, samym sobą.

Ale z postępem dni zaczęło coś w nim się zmieniać. Jego arytmetyczne wyrachowania zaczęły się łamać, jego takim trudem nabyta nauka świata, za pośrednictwem takich nauczycielek jakimi była pani Aurelia i pani Idalia, zaczęła się mącić, a on sam tracił grunt pod nogami, na którym pierwój tak mocno się opierał!

Była to atmosfera Zosi, która to wszystko zrobiła!

Pierwsze, wiosenne wzruszenie niewinnej duszy było tak czyste, tyle boskiego było w nich pierwiastku, że tak światowy człowiek jakim był Stefuś, zachwiał się od ich oddechu!....

Zaczął mu coś majaczyć przed duszą, że kobieta może być czémś więcej, niżeli workiem pieniędzy, że może z tego zwykłego, samolubnego świata stworzyć świat inny, anielski, i w ten świat innych za sobą wprowadzić; że wreszcie dla tego ideału życia możnaby nawet coś ze swego egoizmu ofiarować, a nawet nawet poświęcić się!.....

Takie błędne światelka majaczyły przed Stefusiem, gdy mu Zosia jaki kwiatek podawała, lub gdy smutną piosenkę przy fortepianie śpiewała, albo nad chorą wiejską dziewczyną płakała!

W takich chwilach przychodziło Stefusiowi na myśl czyby nie lepiej było, aby poszedł inną drogą w życiu, aby nie potrzebował udawać innego, niżeli jest w istocie!

Pochwały ze strony proboszcza i pana Macieja za pracowity żywot jego, stawały mu się teraz nieznośnemi, kłóły go jak żądła. Unikał ich, bo one bolały go w głębi duszy!

Katarakta sceptycyzmu, którą tak starannie nasunął sobie na oczy, zaczęła powoli podnosić się, a jakiś świat nowy, w innych zupełnie barwach występował coraz jaśniej przed nim....

Była chwila, że mógł zupełnie ozdrowieć, o tyle, o ile taki człowiek zdrowym być może...

Ale cóż za droga była przed nim potem?... Czyż mógł wrócić się do téj ścieżki, z której zbaczać zaczynał? Czyż nie była ta ścieżka już daleko od niego?

Nagle sukcessa, jakie teraz w ułożonym planie swoim robił, oderwały go od tych medytacyi.

Zosia z każdym dniem widocznie coraz więcej mu się oddawała. Jój piękna dusza, oszukana rolą jaką odgrywał lgnęła coraz więcej do niego. Widziała w nim człowieka wyższego, a wyższość podobna ma zawsze dla niewinnego serca tyle uroku, tyle pociągu!

Stefuś uznał wreszcie, że na medytacye nie ma teraz czasu. Trzeba było prędko ze sposobności korzystać. Wszystkie zamysły jego dojrzewały szybko, najmniejsza stagnacya wszystkoby popsula.

Spokojnie więc, obliczywszy tak świetne korzyści, przystąpił do zbioru plonu.

Pewnego wieczoru, przy herbacie, gdy przez okno zajrzał księżyc w pełni, napomknął panu Maciejowi dosyć obojętnie, że jutro gościnnie dom jego opuszcza.

— Jakto? tak nagle pan nas opuszczasz?—zapytał pan Maciej.

— Otrzymałem polecenie od Towarzystwa Naukowego aby zbadać pewne pamiątki przeszłości—odpowiedział spokojnie Stefuś.

Cisza grobowa nastąpiła; tylko w rękę Zosi zabręczała filiżanka.

— Myślałem że pan tak prędko nas nie opuści!—rzekł po chwili pan Maciej.

— I ja tak myślałem—odpowiedział z lekkim westchnieniem Stefuś—bo zazwyczaj rzeczy nieprzyjemnych przewidywać nie chcemy! Ale poświęciwszy się takim pracom nie można połowy duszy im dać! Im trzeba wszystko poświęcić!

— Ach to okrutnie!—wyszepnęła Zosia i urwała bo głos jój zadrżał.

— Nikt nie jest okrutniejszym jak człowiek sam dla siebie, gdy się jakiejś wyższej myśli poświęci!—odpowiedział spokojnie Stefuś.

— Czyż od tej wyższej myśli już nic dla siebie i dla innych utargować nie można?—zapytała Zosia z przymuszonym uśmiechem, podczas gdy łyzy drżały jój pod powieką.

— Nie—odparł Stefuś gorzko—poeta nasz wyśpiewał że są rzeczy, którym nie mogę pół-serca lub pół-duszy poświęcić!

Znowu nastąpiło głucho milczenie. Pan Maciej chciał rozmowę zwrócić na inny tok, ale mu się to nie udawało. Co kilka słów były długie pauzy milczenia. Twarz Zosi bladła coraz więcej: powoli znikały z niej kolory i gasły światła.

Powstano od stołu. Edward zapalił cygaro, a pan Maciej wziął gazetę do ręki.

— Możeby mi pani co na pożegnanie zagrała?—rzekł Stefuś smutno do Zosi.

Zosia czuła teraz sama potrzebę muzyki; usiadła i zaczęła grać: przy niej usiadł Stefuś.

— Czy nie mógłbym dzisiaj z panią chwilkę na osobności pomówić?—zapytał cichym głosem.

Zosia pomyliła nuty, zadrżała cała i—wstrząsła głową.

— Więc chcesz pani abym odjechał.... odjechał na zawsze, i nie mógł pani powiedzieć....

— W taki sposób.... nigdy!—wyszeptała z cicha.

— Księżyc tak pięknie świeci.... niebo zaprasza.....
o jedną chwilę preszę!

Zosi polały się łzy z oczu—ale wstrząsała głową.

Stefuś milczał czas niejaki: takiego uporu nie spodziewał się.

— Jeśli mi pani rozmowy odmawiasz—mówił dalej—
to pozwolisz pani kilka słów do siebie napisać?

— Ach panie! Zlituj się! Nie żądaj tego odemnie!—
wyszeptała.

— Więc się łudziłem!.... Myślałem że do takiej
prośby miałem prawo!

— Jeżeli pan jesteś w prawie—szepnęła po chwili—to
proszę o litość!

— Są uczucia wyższe od litości—odparł Stefuś—zosta-
ję przy mojem prawie!.. Pozwolę sobie napisać kilka słów,
a pani raczysz je przeczytać!

Rzekłszy to wstał od fortepianu i przyłączył się do sie-
dzących przy stole.

Zosia została przy fortepianie. Nie chciała w tej chwili
ojcu twarzy swojej okazać i siliła się do gry. Coś impro-
wizowała, schodziła z jednego motywu na drugi, aby tylko
się zatrudnić. Wreszcie wstali wszyscy i powiedzieli sobie
nawzajem dobranoc. Zosia żegnając się, wybrała do tego
najciemniejszy kąt pokoju, aby jęj twarzy nie widzieć.

W oficynie Stefuś napisał liścik i przez zaufanego po-
kojowca wysłał do Zosi.

Zosia ze drżeniem, jakby miała popełnić grzech śmier-
telny, czekała zagrożonego listu.

Wreszcie nadszedł. Krew uderzyła jęj do głowy, rzu-
ciła się na kolana przed obrazem Matki Bożkiej, błagała
o litość dla biednego serca swego.... i zaczęła list czytać.

List był dosyć długi. Stefuś mówił wiele o miłości,
mówił że ją kocha nad wszystko w świecie i że ma przeczucie,
że ona również jest mu wzajemną. Wzywa więc ją do
walki, aby przemocą zdobyć to szczęście, które sam Bóg

w niebie im zgotował i spodziewa się, że będzie w stanie możliwy opór ojca przełamać, jeśli takowy się okaże i t. d...

Zosia przeczytała ten list sto razy, płakała nad nim rzewnymi łzami, nie wiedząc dlaczego i poco! Raz zdawało się jój że to wielkie zmartwienie, drugi raz że to wielkie szczęście!...

Ranek zastał ją czuwającą. Czuła ubytek sił i jakąś gorączkę.

Służąca przelekła się jój wyglądaniam i zawiadomiła o tém ojca.

Ojciec przyszedł. Nachylił się nad łóżkiem. Zosia owinęła swoje gorące ramiona wkoło jego szyi, rozplakała się i — podała mu list Stefusia.

Pan Maciej przeczytał spokojnie raz i drugi, posmutniał, a potem rzekł do córki:

— Wiedziałem potrosze, że na coś się zanosi. Nie chcę niewolić serca twego, ale chcę nad niem jako ojciec czuwać. Od kilku dni byłem w obawie, abyśmy nierozważnie sobie nie postąpili. Obawę tę wznieciły we mnie jakieś głuche wieści i kilka napomknień Edwarda. Nie chcąc nikomu krzywdy wyrządzać, napisałem do moich znajomych i od nich w tych dniach odbiorę listy, które mi może moje powątpiewania wyjaśnią. Dotąd radzę ci się ze wszystkim powstrzymać, a nawet dobrze będzie, jeśli w łóżku zostaniesz. Potrzebujesz spokoju...

Taka była rozmowa ojca z córką.

Stefus ani się domyślał, co się z jego listem stało. Z dobrą miną powiedział panu Maciejowi dzień dobry i czekał spotkania się z Zosią.

Zosi jednak nie było. Mogła ona szczerze wypełnić życzenie ojca, bo była istotnie chorą.

Koło południa jakoś nie na rękę było Stefusiowi, że swój odjazd zapowiedział, o którym na prawdę nigdy nie myślał, a tu Zosi bynajmniej nie widzi, a do zostania nikt go nie zaprasza.

Na szczęście jednak przyszedł po południu jakiś list obojętny do niego. Stefuś oznajmił panu Maciejowi, że list ten daje mu jeszcze folgę niejaką i obiecał pozostać.

Pan Maciej przyjął tę wieść dosyć grzecznie i na tém się skończyło.

Tymczasem gotowała się nad głową Stefusia burza, o której nawet nie myślał.

Najprzód sam Edward podstawił mu nogę. Między ludźmi, którzy w szlachetne pobudki w życiu nie wierzą, tylko w prosty interes, nie ma także szczerój, szlachetnej przyjaźni.

Edward w tych kilku tygodniach poznał, że Stefuś o jego interesie zupełnie zapomniał, a tymczasem sam dla siebie piekł pieczeń. Poznał, że ta pieczeń mu się udaje i poczuł zazdrość, a nawet jako krewny uważał za obowiązek przestrzedz swego stryja. Powoli nawet wygadał się dosyć niekorzystnie o swoim przyjacielu i o jego roli archeologa!

Za dwa dni nadeszły listy ze Lwowa: pan Maciej odczytał je z uwagą.

Po kawie zaprosił Stefusia do swojej kancelaryjki i drzwi za sobą zamknął.

Na stole leżały fatalne listy, a obok nich list Stefusia pisany do Zosi.

Gdy Stefuś list swój poznał, zarumienił się. Nigdy mu na myśl nie przyszło, aby listy podobne mogły córki ojcom swoim pokazywać. Miał pod tym względem zupełnie inne doświadczenia, a według tych doświadczeń sądził o całym świecie.

— Mój panie Stefanie,— ozwał się pan Maciej z powagą, — nie weźmiesz mi pan za złe, jeżeli z panem jako ojciec i przyjaciel pomówię. Córka moja zwierzyła mi się, jak to jój obowiązkiem było, żeś pan do niej napisał o stanie swego serca....

Stefuś stał czerwony jak upiór; nie tracił jednak jeszcze fantazyi.

— Serce pana, — mówił dalej pan Maciej, — jest jak serce każdego młodego człowieka i nie można go za to winić; ale ja jako ojciec musiałem być rozsądnym i zasięgnąć rad moich znajomych, którzy pana więcej znają odemnie. Otóż ich rady nadeszły: możesz pan je odczytać!

— Jakieżby mogły być te rady? — zapytał Stefuś butnie.

— Rady bardzo szczere, prawdziwie ojcowskie. Najprzód radzą panu, abyś pan pozbył się w życiu tych ról, które tylko na scenie uchodzą. Amatorskie teatra przyzwyczaiły zapewne pana do odgrywania ról różnych, ale najniefortunniejsza z nich była rola — archeologa!...

Stefuś zaczął sinieć na twarzy.

— Być może, że szlachetniejsze pobudki zmusiły pana do téj roli, ale jako przyjaciel i ojciec zaklinam pana, obieraj pan prostą ścieżkę we wszystkich czynnościach swoich!... Wiem nadto, że od kilku lat pod pozorem studyów prawa siedziałeś w stolicy i czas ten zmarnowałeś, a nawet rodziców swoich oszukiwałeś!... Mówię panu dlatego te słowa, że pana polubiłem, bo widzę w panu talenta i grunt dobry. Przy usilnej pracy możesz pan jeszcze wszystko naprawić. Więc moja rada jest taka: jedź pan natychmiast do Lwowa i wstąp napowrót do szkół. Skończ prawo, jakieś zrazu zamierzył; a jeżeli do tego czasu serce twoje nie zapomni dzisiejszych wrażeń, a sympatya mojej córki także dotrwa, to znajdziesz pan we mnie ojca kochającego!

Stefuś stał na rozdrożu wstydu i rozrzewnienia. Nie wiedział co wybrać. Pierwsze było konieczne, drugie nader przyjemne!...

Lepsza część jego istoty, która już pod tchnieniem Zosi zaczęła się ożywiać, ozwała się i teraz. Rady pana Macieja były rady ojcowskie, on go kochał, dla miłości Zosi mógłby wrócić na drogę inną, drogę, która mu już czasami majaczyła przed oczyma!...

Ale w téj chwili zbudziła się jego pycha: katarakta skeptycyzmu zasunęła mu znowu oczy.

— Jakto? — pomyślał sobie — stary hreczkosiej przedrwiwa ze mnie! Wkłada na mnie obowiązki, jakich nawet sam patriarchy za Rebekę nie byłby przyjął! Chcą żebym się wrócił napowrót do szkoły, między młokosy!... Nie, to stary stroi sobie żarty!... To znaczy ruszaj sobie z mego domu!...

Stefuś wyprostował się z dumą i rzekł do pana Macieja:

— Po tém, com od pana usłyszał uważam za dowód wielkiego szacunku dla pańskiego domu, jeżeli — o wózek poproszę do najbliższej stacyi kolei żelaznej!

Ironiczny uśmiech przebiegł po bladej twarzy pana Macieja. Skłonił się w milczeniu.

Za godzinę dwa wózki równocześnie wyjechały z bramy, za którą rozjechały się w dwie różne strony.

Jeden powiózł Stefusia do stacyi kolei, drugi pojechał po lekarza!

XI.

U w ó d.

Do stacyi kolei było dwie milki. Stefuś miał czas spokojniej zastanowić się nad sobą.

Gdyby w moralny grunt duszy ludzkiej wierzył, byłby może przyszedł do wniosków na swoją korzyść. Byłby słowa pana Macieja wziął za szczerłość i otwartość, byłby w takim razie może zdecydował się wrócić do pracy a to tém chętniej, jeżeli nagrodą téj pracy mogła być Zosia i wszelkie te korzyści, które się do niej wiązały. Szczęście stało widocznie przed nim.

Nawet i w gorszym razie mógłby był dopiąć założonego celu. Jeżeli Zosia pokochała go całą duszą, mógł za pomocą jéj miłości zmusić ojca do kapitulacyi, który mając do wyboru między dwojgiem złego, to jest między utratą albo cierpieniem córki a narzuconym zięciem, wybrałby zapewne ostatnie, jak to się czasem wydarza.

Stefuś jednak nie wierzył w szlachetną stronę ludzi. Nie widział żadnej poezyi, chociażby ta poezya nie była nawet rozsądną. Zbyt wczesne otarcie się o świat, a świat taki, który pozwolił jemu o siebie się ocierać, odebrało mu wszelką poetyczniejszą ułudę życia. On nie wierzył na seryo

w wyższą miłość kobiety, nie wierzył w bohaterską wytrwałość serca. Miał to przekonanie, że miłość kobiety to szal chwilowy, z którego wprawdzie na razie korzystać można, ale nie można go brać za fundament do planów na dłuższy czas założonych.

Słowa więc pana Macieja, aby zamiast iść do ślubu, do szkół się nawrócił, wziął po prostu za impertynencyę jemu wyrządzoną, za niegrzeczną, dyplomatyczną formułkę odprawy.

O Zosi nie miał także lepszego wyobrażenia. Młode dziewczę wprawdzie rozkochało się trochę, ale po rozmowie z ojcem, wyparło się swoich wzruszeń i postanowiło być mu posłuszném. Był to z jęj strony mały romansik, jaki zazwyczaj dla wprawy przedsięwiorą czasem pensyonarki.

Tak myślał o Zosi Stefuś. A uzasadnionym powodem do tego było, że po odebraniu listu jego, który zaraz ojcu dała, zamknęła się w swoim pokoiku, aby mu się więcej nie pokazać. Uważał to za zwykły koniec pierwszej wycieczki młodego serca, jak to się w stolicy często wydarzało.

Wyprowadziwszy z całej swojej katastrofy podobne wnioski, złorzeczył światu i ludziom, że są źli i nie doskonali, wyrzucał kobietom że na prawdę nie kochają, że męczyzn tylko grą udaną łudzą, a potem cofają się, gdy piąty akt ma nastąpić. Gdyby nawet pod ręką miał papier i pióro, byłby napisał wiersze á la Hejne albo á la Byron, rzucając klątwę na cały ród kobiety, który nie jest zdolny do uczuć wyższych i szlachetniejszych i tylko materyalny stan konkurenta za punkt wyjścia w swoich miłosnych rojeniach bierze!...

Takie i tym podobne myśli biegały po głowie rozżalonego Stefusia, gdy wreszcie zbliżył się do stacyi kolei żelaznej, o której jeszcze wcale nie wiedział, gdzie go zawiezie!

Gdzie? Pocóż się troszczyć! Któż jest pewny swego *jutra*? Czyż to nie lepiej, nie poetyczniej jest, żyć z dnia na dzień, żyć dzisiaj i nie mieć żadnego *jutra*?

Stacją kolei było miasteczko małe, znane powszechnie ze swoich jarmarków końskich.

A taki właśnie jarmark odbywał się w miasteczku.

Stefuś wszedł do dużej izby gościnnej żydowskiego zajazdu. W izbie było wiele szlachty okolicznej, która w takim razie bądź w interesie, bądź ze zwyczaju bardzo licznie tu się zjeżdża.

Ponieważ jarmark nie bardzo dopisał, pocieszano się towarzyską rozrywką: grano w karty.

Jedni grali preferansa, drudzy wista, inni w djabełka „taniego”, do czego miał kto pociąg.

Przy „tanim” djabełku siedziała młodsza generacja. Między nią dosyć czupurną fryzurą i pewną pretensjonalnością w ubraniu celował błydy młodzieniec, mający zaledwie lat dwadzieścia kilka. Grał z wdziękiem prawdziwie pańskim, rzucając na stół banknoty różnego formatu.

Ojciec tego zacnego młodzieńca handlował trzodą do Opawy. Współcześni pamiętają jeszcze jak jeździł po jarmarkach i targach i obmacywał grzbiety siercią najeżone, aby się dowiedzieć o grubości słoniny. Był to człowiek zany, pracowity i oszczędny. Handelek poszczęścił mu się, uskładał znaczne pieniądze, za które przy końcu życia kupił bardzo ładny majątek w ziemi.

Syn jego Teobald Maria Alfons chciał zatrzyć chlewne pochodzenie majątku swego, jak się w sekrecie wyrażał, wkupując się do grona szlachty. I zdawało mu się, że tego inaczej nie skuteczni, jak tylko drogą gry w karty i w ogóle życiem kosztowniejszym.

Na popis swego wyższego szlachectwa wybierał jarmarki i różne zjazdy w okolicy.

Tenże pan Teobald Maria Alfons siedział właśnie przy „tanim” jak zapowiedziano djabełku.

Stefuś znał go: podali sobie ręce.

— Czy grasz z nami? — zapytał Teobald.

— Nie jestem przy grubszych pieniądzach, — odparł Stefuś z pańska.

— Stefus i grubsze pieniądze! — zawołał śmiejąc się Teobald, — to są rzeczy, które nigdy z sobą w parze nie chodzą!... Nie udawaj: masz dziesiątkę, siadaj i przegraj ją do mnie napowrót!

Dowcip podobał się: Stefus wziął dziesiątkę i zaczął grać.

Nie wypełnił jednak warunku dawcy, nietylko bowiem nie przegrał dziesiątki, ale wygrał kilkaset guldenów i parę koni z karyklem i furmanem!

Zdawało się, że niebo chciało go wynagrodzić za poniesioną klęskę w domu pana Macieja. Samo dawało mu do ręki broń, którą zwalczyć miał nieprzyjazny mu świat i wziąć go pod nogi!

Parę koni, karykiel i furman w liberyi... na cóż więcjęd do szczęścia młodego człowieka? Czyż to nie najłatwiej takim ekwipażykiem wjechać w serce pierwszej lepszej, tłusciutkięj gąski?

Jeszcze tego samego wieczoru wziął Stefus swoją wygranę w fizyczne posiadanie, dał furmanowi strawne a dla koni na owies i zaczął przemyśliwać, coby to teraz zrobić, aby ten kapitał nie stał w stajni bez procentu. W innym bowiem razie były konie i karykiel wraz z furmanem tylko ciężarem!

Przyszło mu na myśl, że to właśnie czas kąpielowy! Karykiel i furman w liberyi w kąpielach galicyjskich, ach to myśl złota, to najpewniejszy numer na loteryi, to jakby już wygrana!

Dobrawszy sobie towarzysza, który do wspólnych kosztów podróży miał się przyczynić, wyruszył do Krynicy.

Krynica w owym czasie była miejscem bardzo dobrze wybraném. Zaludniały ją kobiety i panny nerwowe, zbyt długiem oczekiwaniem ideałów swoich rozstrojone. Inne były zdrowe, rumiane i przyjechały tylko, jak twierdziły, „dla świeżego powietrza.” Były między niemi i takie, które się tylko wprost bawić chciały, ale śród zabawy wyraźnie odró-

źniały tak zwanych „epuzerów” od zwyczajnych, brzęczących trutni, i były dla nich nader łaskawe w rozmowach, tańcach i wycieczkach.

Słowem, było to miejsce jakby dla Stefusia stworzone, jak to sam sobie powiedział.

Było to właśnie po południu. Dzień był piękny sierpniowy. Większa część gości kąpielowych używała koło źródła świeżego powietrza. Tualety były staranne, humory jak najlepsze.

Nagle od tartaku z góry zaturkotały koła: wszyscy zwrócili oczy w tę stronę.

— Ach!... Ach! — zawołano chórem — goście! Nowi goście!...

Elegancki karykiel, piękne gniade koniki i furman w liberyi stanęły przed domem „pod trąbką.”

— Jest tu piętro do najęcia? — zapytał Stefuś rozparty w karyklu.

— Jest jaśnie panie! Jest! — odpowiedział stróż i z głową odkrytą pospieszył do karyklu.

Stefuś zeskoczył z karyklu. Włożył na nos lornetkę i zmusztrował gapiącą się z dala publiczność kąpielową.

— Jest coś tego dużo! — rzekł do towarzysza podróży.

— A dosyć sporo! — odpowiedział zapytany wydmuchnąwszy siny dymek z cygara.

Za kilka chwil było pięterko „pod trąbką” zajęte, a karykiel wolnym ruchem jakby w pochodzie tryumfalnym ruszył do hotelu czyli karczmy.

Do wieczora o niczém nie rozprawiali goście kąpielowi jak tylko o karyklu. Kto był jego właściciel? Czy kawaler czy żonaty? Jakiego stanu człowiek? Czy przyjechał za kimś upatrzonym, czy tak tylko na niepewne?... były pytania, które sobie zadawano.

Odpowiedź na te pytania była bardzo trudna. Pewna część mężczyzn, którzy rodzaj „kuryerów” kąpielowych przedstawiają, rozeszła się na wszystkie strony, aby zasięgnąć języka. Trudna jednak była rada. Sam furman nie

wiedział jak się jego pan nazywa, a wstydził się przyznać, że był na kartę w dyabełka postawiony i wygrany. Zakłopotanie furmana rodziło mnóstwo domysłów, które były jeszcze ciekawsze od wyżej wymienionych pytań.

Wszyscy goście kąpielowi mieli dzisiaj noc anormalną. Mani śniło się, że żółty karykiel wprost jęj pierś przeszył dyszlem i w żaden sposób nie mogła się od niego uwolnić. Binia rozmawiała we śnie z właścicielem karykla, a gdy kur zapał, właściciel tupnął w posadzkę kopytem, zostawił ślad wypalony i znikł zostawiwszy po sobie zapach spalonej smoły!... Ludka pasowała się z nim, bo jęj kamelię wydzierał, którą jęj przyniósł pan Sabcio!... Ciocia Lorci widziała pod karyklem ogromną szkatułę z dukatami i gniewała się na panią Stefanię, która ją sobie przywłaszczyć chciała!...

Słowem, same anormalności w całym ustroju nerwów. Lekarz zdrojowy na drugi dzień nie mógł swoich pacjentek poznać, tak się wszystkie zmieniły!

— Pani coś mi źle wyglądasz! — rzekł do Mani.

— Coś mi głowa trochę boli! — odpowiedziała Mania.

— Kommocyi! kommocyi więcęj i na wieczór nic nie jeść!... A cóż pani dzisiaj?

— Mam migrenę, — odpowiedziała Bincia.

— Pić jeden kubek mniéj!... Pani przecież dzięki Bogu zdrowa?

— Gdzie tam konsyliarzu! W boku mnie kłuje! — odpowiedziała ciocia Lorci.

— Opoheldog! Smarować dwa razy na dzień!

Takie i tym podobne musiał przechodzić katusze lekarz zdrojowy!

Tymczasem sprawca tego wszystkiego leżał spokojnie w eleganckim jak na Krynicy pokoiku i popijał herbatę, którą mu z restauracyi kąpielowój przyniesiono.

Około południa, gdy słońce sierpniowe mieszkańców Krynicy z miejsc otwartych wymiotło, zebrał się Stefanus i udał się na zachwycenie języka.

W ganku restauracyi spotkał dalekiego znajomego, pozdrowił go i powiedział mu, że pewna sukcesyjka z Ukrainy na niego spadła i że właśnie wyjechał za szukaniem dzierżawy znacznej i korzystnej. Potem zapytał o gości kąpielowych.

Znajomy otrzymał dobre cygaro, a że był rozmowny, Stefuś wywiedział się o wszystkiem, to jest o tém, o czém tylko znajomy wiedział. Wiedziéć bowiem o wszystkiem co się gości kąpielowych dotyczy, to praca nie lada, a nawet trud daremny!

Cóżby bowiem dał pan Michał za to, gdyby mógł się na pewno dowiedziéć, ile posagu ma Binia? Mama prowadzi w kąpielach dom kosztowny, mówi o różnych dodatkach życia ludzkiego w ten sposób, że możnaby wnosić, iż są bardzo znaczne zasoby—ale... ale nic pewnego!

A cóżby znowu mama wraz z Binią dały za to, gdyby się dowiedziéć mogły jaki majątek w rzeczywistości posiada pan Michał! Jest mina i frak, ale kto wie... co za górą?

Mimo to były pewne tajemne znaki, po których jedni drugich szacowali. Rezultatem jednak takiego szacunku było, że się najczęściej oszukano i to nie w *plus* ale w *minus*!

Stefuś dowiedział się najprzód o towarzyskiej organizacyi gości kąpielowych.

Organizacya ta zasadzała się głównie na decentralizacyi sił, jak to najnowsza ekonomia polityczna naucza. Kilka pań wyżej urodzonych chodziło osobno z swoim dworem. Żony właścicieli ziemskich nie chciały przyjąć do swego towarzystwa żon lekarzy i adwokatów, a te znowu unikały sfery mieszczańskiej jako im nieodpowiedniej, reprezentowanej przez żony kupców i właścicieli kamienic. Były jeszcze niższe gradacye zacości ludzkiej.

Mężczyzni, ponieważ ich nie było wiele, mieli do wszystkich fortec listy żelazne. Była nawet o nich emulacya między fortecami, które czasem różnemi intryżkami o załogę walczyły.

Do przewodzców należeli trzej bracia: jeden podtusiały kawaler, który mazura dobrze tańczył i o jadło na wycieczkach się starał; drugi był żonaty, który gdzieś żonę zapodział a tymczasem kawalera udawał i partyjki organizował, a trzeci był gospodarzem kąpielowym, którego zazwyczaj wysyłano ze skargami do władz miejscowych. Był to niestrudzony trybun ludu kąpielowego, który w jego imieniu staczał walki z restauratorem za złą poledwicę i małe porcyjki, z aptekarzem za nieświeże wody mineralne i z zarządem kąpielowym o co tylko się dało!

Inną służbę porozdzielali między siebie inni mężczyźni jak mogli i na co którego stać było. Jeden chciał być dowcipnym i brano co dawał z chrześcijańską miłością. Drugi naśladował Chopina, a macając po klawiszach patrzył ciągle na brudny sufit, udając że patrzy w niebo otwarte. I ten miał powodzenie za swoją pracę ciężką, osobliwie gdy deszcz padał.

Inni znowu umieli organizować gry towarzyskie: ci naśladowali doskonale śpiew ptaków, a wszyscy prawie tańczyli i umieli godzinami mówić o niczym, o co najwięcej gościom chodziło, każdy bowiem chciał tu wytechnąć fizycznie i moralnie.

Niepoślednie miejsce w hierarchii towarzyskiej zajmował także poeta kąpielowy.

Już to wody galicyjskie obfitują zawsze w poetów. W każdym kąpielach musi być jakiś poeta i to niepośledni, jak o tém kobiety kąpielowe twierdzą, chociażby go literatura wcale nie znała! Ale co tam literatura! On Binci napisał w albumie wiersz taki czuły, Mani dorobił słowa do piosenki, a ciocia Lorci widziała na własne oczy jego „trzy sonety” drukowane!

Otóż był wtedy i ten poeta „trzech drukowanych sonetów”, który w pauzach wolnych od natchnienia, grywał w billard lub prowadził na sznurku azorcia panny Konstancyi.

Stefuś wysłuchał wszystko z wielką uwagą i spisał sobie znaczniejsze domy, w których postanowił być z wizytą.

I w kilka godzin potém trzydzieści domów i domków dowiedziało się, że właściciel karykla nazywa się: Stefan Tarło!

— Tarło! Tarło!—powtarzano sobie do uszu,—co za Tarło? To znakomita rodzina!..

Gdyby Stefuś z mniejszym efektem „pod trąbkę” był zajechał, gdyby milczkiem i skromnie wszedł w towarzystwo kąpielowe, byłby może daleko większą korzyść odniósł w swoich zamiarach; ale wjazd jego do Krynicy to był oczywisty atentat na tych wszystkich kawalerów, którzy kilkotygodniową pracę już się pod serduszka panien podkopali! Był to również atentat na te serduszka, które nagle jakos nieregularnie bić zaczęły!..

Temu złemu potrzeba było zapobiedz. Trzeba się czegoś koniecznie dowiedzieć o tym niebezpiecznym człowieku, który groził nie tylko panu Michałowi, Alfonsowi i Nepciowi, ale groził również i przywódzcom a mianowicie trybunowi ludu, który właśnie co dopiero skończył walną bitwę z restauratorem o niepobielane rondle i kwaśne jabłka do naleśników!

Wszyscy więc rzucili się, aby niebezpiecznemu człowiekowi nogę podstawić. A niebezpieczeństwo było wielkie, gdyż Minia na głos powiedziała, że jest najprzystojniejszym mężczyzną w kąpielach, Binia na głos jego angielskie faworyty pochwaliła, a ciocia Lorcia widziała w nim człowieka „z szykiem.”

Jedni mówiąc o nim przymrużali oko, aby dać poznać, że więcej wiedzą, ale źle o bliźnim mówić nie chcą; drudzy wyrażali głośno swoje powątpiewanie, aby ktoś z Tarłów miał jeszcze chodzić po Bożym świecie, gdyż ta familia już dawno wymarła wraz z prawnukami!

Mimo to wszystko postanowiły kobiety z tak przystojnym i napozór przyzwoitym człowiekiem wejść w stosunki dyplomatyczne i chronić się tylko miały od pewnych hazardów, osobliwie gdy córki były na wydaniu.

Stefuś jednak dawał sobie radę jak mógł, choć mu skrycie niebo nie sprzyjało. Urządził kilka wycieczek do lasu z fajerwerkami, spędził całą załogę na wieczorek tańczący, co dotąd przy zasadzie decentralizacyi nigdy się nie udawało, zorganizował kotyliona z takimi figlami, że wszystkie panny i młode mężatki chórem wyrzekły: że teraz dopiero zaczyna się Krynica na prawdę bawić, że teraz dopiero znalazł się człowiek, który jakby był w tym celu z nieba zesłany!

Stefuś cieszył się swemi zwycięstwami i roił sobie najlepsze nadzieje!

Zwycięstwa te jednak ograniczały się tylko na sferze towarzyskiej. Po za tę sferę trudno mu było sięgnąć; każda bowiem panna, mająca woń posagu, otoczona była całym orszakiem pretendentów, którzy na ten posag polowali. Kontrolowali więc siebie wzajemnie i denuncywali w rozmaity sposób. Temu zarzucali niskie urodzenie, tamtemu goliznę, owemu jakieś sprawy nie honorowe. Każdy wynajdywał jakieś plamy na swoim rywalu i w sposób zręczny rozszerzał o tém wiadomość.

Zdaje się, że i Stefusiowi, który był dla nich bardzo niebezpieczny dostało się sporo, bo serduszka jakoś nie otwierały się dla niego tak szeroko, jak to napozór oczy wskazywały.

Nawet w kilku wypadkach powiedziano mu z westchnieniem, że byt materyalny w takim razie nie należy z oczu spuszczać, a resztę miał sobie Stefuś dośpiewać.

Była jednak jedna szanowna matrona, która miała bardzo ładną córkę, Filipcię. Matrona miała przy każdej sposobności obszernie kazanie o zmateryalizowaniu wieku, o braku poetyczniejszych poglądów na świat, o przesądach kastowych i dodawała zawsze do tych kazań, że Filipcię wyda za tego, który się jój tylko podoba, choćby nawet w bardzo skromnych był stosunkach majątkowych. Dodawała do tego także, że jój córka może tak wybierać, bo nie potrzebuje się oglądać na majątek przeszłego męża.

Filipcia miała krótko ucięte włosy *en poëte*, nosiła zawsze z sobą tomiki różnych poezyj i nadzwyczaj sentymentalnie śpiewała pieśni z „Halki.”

Mimo tak sprzyjających okoliczności była jednak mama z poetyczną Filipcją dosyć osamotnioną: adoratorów wcale tam nie było.

Stefuś zwrócił na nie uwagę. Filipcia mówiła mu, że nudzi się w kąpielach, bo między młodzieżą nie ma nikogo, któryby jej marzeniom odpowiadał. Wszyscy są prozaiczni, żaden z nich nie umie wejść w marzenia kobiety, która wyższych uczuć pragnie. Dlatego odosabiają się z matką od tej rzeszy i wolą żyć w samotności.

Stefuś ucieszył się odkryciem takiego brylantu i postanowił tutaj szukać szczęścia.

A szczęście było łatwe. Ułatwiały do niego drogę zasady matki i córki. Majątek był jakiś znaczny, bo był lokaj i panna służąca, co u wód już wiele znaczy. Wprawdzie lokaj i panna służąca byli wzięci po drodze we Lwowie i o Ukrainie nie mieli ani wyobrażenia, jak to się Stefuś od nich dowiedział, ale zawsze były dostateczne dowody zażyłości.

Stefuś więc zaczął się kochać, a zdawało mu się nawet że się kocha na prawdę. Filipcia okazywała mu widocznie wzajemność i rzeczy szły szybko do ostatecznego rozwiązania.

Pewnego dnia chciał Stefuś odwiedzić znajomego, który mieszkał w tak zwanym „pałacu.”

Pałac był to obszerny budynek z drzewa.

Stefuś wszedł do pokoiku. Pokoik był otwarty, ale znajomego nie było. Postąpił naprzód aby na stole zostawić mu kartę. Nagle zasłyszal swoje nazwisko.

Stefuś stanął na środku pokoju. O ścianę mieszkała Filipcia z matką.

— Pan Tarło, — mówiła matka, — jest przyzwoitym na pozór człowiekiem, ale ja obawiam się Filipciu, abyś się nie zagalopowała!

— Niech się mama nie obawia, — odpowiedziała Filipcia, — ja na to uważam.

— Nie trzeba przyobiecować, nie trzeba odmawiać. Wprzódki musimy się coś pewnego o jego majątku dowiedzieć. Mówią, że ma jakiś kapitalik i szuka dzierżawy. Wprawdzie dzierżawca to za mało dla twego wychowania, ale zważ dziecko, że jest was ośmioro i że zaledwie na jaką taką wyprawę ściągnąć się można. Na wiosce długi.

— Mogłabym inaczej wybierać, gdyby stryjaszek coś dał.

— Stryjaszek za życia nic nie da, a nie wiem nawet czy po śmierci co będzie!

Nastąpiła pauza. Stefuś słyszał lekkie westchnienie. Cicho na palcach wyniósł się z pokoju.

Gdy już był daleko za rzeką, odetchnął ciężko jak człowiek, który uszedł wielkiego niebezpieczeństwa.

— O tobym się złapał! — zawołał półgłosem — one budują na moją dzierżawę!

I jakby już rzeczywiście kto go łapał, puścił się cwałem do lasku i nie obrócił się aż w głębokim parowie, zawdziwszy o pniak drzewa.

— Tam do kata! — mruknął do siebie — ażem się spocił ze strachu!... Jak to człowiek nie wie co nad nim wisi! Prawdę powiedział Malczeski, że „szczęścia chwile

„Są jak niebo pogodne, gdy piorun grzmi w tyle!...”

Jednak ten piorun na szczęście nie dosięgnął go jeszcze. Był zdrow i cały i mógł każdej chwili cofnąć się z linii bojowej.

— Już mnie tam pewnie nie obaczą więcéj! — mówił do siebie i chciał jeszcze dalej uciekać, gdy sobie przypomniał, że właściwie nikt go nie goni!

Zawrócił do domu. Kilka dni przepędził bez planu jak armia rozbita. Filipcia z daleka patrzyła na niego melancholijnie, robiła mu nawet wyraźne znaki, aby się zbliżył; ale on tych znaków teraz nie widział! Nawet widocznie uniikał spotkania.

„Pod trąbką” była poczta. Trzeciego dnia schodząc z pięterka obaczył Stefuś listowego, który w rękę trzymał list duży, czarną pieczęcią zamknięty. Na kopercie przeczytał nazwisko matki Filipci.

— Tam do kata! — pomyślał sobie, — może ten stryjaszek na prawdę umarł!

Pobiegł prędko do źródła. Koło źródła nie było ani matki ani Filipci. Dopiero za dwa dni pojawiły się obydwie w pysznych sukniach z długimi ogonami, z czarnego kasmiru.

— Stryjaszek rzeczywiście umarł! — pomyślał sobie Stefuś.

Równocześnie z tą myślą usłyszał zaraz ze wszystkich stron, że stryjaszek nie tylko umarł, ale zostawił ogromne kapitały, których się nawet nie spodziewano!

I była to zapewne prawda, bo zaraz trzech najsprytniejszych epuzerów, którzy słynęli z dobrego węchu, otoczyli szczęśliwą heretierkę, i nikogo więcej nie dopuścili.

Stefuś chciał teraz zbliżyć się, choćby tylko z kondolencją, ale Filipcia ani matka nie widziały go! Wymówił słowa kilka na chybił-trafił, ale słowa zostały bez echa!

Pod wieczór poszedł z wizytą. Zastał tych trzech epuzerów. Filipcia powitała go obojętnie i obróciła się do jednego z epuzerów, który wprawdzie miał tylko kilkaset włosów żółtych jak krokosz na głowie, ale miał za to dwie wioski i jeden przysiołek!

Stefuś próbował jeszcze szczęścia dni następnych, ale nie tylko w tych dniach niebo dla niego zagniewane było, ale nawet i Filipcia dosyć otwarcie mu powiedziała, że lubi jego towarzystwo i rozmowę z nim o poezyi, ale nad to aby sobie niczego nie obiecywał...

Stefuś był teraz rozżalony na cały świat. Wierzył za wzięcie, że ten świat wyrządził mu wielką krzywdę, że ludzie go zapoznali i nie zrozumieli!... Głośno wołał:

— I bądźże tu szlachetnym! Wierz w serce kobiéce i buduj na niem szczęście swoje! Kochaj świat i wytocz za

niego krew serdeczną!... O ludzi! O kobiety! Marny kruszec to wasze bożyszcze, to wasza miłość! Chcecie być ideałem życia, a jesteście tylko towarem, który pierwszy lepszy kupiec zapłaciwszy nabyć może!...

Otóż wyrzekam się waszych serc sprzedajnych, waszych spojrzeń zatrutych! Za *kruszec* będę miał wszystkie wasze serca i spojrzenia—a *kruszec* muszę mieć! Wtedy tysiąc postawię was przed sobą i będę wybierał jak sułtan!

I sięgnął do kieszeni, a znalazłszy tam ten marny kruszec na schyłku, kazał sobie podać rachunek, aby jeszcze dnia dzisiejszego wyjechać, i na pierwszej stacyi pozbyć się konia, karykla i furmana!

XII.

Altana i cementarz.

W rodzinném mieście Stefusia zaszły do tego czasu wielkie zmiany. Na zewnątrz zmian tych prawie widać nie było. Miasto już od wieków stare i podupadłe nie mogło w kilku latach tak znacznie się zestarzeć lub więcej podupaść. Porozwalane mury porastały co roku zaraz z wiosną bujnym chwastem i zakrywały aż do zimy porobione przez ten czas szczyrby i wyłomy; w zimie znowu spadł śnieg i lekką warstwą pozakrywał wszelkie ubytki wiekowych ruin.

Tym sposobem w mieście nie można było dojrzyć postępującej starości. Na mieszkańcach tylko była ona widoczna. Mianowicie dawniejszych rodów mieszczenie, którzy dawny obyczaj konserwować chcieli i w poważnej bezczynności z założonemi rękami na podcieniach domów siedzieli, postarzeli się i zbiednieli w stosunku do ruchliwej ludności wyznania mojżeszowego, która przemysłem i handlem dorabiała się coraz więcej i z ciasnych uliczek i zaułków miasta coraz dalej posuwała się w rynek i na główne place. Granicą tego nowego świata od świata, który konał, były kamienice na czerwono lub błękitno według wschodniego

gustu pomalowane, a od nich odbijały smutno zczerniałe, chwastem na gzemsach porośłe domy starych patrycyuszów!

I dom narożny z czerwoną nad oknami tablicą znacznie się od tego czasu postarzał. Tablica wypłowiła od słońca, nazwisko prawie się zatarło, tylko „zegarmistrz” jeszcze pozostał.

Dom ten w ostatnich miesiącach był w wielkim smutku. Przez dwa dni i dwie nocy paliły się tam w oknach dwa szeregi świec jarzących, a trzeciego dnia uszykował się przed domem długi orszak mieszczan i odprowadził na cmentarz trumnę dębową misternie świeczkami obitą.

Za trumną szedł tylko stary zegarmistrz, Stefus nie był na pogrzebie matki. Wysłany po niego list nie mógł go odszukać, i nikt nie mógł powiedzieć, gdzie wyjechał.

Po pogrzebie żony bardzo smutno było staremu zegarmistrzowi. Gewontowa i Paulina pocieszały go, że Stefus wkrótce przyjedzie, bo niepodobna, aby o śmierci matki nie wiedział.

Osobliwie Paulina miała wiarę niezachwianą i po całych dniach siedziała w oknie, aby każdego podróżnego z daleka widzieć. Serce jój bowiem przeczuwało, że przyjazd Stefusia musi być jakimś stanowczym dla niej zdarzeniem. Miała już gotowy dla niego rachunek swoich łez i nocy bezsennych, kurczów i boleści serdecznych, i ten rachunek chciała mu przedłożyć!...

Stary zegarmistrz wierzył obietnicom Pauliny, którą teraz jak córkę pokochał, ale jakieś dziwaczne przeczucie tak go bezustannie trapiło, że pewnej nocy chciał już zakończyć pielgrzymkę swoją śmiercią nader łagodną i łaskawą, to jest: przez apopleksyą. Stary piekarz jednak sprzeciwił się tak haniebnój dezercyi bez spowiedzi i komunii i przyszedł do sąsiada z ogromną szczotką i dopóty tarł go w policie czoła, póki zegarmistrz także się nie spocił i oczu nie otworzył. Paulina miała już ziółka gotowe, co obaczywszy zegarmistrz postanowił żyć jeszcze czas niejaki, choćby tylko dla przyjemności tych, którzy go tak po chrześcijańsku

ratowali. Przytomni temu przyjęli tę decyzję zegarmistrza z wielką radością.

I wkrótce byli wszyscy wynagrodzeni: Stefuś przyjechał.

W życiu Stefusia była to chwila nader ważna. Przybył rozżalony na świat i ludzi, którzy dla niego, jak mniemał, byli bez litości; przybył z raną otwartą, jaką mu świat brzydki i podły zadał, dla którego on miał tyle miłości!... A gdy jeszcze więcej w tém rozżaleniu zagłębiał się, doszedł do przekonania, że jest prawdziwym bohaterem, czystym jak słońce, podczas gdy wszystko wkoło niego czarne było! Chciał kochać, a kochać mu nie dano, chciał się poświęcić, a ofiary nie przyjęto!

Takie dziwaczne myśli i uczucia biegały mu po tajnikach duszy i serca. Powziął żal do świata jak jaki wielki poeta i przemyślał na prawdę o roli bohatera!

W takiem usposobieniu duszy trafia go cios nowy: matka umarła!...

Ten cios wywołuje w jego sercu wszelkie dziecinne wspomnienia! Pieszczoty matki, która z ojcem często za niego walki domowe staczała, kominy przeciwnych domów, o których stary pedagog powiedział mu, że są podobne do ideałów życia, które za zbliżeniem chowają się!...

To prawda! Ideały jego chowały się zawsze przed nim, gdy się do nich chciał zbliżyć, jak te kominy za czasów jego wędrówek dziecinnych chowały się zawsze po za dachy kamienic, do których się zbliżył!...

Rozrzewnienie jego było głębokie i prawdziwe, chociaż o pobudkach tego powiedzieć nie można.

W tém rozrzewnieniu zbliżyła się do niego Paulina.

Paulina nie była w téj chwili idealikiem powiewnym, akwarelowym, lekko w postaci skrzydlastego aniołka naszkicowanym. Była to kobieta w całym znaczeniu tego słowa, z jasną aureolą przebytych cierpień i boleści, przemarzonych na darmo dni i nocy... z cierniową koroną utraconych marzeń i bez echa skonanych pragnień!

Taka kobieta ma potęgę daleko większą nad sercami, niżeli złoty aniołek o skrzydłach motyli!

Pięć lat prawie upłynęło od tego czasu, gdy jej różowe paluszki odpięły od serca ową broszkę pamiątkową. Pięć lat nawiązanych do tej broszki marzeń i nadziei upłynęło, pięć lat gorzkiego i smutnego życia wśród nędzy i ubóstwa!

Śród nędzy i ubóstwa nic nie miała nad te marzenia! Wypieściła więc je i wykarmiła w głębi duszy i niemi potem żywiła się w długich nudnych dniach i nudniejszych jeszcze nocach bezsennych!

Teraz z gotowym rachunkiem tych cierpień i boleści stanęła przed Stefusiem.

Stefuś mógł ten rachunek teraz przyjąć ku pociesze strapionej duszy swojej. Gdyby się nie był nauczył patrzeć na świat z okien salonów, byłby zgodził się na połączenie dwóch domów w jeden, bo dom Gewontowej przypierał do ściany zegarmistrza. Paulina mogłaby zasłonić mu ten świat, widziany z okien salonów. Jej piwne oczy gorzały tęsknotą do tego, i były pewne, że mogłyby tego dokazać. Stefuś mógł znaleźć jakie zatrudnienie dla siebie i być pożytkiem dla miasta.

Wszystko to było możliwe, a sytuacja bardzo temu sprzyjała.

Paulina postanowiła całą sprawę na kartę postawić. Nie było nic do stracenia, bo cierpień swoich i bezowocnych boleści nie chciała dłużej przewlekać.

Stefuś był teraz bardzo przystępnym. Rozżalenie jakie czuł do świata i ludzi uczyniło go sentymentalnym. Był tkliwy na wszystko, co tylko trącało o struny serca i duszy.

Do tego przyczyniła się jeszcze rozmowa z ojcem, jaką miał zaraz po przyjeździe.

Stefuś bowiem przyjechał do domu z gotowym planem: chciał on namówić rodziców do sprzedania domu, aby za uzyskane w ten sposób pieniądze coś rozpocząć.

Śmierć matki ułatwiła mu jeszcze ten plan. To też razu jednego rzekł do ojca:

— Gniewasz się ojcie, że nie skończyłem szkół jak się patrzy, aby mieć jaki kawałek chleba. Zaraz się z tego wytłumaczę i nie wątpię, że mi przyznasz słuszość!... Skończywszy prawo cóżbym zyskał? Mógłbym zostać urzędnikiem i po długich latach służby dostać pensję, która jeszcze za czasów Maryi Teresy postanowioną była, a która dzisiaj ledwo na mieszkanie wystarczy. Urzędnikiem być, to znaczy więcej niżeli proletaryuszem, bo proletaryusz może sobie pierwszą lepszą robotą coś zarobić, a w najgorszym razie może rękę po jałmużnę wystawić, czego urzędnik uczynić nie może.

— Ależ kochany Stefusiu, adwokaci robią majątki!...

— Robili, kochany ojcie, wtedy, gdy ich na cały kraj było czterdziestu! Dzisiaj jest dwustu, i każdy tylko jak może wiąże dwa końce do kupy, aby się nie rozeszły. I tak często się rozchodzą!

— I cóż masz w miejsce nauki?

— W miejsce nauki mam to, że znam dobrze świat, i wiem, jakim sposobem gdzie co wyzyskaćby się dało! A to znaczy bardzo wiele, bo daje nadzieję zostania bogatym!

— A któż ci broni być nim!

— Aby kura jaję zniosła, potrzeba ję dać podkładek! Aby fortuna zniosła nam złote jaja, trzeba ję złoto podłożyć!... Trzeba mieć w rękę jakiś zakładowy kapitał!

— Ba, zakładowy kapitał! A zkadże go wziąć?

— Najpraktyczniejby było—kamienicę sprzedać!

— Dom sprzedać?... Czyś ty oszalał?... Co ty mówisz!.. Dom sprzedać?...

— Nieinaczej! Dom reprezentuje kapitał martwy. Procent bowiem, który daje, jest w stosunku dzisiejszych procentów tak mały, że go zyskiem nazwać nie można!... Dzisiaj są drogi inne lokowania z korzyścią kapitałów. Kto nie chce pracować, może mieć i dwadzieścia procent, a kto by umiał tym kapitałem dobrze obracać, to może w kilku latach podwoić go i potroić!

— Wszystko to być może, ale zważ, że na to trzeba — dom sprzedać!

— Tak jest, dom sprzedać. Nie ma w tém tak nic dziwnego. W średnich wiekach, gdy nie było praw i porządku społecznego, kupowano jako majątek srebra i korale, które ukryć można. Gdy miasta otoczyły się murem i fosą, kupowano kamienice, bo tych Tatar ani zły człowiek tak prędko wziąć nie mógł. Dzisiaj byłoby to wielkiem głupstwem, ktoby majątek swój chciał lokować w srebrach i koralach, które żadnego procentu nie noszą, albo trzymał domy w takiéj mieścinie jak nasze!

— Co téż ty mówisz! Dom... dom rodzinny to u ciebie głupstwo?

— Głupstwem nie jest, jeżeli za niego można dostać dziesięć tysięcy guldenów!

— I tybyś chciał sprzedać ten dom?... A wiesz ty, że ten dom to twoje *jutro*!

— Tysiące ludzi nie mają domów, a nie są przecież bez *jutra*!

— Nabyta nauka, paca, i rzemiosło jest ich *jutrem*!... A ty co masz?

— Miałbym kapiął, którym potrafiłbym zarobić!

— Kto nie umie zarabiać nie sprzedawszy ojcowizny, ten nie ma *jutra*!... A wiesz ty co się wiąże do tego słowa: ojcowizna?... Ojcowizna, to tradycya po twoich przodkach, która ci tak pocziwie żyć każe, jak żył twój ojciec, dziad i pradziad,... to grunt, na którym buduje syn co ojciec budować zaczął, to zresztą jedyny port, w którym jako rozbitek schronić się możesz!... Patrząc już na świat lat siedmdziesiąt, i wiele rzeczy widziałem. Widziałem jak podobni tobie sprzedawali tutaj swoje domy rodzinne, i wierzaj mi, że żaden z nich nie wyszedł na tém dobrze! Zeszli, skapieli i nędznie pomarli lub o kiju żebraczym w świat poszli, aby ich swoi nie widzieli!... A ty chcesz dom sprzedać? Chcesz pozbyć się tego legowiska, w które jeleni wraca, gdy go psy po całym lesie nauganiają!... Chcesz się pozbyć tego gruntu,

na którym człowiek poczciwym i zacnym być może, a bez którego może łatwo popaść w różne brudy i nałogi!... Czy widziałeś ty kiedy trzeźwego zawsze szlifierza, który z jedném kółkiem staje na ulicy i dom swój na kilka godzin zakłada? Cóż go napędza do pijaństwa? Oto to życie bez jutra, te nieustanne przebywanie w gospodach między pijącymi, ten brak obowiązków, jaki się zazwyczaj ma dla domu! A ty chcesz się tego wszystkiego pozbyć?... Nie, póki ja żyję, tego nie zrobisz!

Zegarmistrz mówił z nadzwyczajną energią, jakiej u niego nawet nie widziano. Oczy jego błyskały dzikim ogniem, jak oczy lwicy, gdy broni swego legowiska i dziątek. Wszelki opór byłby daremny w takim razie, to téż i Stefuś nie upierał się, tylko jeszcze więcej rozżalony na świat i ludzi, którzy mu drogę do jego szczęścia zagradzają, wyszedł na miasto.

Była to najniebezpieczniejsza dla niego chwila!

Drogi jego żywota były teraz zupełnie zamknięte. Wszedł w ulicę, która żadnego wyjścia nie miała. Cóż więc było robić na téj ciasnej przestrzeni życia, otoczonej zewsząd wysokimi murami?

Ale ta ciasna przestrzeń miała nad sobą kawałek Bożego nieba! Po tém niebie błąkały się małe chmurki i obłoczki, które mogły i oko zabawić i serce rozweselić, jeżeli inaczej już być nie mogło!...

Był to pierwszy dzień jesieni, ale był ciepły i pogodny. Stefuś chodził po rynku miasta z piersią pełną żalu i bóleści do świata, który go zapoznał i nie umiał ocenić!

Na podcienie wyszła Paulina. Była dzisiaj dziwnie piękną. Miała szarą sukienkę, nieco wykrojoną pod szyją. Krućcze ję włosy rozsypały się z dużego węzła i spływały jak kaskada na śnieżną szyję. W rękę trzymała jakąś książkę, w drugiej miała urwaną astrę.

Piwne oczy Pauliny otworzyły się szeroko i spojrzały na przechodzącego Stefusia. Znać uczuł to spojrzenie Ste-

fuś, bo nagle obrócił się i w prostym kierunku zbliżył się do niej.

Zaraz po pierwszym przywitaniu, rzekła do niego Paulina:

— Ach, pan tak długo nie byłeś w mieście! Zapewne nawet nie wiesz pan, jak mój ogródek wygląda! A od tego czasu, wiele, bardzo wiele się zmieniło... prócz... prócz mego serca, które zawsze kocha te same kwiatki, które za lat młodocianych i pan lubiłeś!...

Oczy Pauliny zmrużyły się tutaj i zamigotały dziwnym ogniem do Stefusia. Było w tym ogniu coś magnetycznego, czemu się oprzecz nie było można! Była to potęga przebytých marzeń i cierpień!...

Stefuś poszedł za Pauliną. Weszli do ogródka. Ogródek był mały, to jest ogródek poświęcony kwiatom; za nim bowiem rozszerzał się dosyć duży ogród, ale ogród ten rozdził tylko to, co do życia koniecznie jest potrzebne: dla poezji zaledwie mały kawałeczek można było odstąpić!

W ogródku poezji było rzeczywiście wiele pięknych astrów, bratków, były krzaczki lewkonii, był rozmaryn i fuksyja, rezeda i heliotrop.

Niejaki czas chodzili oboje pomiędzy grządkami, Paulina zrywała najpiękniejsze kwiatki, zrywała je z boleścią serca, i dawała Stefusowi, który je brał obojętnie i najczęściej zaraz gubił!

Często wydarzało się, że przy podaniu kwiatka zeszyły się razem ich ręce. Rączka Pauliny zawsze zadrżała w takim razie, ale Stefuś nie widział tego, a tém mniej mógł to uczuć.

Paulina była dla niego towarzyszką młodości, była przyjaciółką, której mógł się zwierzyć, ale nad to niczem więcej! Jój towarzystwo sprawiało mu przyjemność, jój koronowe usta, które przy śniadéj cerze błyszczały jak jutrzienka na szarém niebie uchodzącéj nocy, sprawiały mu wprawdzie jakieś przyjemne wzruszenia, ale do tych wzruszeń nie nawiązała się żadna myśl, żadne marzenie!

— Patrz pan jaki to piękny bratek! — rzekła do niego Paulina, trzymając kwiatek w ręku, — czy pan nie widzisz w nim pewnego smutku i melancholii?

— Zkąd pani taka myśl przychodzi? — zapytał Stefuś jakby się dopiero obudził.

— Ta myśl... ta myśl przychodzi mi, gdy sobie wyobrażam, że on jest taki samotny!

— Dlaczegoż samotny? Wszak bratki zazwyczaj w krzaczkach rosną!

— Ale tylko same *bratki!*... Dlaczegoż nie ma koło nich żadnej *siostrzyczki?*

Stefuś uśmiechnął się i zamyslił: jego oczy smutno patrzyły przed siebie.

— Pani dziwnie pojmujesz przyrodę! — odpowiedział z uśmiechem.

— To mi pan wybaczy! Nie posiadam rozległej nauki. Rzeczy w naturze tłumaczę podług siebie! A mnie zdaje się, że nie ma nic smutniejszego na świecie, jak takie samotne życie!...

— Samotne życie?... Prawda, smutne, bardzo smutne!

Stefuś westchnął, Pauliny pierś wezbrała także a kwiatek wypadł jój z ręki.

— Czegoż pani rzucasz ten symbol osamotnienia? — zapytał Stefuś po chwili.

— Bo on sprawił panu boleść! — odpowiedziała Paulina — a ja nie chciałabym panu sprawić żadnej boleści! Wprzódy wolałabym umrzeć panie Stefanie!

— Gdyby tylko tyle było boleści w życiu! — zawołał Stefuś sentymentalnie!

— Jakto? Czy śmierć moja nie byłaby dla pana boleścią?

— Mówiliśmy o bratku, który upadł na ziemię!

Po tych słowach nastąpiło milczenie. Chodzili oboje pomiędzy grządkami kwiatów, patrzeli oboje w jeden kielich kwiatu i tylko na dnie tego kielicha schodziły się z sobą ich

oczy.... Żadne z nich nie podniosło oczu, nie spojrzało na drugiego.

Piers Pauliny była pełną, rąbek sukienki uciskał ją. Tłumiła oddech i nie chciała wybuchnąć całą lawą uczucia, która w tej chwili jej serce napełniała!...

Chwila ta była dla niej stanowczą. Od niej mogła cała jej przyszłość zależeć!... Jakże to mówić spokojnie w takiej chwili? Jakże pochwycić te słowa, które gdzieś się rozbiegły?

Powoli zbliżyli się do małej altanki, ocienionej zieloną fasolą.

— Może pan spocznie w altance? — zapytała stłumionym głosem Paulina.

— Czy ta altanka ma dla pani wspomnienia jakich przyjemnych marzeń?—zapytał Stefuś.

— Gdyby te zielone strączki fasoli mówić mogły i moje marzenia zdradziły, musiałabym uciekać od pana zapłonią wstydem!... Mój Boże, coby też pan powiedział!.. Powiedziałyby pan, że oszalała Paulina!... Tak jest, nieprawda, toby pan powiedział panie Stefanie?

— Do szaleństwa trzeba wiele, bardzo wiele! Szaleństwo nie przychodzi tak łatwo!

— Być może że u panów! U kobiety ma się rzecz inaczej. Nieraz można patrzeć na kobietę, widzieć ją wesołą i śmiejącą się, mniemać że Bóg wie jak jest spokojną, a ona właśnie może stać na granicy szaleństwa! Cóż? Czy ma się z tego przed światem spowiadać? Czy ona ma zaraz serce swoje odsłonić i wskazać rany tam niezagojone?... Nie, przedź umrzeć!

Wyrzekłszy to weszła szybko do altanki, i jakby wyszlona usiadła na ławkę. Stefuś poszedł za nią i również usiadł. Na stoliku stały wazonki z heliotropem.

Długi czas panowało milczenie. Paulina oddychała głęboko, Stefuś bawił się heliotropem.

— Panie Stefanie!—ozwała się po jakimś czasie Paulina,—czy masz pan choć trochę przyjaźni dla mnie?

— Przyjaźni? — odparł Stefuś — jak możesz pani wątpić jeszcze pytając się o to towarzysza młodości?

— Czy odpowiesz mi szczerze na wszystko? Słowo przyjaciela!

— Słowo przyjaciela! — odpowiedział Stefuś i położył rękę swoją na dłoń, która tego czekała.

Paulina zatrzymała rękę na swojej dłoni, ścisnęła ją i mówiła dalej:

— Niech mi się pan wypowiedzi, a ja wzajemnie także to uczynię!

— Spowiedź moja, — odparł z uśmiechem Stefuś, — byłaby dla pani niezrozumiała!

— Niezrozumiała?... — podjęła z dumą Paulina — niezrozumiała?... Być może, że wiele rzeczy, które tylko nauka długa wyjaśnić może, byłyby dla mnie niezrozumiałe! Ale rzeczy, które się pojmują i odgadują sercem, nie będą nigdy dla kobiety ciemne, a tém bardziej, jeżeli serce téj kobiety przechodziło, choćby tylko w marzeniach, najboleśniejsze katusze!

Kiedy te słowa wymawiała wypłynęły z pod rzęs długich dwie jasne łzy i stoczyły się po twarzy.

Stefuś widział te łzy. Uścisnął rękę, którą dotąd trzymał i rzekł smutno:

— Serce, to największe nieszczęście nasze! Ludzie bez serca są szczęśliwi!

— Z tego wnoszę, że masz pan serce, jeżeli to nieszczęście panu dolega!

— Pani wątpiałaś o tém kiedy? Byłbym szczęśliwym, gdyby powątpiewania pani były prawdziwe!

— Przyznam się panu szczerze i otwarcie, że wątpiałam! Miałam bardzo słuszne do tego powody! Tyle lat na przykład, upłynęło w ostatnich czasach od wspomnień naszych młodocianych, a pan ani razu nie wróciłeś myślą do tych wspomnień, nie pomyślałeś pan, że tam w zapomnianém mieście, wśród ruin samotnych żyje kobieta, która nie jedną

chwile razem z panem przepędziła, a która może do tych chwil więcej przywiązywała, niżeli się godziło?...

Stefuś zajrzał w piwne oczy Pauliny, które teraz łzami się napęłniły i uczuł jakieś dziwne wzruszenie. Było mu z tém wzruszeniem tak dobrze jak prawie nigdy!...

Podniósł gorącą jej rękę do ust i powolny, długi wycisnął na nią pocałunek.

— Wyznam szczerze, — mówił z wolna, — że wyrządziłem pani krzywdę! Świat, świat szeroki pochwycił mnie w swoje ramiona, jak huragan mały listek oderwany z gałązki, i pomiatał mną nielitościwie z jednej hemisfery do drugiej!...

— Ale po tych burzach trzeba raz odpocząć... słodko odpocząć!

Paulina nachyliła się przy tych słowach do jego ramienia tak, że mógł czuć przyspieszoną pulsację serca. Biedne to serce mówiło jemu w tej chwili wiele, tak wiele!...

— Odpocząć? mówisz pani! — odparł z ironicznym uśmiechem, — gdzie mógłbym odpocząć? Czy czytałaś pani kiedy o żeglarzach morskich, którzy na stałym łądzie dlatego usnąć nie mogą, że ich żadna fala nie kołysze, żadna burza ich życiu nie zagraża?...

— Czyż wiecznie burzy i burzy?... Patrz pan! Ten mały ogródek, te kwiatki, ta altanka, czyż nie może pomieścić prawdziwego szczęścia człowieka? Czyż nie można tutaj kołysać się słodkimi snami, rozkoszném marzeniem i pozwolić innemu sercu również kołysać się takim samym szczęściem, którego ono tak gorąco pragnie?...

Stefuś czuł w tej chwili jeszcze szybszą pulsację serca przy swoim ramieniu, czuł nawet gorący oddech tych ust, które te słowa wymawiały!...

Zajrzał po raz drugi w te piękne, piwne oczy, które się przed nim bynajmniej nie zmrużyły! Otworzyły się dla niego jeszcze więcej i pozwoliły patrzeć w siebie, patrzeć aż do dna!...

Dziwne myśli przysły w téj chwili Stefusiowi do głowy.

— Czyżby nie lepiej było, — pomyślał sobie, — z wysokich marzeń spuścić się w tę cichą przystań życia i tu rozbić swój namiot?

Snać Paulina odgadła te myśli, bo ścisnęła go za rękę i z rozkoszą odetchnęła.

— Czytałam nieraz o tém, — mówiła jakby przez sen z zamrużonemi oczyma — czytałam nieraz o tém, że ludzie gdzieś daleko, za górami, szukają szczęścia swego, a ono tymczasem jest tak blisko nich, tak bliżutko!... O gdyby to wiedzieć gdzie jest to blisko! Czy ono nas czasem nie mami! Czy nie wydaje się nam czasem to bliżkiem co jest dalekiem, a dalekiem to, co właściwie jest tuż przy nas?... Panie Stefanie, czy nie myślałeś kiedy o tém?...

Do tego zapytania dodany był znowu uścisk ręki, który Stefuś sumiennie oddał.

— W szczęściu i w rzeczywistości, — odparł po chwili, — są te same optyczne złudzenia. Czasami wyciągamy rękę po dalekie mary i chcemy je uchwycić, a czasami kaleczymy się o to co nam jest tak blizkie!...

Wymawiając te słowa przychylił lekko głowę, która oparła się o miękkie ramie Pauliny.

— Rany takie przecież nie są śmiertelne! — szeptała mu Paulina do ucha.

— Są słodkie i rozkoszne, — odszepnął Stefuś, — ale mogą również zabić!

— Ach nie, — ledwo zrozumiała szeptała Paulina, — rany takie nie zabijają! Przeciwnie, one goją, one mogą wszystko zagoić, wszystkie cierpienia i boleści zmasać i otworzyć niebo, gdzie są tylko wybrani i aniołowie!..

Ostatnie słowa konały z wolna coraz cichszym szmerem i urwały się w końcu nagle jakby zestraszony nagłym gestem Stefusia...

W téj chwili ozwał się głos babuni, który Paulinę wołał: Paulina i Stefuś powstali szybko.

Gewontowa była już w ogródku.

Po tej rozmowie w altanie nastąpiło kilka dni cichych marzeń i snów przyjemnych.

Czwartego dnia zaszła w domu zegarmistrza wielka zmiana.

Nie wiedzieć, czy to ze zwyczajnego biegu rzeczy tak wypadało, czy propozycja sprzedaży domu przez Stefusia tak silnie na nerwy mózgowe starego zegarmistrza działała: ostatni burmistrz miasta z wolnych wyborów został po raz wtóry tknięty apopleksją.

Teraz już wszystko było nadaremne. Daremnie stary piekarz znowu ze szczotką i gorącym octem przyszedł, daremnie wołał mu do ucha, że prawdziwy katolik nigdy tak milczkiem nie powinien z tego świata schodzić; daremnie mu przedstawiał wszelkie złe następstwa takiej „nagłej i niespodziewanej śmierci,” przeciw której codziennie w kościołach się modlą: zegarmistrz tym razem już nikogo nie usłuchał i leżał spokojnie jak zegar, któremu nagle sprężyna pękła!

Paulina rzuciła się na kolana i zaczęła ręce nieboszczyka łzami oblewać, jakby był jej ojcem; Stefuś także zapłakał, bo chwila tak uroczysta tylko raz w życiu zdarzyć się może!

Kiedy już stary piekarz dostatecznie się przekonał, że sąsiad jego i przyjaciel na prawdę na drugi świat się wymknął i już nawet drzwi za sobą zaparł, wyprawił wszystkich płaczących z izby i sam zajął się wyprawą ostatniego z Tarłów burmistrza.

Kazał go należycie ubrać i sam własną ręką włożył na niego czamare granatową z pętlcami, jak na ostatniego burmistrza przystało. Podkrecił mu nawet wąsy, aby i po śmierci wyglądał uczciwie i poważnie. Potem złożył mu ręce w krzyż i dał mu do trzymania obrazek na blasze połącanej Najświętszej Panny Maryi z Jasnój Góry, królowej i pocieszycielki utrapionych.

A gdy już świece były pozapalane, i ludzie pobożni na nawiedzenie się cisnęli, ukląkł stary piekarz przed katafalkiem pierwszy, bo jemu z prawa należał się pierwszy głos do Boga, za spokój duszy nieboszczyka!... I głośno odmówił trzy razy „Anioł Pański.”

Dwa następne dni spędził Stefuś w domu Gewontowój. Staruszka pocieszała go jak mogła, czytała mu Pismo święte, opowiadała mu ciekawe historye o duchach, które czasem z drugiego świata przychodzą do osób ukochanych i dają im na drogę życia tajemne znaki.... Szeroko i długo opowiadała mu prawdziwe zdarzenie o Radziwille, który sam na własne oczy widział całe legiony duchów, a nawet zwyciężką z nimi odbył walkę szablą w Rzymie poświęcaną....

Paulina okazywała mu przywiązanie siostry, płakała, a nawet sporządziła czarną sukienkę, którą na pogrzeb wziąć miała! Jój serce jednak czegoś się trwożyło, sama nie wiedziała dlaczego? Zdawało się jój, że to zdarzenie może źle wpłynąć na ostatnią stawkę jój marzeń!...

Trzeciego dnia długi, nieprzejrzany orszak zebrał się przed domem nieboszczyka zegarmistrza. Wszystkie cechy wystąpiły z chorągwiami, czarną krepą pokrytymi. Wszyscy wzięli z sobą świece jarzące, aby ostatniemu z Tarłów burmistrzowi zaświecić do grobu i błagać Boga, aby mu tak samo światłość wiekuista świeciła!...

Świętej pamięci burmistrz, za czasów swego urzędowania założył za pomocą składek publicznych mały szpitalik dla ubogich i kalek miejscowych; szpitalik ten stanął teraz w całym komplecie przed jego domem, a byli tam nawet i tacy, którzy tylko się czołgali!...

Nawet majątniejsi izraelici w rozrzuconych kupkach stali przed domem, aby pamięci poczciwego człowieka oddać cześć należytą. Wiele kobiet przybrało żałobę, aby okazać że nieboszczyk był czémś więcej niżeli zwykłym zegarmistrzem i mieszczaninem!

Najgłębszy żal wyrażał się na twarzach mieszczan. Był to jeden z nich, kość z kości. Śmierć bezlitosna wydarła

między nimi lukę, jakby granat nieprzyjaciela. Ktoż tę lukę teraz zastąpi? Któż dzisiaj z taką jak Tarło godnością poniesie baldachim nad Ukrzyżowanym Zbawicielem świata? Któż będzie sędzią, aby bez trybunałów załatwić między nimi spory domowe o graniczne mury domów i między ogrodów?...

Ponuro, z przytłumionym śpiewem grobowym ruszył orszak z przed domu. Czterech patrycyuszów miasta niosło trumnę na barkach, bo nieboszczyk często na barkach swoich dźwigał sprawę tego starego grodu!...

Za trumną szedł Stefuś z głową do ziemi spuszczoną. Był wzruszony, bo cały żywot ojca jego niejako streszczał się w tym pogrzebie!...

Na cmentarzu powiedział kanonik obszerną mowę pogrzebową.

Mówił wiele o cnotach i zasługach zmarłego, wyliczał wszystkie jego dobre czyny. Pórownywał go do przodującego robotnika na łanie, z którego wszyscy robotnicy przykład brali i za nim zdążali. Życie jego nazwał skarboną, w którą każdy dzień padał jak pieniądź brzęczący, aby kiedyś być policzonym i utworzyć znaczny kapitał pracy i zasługi!

Potem zwrócił się mówca pogrzebowy do Stefusia jako do tego, który jest spadkobiercą cnót i zasług nieboszczyka i zachęcił go do naśladowania ojca we wszystkich drogach żywota. Postawił mu przed oczy tych wszystkich, którzy dzisiaj z płaczem zmarłego żegnali, aby ten płacz i szacunek zagrzał go do podobnych czynów, do wypełniania w ten sposób obowiązków, jak je wypełniał nieboszczyk ojciec!...

Po tych słowach rzucił kanonik grudkę ziemi, inni ze łzami za nim to czynili, i wkrótce samemi temi grudkami zasypał się grób, aby na wieki zamknąć nieboszczyka!

Po pogrzebie wrócił Stefuś do samotnej izdebki. Chciał dzisiaj sam pozostać.

Wrażenie pogrzebu i tego co słyszał rozbudziło w jego duszy wiele rzeczy o których dawniej nawet nie myślał. Różne obrazy przesuwaly mu się przed oczyma. Myślał o ojcu,

o jego spadkobierstwie, o łzach pocziwych mieszczan i o sąsiednim domu.

Myśli te i marzenia nie dały mu usnąć. Słyszał północ bijącą na starym ratuszu, słyszał nocnych stróżów, dających sobie hasło, słyszał jęczący głos wiatru, który po drzewach ogrodu przesuwiał się z zimnym oddechem jesieni i po uschłych liściach szeleścił...

Wreszcie sen dobroczynny zamknął mu znużone powieki.

Teraz chciała dusza jego, w smutku pogrążona, odechnąć po smutnych wrażeniach dnia inném, weselszém życiem! Zebrała wszystkie lepszych dni wspomnienia i bawiła się niemi jak dziecię rozłożonemi cackami. Porządkowała je i rozrzucała i tworzyła z nich nowe kombinacje.

Najprzód otworzył się przed nim salon baronowej, gdzie tyle przyjemnych chwil przepędził! Owe przejażdżki i wycieczki do Zofijówki i na Wysoki Zamek, owe kunsztowne rozmowy i spojrzenia odżyły mu w pamięci, jakby to wczoraj dopiero się stało!

Po salonach baronowej nastąpiły inne wspomnienia. A było ich wiele, bardzo wiele, a wszystkie były tak przyjemne, tak rozkoszne!

Świat tych wspomnień to świat inny od tego, w którym teraz był wśród ruin i upadku! Świat tamten świetny i błyszczący, on porywa i przyciąga, a ten zimnem wieje i odpycha!

Śród tych rojeń rozkosznych obudził się. Niestety! Jakaż to smutna rzeczywistość otoczyła go zaraz? Gdzież się podziały owe złocone komnaty, owe dywany perskie, po których we śnie tak dumnie stapał? Czyż uboga izdebka stariej Gewontowej mogła mieć takie dywany?!

Ktoś lekko zapukał do drzwi. Za chwilę otworzyły się drzwi i długa, ruda broda wsunęła się do izby.

— Czego chcesz? — zapytał Stefuś żegnając ulatujące złote marzenia nocne.

— Ny,—odpowiedział izraelita z rudą brodą,—czy panielic mnie nie zna, czy co? Jestem Jankiel domowy faktor nieboszczyka ojca!... Daj mu Boże szczęście na drugim świecie! Ny, to był człowiek, jakich nie było i już nie będzie w całym mieście!...

— Dziękuję ci Janklu!

— Na co dziękować? Nie ma za co dziękować! Nieboszczykowi to się należy i każdy mu według tego zapłaci. Żywot jego to tak jak „Prima-weksel,” co to tylko okazać i zaraz zapłaci!... Był to bardzo poczciwy człowiek, ja sam wczoraj płakałem jak *bucher*!

Stefuś sięgnął pod poduszkę, aby Jankla wynagrodzić za jego afekt tak szczerzy.

— Dziękuję panu,— rzekł Jankiel chowając guldena— abyś pan był zdrow i z takim żalem był chowany, jak wczoraj nieboszczyk ojciec!... Dziękuję panu... ale ja tu nie po to przyszedłem!

— Czegóż chcesz?

— Ny, czego ja chcę, ja nic nie chcę. Ja tylko mówię, że nieboszczyk pan ojciec umarł, więc trzeba będzie dom sprzedać!... Mam kupca, który zaraz gotówką zapłaci!

— Ja domu nie sprzedam!—prędko odparł Stefuś i zarzucił kołdrę na ucho.

— Co to jest, nie sprzedam? Na co panu tego starego domu?

— Będę w nim mieszkał!

— Ny, to być nie może! Cobyś pan w naszym mieście robił? Czy tu jest kto taki, z kimby pan mógł żyć? Co innego ojciec! Ojciec był człowiekiem starzej daty, poszedł do piekarza, do rzeźnika i z nimi rozmawiał; pan tak *fein* edukowany, pan przyzwyczajony do innego życia; do innych ludzi! Co panbyś tu robił? Tutaj szkoda pana.

Sny nocne i marzenia zaczęły znowu stawać Stefusiowi przed oczy.

— Ja mam kupca, który zaraz zapłaci *Geld auf den Tisch*! Da dziesięć tysięcy!

Stefuś na to nic nie odpowiedział. Przypomniał sobie, że to był plan jego, z jakim do ojca przyjechał. Ojciec nie przyjął tego planu, ale teraz, gdy już ojca nie ma, cóż mu staje na przeszkodzie aby do tego planu nie wrócić?...

— Kupiec zapłaci w takich pieniądzach jak pan żąda. W papierach? W papierach. W banknotach? to także dobrze! Jak pan sobie życzy!... Papiery przynoszą większy procent! A gdybyś jeszcze pan chciał za te pieniądze w Borysławiu nafty szukać, to mógłbyś pan natrafić na taką żyłę, żeby i wieś za nią kupić można!...

Stefuś myślał ciągle. Pomiedzy rozkoszne dawniejsze obrazy wsunęła się teraz i Paulina.

Nie, to być nie może!—pomyślał sobie, — szczęścia tutaj dla mnie nie ma! Moje szczęście jest na szerszym świecie! Mamże wszystko zakopać tutaj, com długoletnią pracą zdobył?... Nie, to być nie może! W żaden sposób być nie może!

— A jeżeli pan chce złotem holenderskiem, to kupiec także zapłaci!—kusił dalej rudobrody.

— Przyjdź jutro! — zawołał Stefuś i równemi nogami wyskoczył z łóżka.

Za dwa dni był już dom sprzedany. Pieniądze zamknął Stefuś do torebki podróżnej i pożegnawszy dosyć obojętnie płaczącą Paulinę wyjechał z miasta, aby może nigdy nie wrócić!...

Owe *jutro*, o którym ojciec niegdyś tak wymownie mówił, miał on już w torbie podróżnej i właśnie nad tém prze-mysliwał, aby to *jutro* jak najlepiej pomnożyć!...

A kiedy czekając na stacyi kolei właśnie o tém *jutrze* myślał, rzucił okiem na dziennik niemiecki, który leżał na stole.

W tym dzienniku uderzył go w dziwacznych ramkach umieszczony inserat.

Wziął dziennik do ręki i zaczął czytać.

Inserat miał ramki złożone z samych skrzypek i basettli, na których grali aniołkowie w rodzaju Kaulbacha. Miało to oznaczać pewne niemieckie przysłowie o szczęściu. Inse-

rat miał tytuł oznaczony przez sześć wykrzykników, między którymi stało:

!!! Sensacja !!!

„Życie człowieka składa się z chwil. Każda z tych chwil jest częścią jego kapitału. Miliony takich chwil traci człowiek marnotrawny! Gdyby ich rozumnie i skutecznie użył, mógłby zostać milionerem! Milionery nie rodzą się. Ubodzy stają się nimi! Ale jakie drogi prowadzą do milionów? Otóż sekret, który wyjawia pan X*** za bardzo umiarkowane honorarium.

„Pan X*** nie jest żadnym szalbierzem. Jest to człowiek sędziwy, który miał niegdyś także miliony, ale dzisiaj nadzwyczajnym zbiegiem stracił te miliony a jest za stary, aby zbierać zaczynał. Dzisiaj chce tylko użyć doświadczeń swoich na korzyść bliźnich, a łącząc z temi doświadczeniami nadzwyczajną, psychologiczną znajomość ludzi i ich różnorodnych talentów, jest w stanie w przeciągu trzech dni każdemu zgłaszającemu się osobiście, wskazać drogi i środki, które w jak najkrótszym czasie mogą go uczynić bogatym!

„Ulica Wałowa 136. Frankfurt nad Menem.”

Stefuś przeczytał ten dziwaczny inserat kilka razy.

Czyż to nie jest istny palec Boży? — pomyślał sobie, — czyż ten jakby zesłany od Boga człowiek nie obiecuje mi wyraźnie dać to, o czém tak gorzko marzyłem, a czego do szczęścia ludzkiego koniecznie potrzeba, jak miałem tego w życiu dowody?...

Stefuś myślał jeszcze chwil kilka. Tymczasem ozwał się dzwonek. Pociąg zbliżał się...

Stefuś szybko pobiegł do kasy.

— Proszę o bilet... do Frankfurtu!

— Do Frankfurtu?... Nie można! Tylko do Granicy!

— Dobrze! Więc do Granicy!

Za chwilę ozwała się trąbka, za trąbką dzwonek, a potem świsnęła parowa puszczalka i pociąg zniknął w kłębach dymu i pary, jak ów grzeszny potwór w Apokalipsie świętego Jana!...

XIII.

Z a s z c z ę ś c i e m!

Po wyjeździe Stefusia było w mieście bardzo smutno. Mieszczanie stracili jeden dom w rynku, który dotąd jak naróżna reduta zasłaniał cały szereg walących się domów zubożałych patrycyuszów przeciw napływowi nowych mieszkańców miasta, którzy nie znając jego tradycyi, obojętnymi byli na wszelkie sprawy publiczne!

W domu Gewontowej był także smutek nie mały. Paulina zachwiała się pod tym ciosem, który jój ostatnie nadzieje odebrał, i położyła się do łóżka z wielkiem umartwieniem babuni.

Leżała przez kilka dni jakby martwa i skamieniała. Zdawało się, że wszelkie życie uciekło naraz z tego pięknego i silnego ciała i pozostały tylko zimne, marmurowe kształty.

Czarna melancholia owładnęła jój umysł. Nie wymówiła ani słowa. Żadna skarga nie wyszła z jój ust białych i zimnych. Wszelkie prośby i zakłęcia Gewontowej były daremne.

Piątego dnia wstała i ubrała się. Rumieniec wrócił na jój twarz, ale w oczach piwnych pozostał jakiś blask dziwny, jakiego dawniej tam nie było.

— Zapowiadam babuni,—ozwała się po pięciu dniach po raz pierwszy,—że jestem zdecydowaną coś z sobą zrobić. Dłużej tak rzeczy pozostać nie mogą. Później byłoby za późno!

— Cóż chcesz zrobić? Cóż może kobieta z sobą zrobić?

— Cobyś zrobić mogła, tego nie wiem, ale wiem co w dzisiejszym położeniu mam przed sobą!

— Cóż widzisz przed sobą!

— Widzę przed sobą to, co tylko najokropniejszego kobietę spotkać może: widzę stare panieństwo!

Gewontowa westchnęła.

— Mam rok dwudziesty szósty, — mówiła dalej Paulina,—i wszelką drogę do jakichś nadziei zamknęta!

— Alboż ty jedną jesteś na świecie?

— Właśnie dlatego, że nie chcę tak cierpieć jak inne!

— Cóż uczynisz? Stanowisko kobiety jest bierne. Jój wolno tylko cierpieć!

— Tylko cierpieć? — z namiętnością odrzekła Paulina a oczy jój zaiskrzyły się — tylko cierpieć? Któż rzucił tę klątwę na kobietę? Czyż uczynił to Bóg, o którym nas uczą, że jest dobrotliwym ojcem wszystkich ludzi? Czyż jest tylko ojcem jednej połowy rodu ludzkiego? Czyż kobieta jest wyklętą od Jego opieki?

— Co za grzeszne myśli przychodzą ci do głowy!... Ty świata nie odmienisz!

— Świat! Cóż jest ten świat? Czy są to te przepisy i zwyczaje, które z kobiety robią ofiarę?

— Kobieta nie ma sił, aby szła przebojem!

— Tak w nas wmawiają, a my wierzymy i kładziemy głowę na stos ofiarny!

— Ja ciebie wcale nie rozumiem!

— Rzecz jasna i prosta. Życie nasze i stosunki zasklepiły się już. Nic dla nas nowego tu nie zabłyśnie. Wiemy naprzód każdy dzień, każdy miesiąc a nawet rok cały, co bę-

dzie. Jest to poprostu grób, w którym powoli zamieramy! Tak powoli konać nie chcę!

— Przecież mogą się zmienić widoki!

— Żadnej nadziei nie ma! W mieście naszym jest już ograniczona pewna liczba ludzi. Ci ludzie wydali na nas wyrok śmierci i pomijają nas jak nieboszczyków! Mieszczanin do nas nie przyjdzie, bo noszę modny kapelusz i rękawiczki, i mięsa na mieście sprzedawać nie będę. Urzędnik także na mnie nie spojrzy, bo goni za posagiem a wie, że z naszego domu mało co zostanie!

— Trzeba się zastosować do położenia, jeżeli inaczej być nie może!

— Można by to zrobić, gdybym była prostą mieszczańką!

— A czémże jesteś obecnie?

— Czém jestem?... Nie wiem! Ale wiem, że we mnie płynie krew niepoślednia, która nie pozwala mi przepelzać jak płaz całe życie! Czuję to w każdej chwili i zdaje mi się że mam prawo do innego losu, na jaki mnie skazano! I spodziewam się, że tego dokażę, jeśli zerwę ze wszystkiém, co mnie dotąd wiązało! Trzeba coś stawić na kartę, jeśli większy los wygrać chcemy!

— Są to skutki melancholii po odjeździe Stefana a nic więcéj! Za dwa dni zapomnisz o wszystkiém! Zmów pacierz i koronkę do Najśw. Panny Maryi, pocieszycielki utrapionych!

Na tém skończyła się rozmowa babuni z Pauliną.

W kilka dni potém zaczęli sąsiedzi szeptać sobie do uszu dziwne wieści.

Z sąsiedniej stacyi wojskowej przyjeżdżał do miasta często pewien młody oficer od ułanów i w towarzystwie krewnych aptekarza i pocztmistrza przechadzał się po rynku.

Młody ten porucznik był w pewnym względzie ważną figurą w mieście. Miał czarne wąsiki zawsze z fantazją do góry zakręcone, twarz tak rumianą jak rajskie jabłko i włos bujny, wonnym olejkiem wysmarowany. Prócz tego nosił zawsze białe rękawiczki i miał zwyczaj z pewną ostentacją

ogłądać się za każdą młodą kobietą i głośno jój wdzięki stylem żołnierskim chwalić i specyfikować.

Był to istny bohater. Wszystkie młode żydówki w nim się na zabój kochały, nazywając go swoim językiem arystokratycznym: *Der schöne Ulane!*

Piękny ułan był prawdziwym Lowelasem miasta. Nie było ani jednej ładnej twarzyczki, którejby nie znał i publicznie się jój nie kłaniał. Postrach wielki padał na zajętych spekulacją izraelitów, gdy porucznik w mieście się pojawiał. Mówią nawet, że kilku z nich dlatego zbankrutowało, że więcej żon swoich, niżeli interesów pilnować musieli.

Otóż o tym poruczniku i Paulinie zaczęli teraz mówić w mieście. Sąsiedzi widzieli, że Paulina dosyć często na podcienie wychodzi z porucznikiem, który na umówiony czas się zbliża, długo bez babki rozmawia. Razu nawet jednego ktoś widział, że porucznik wsunął jój do ręki jakiś liścik w małym formacie, a Paulina nietylko liścik ten przyjęła, ale nawet długo za rękę porucznika trzymała. Inni nawet więcej jeszcze mówili, ale temu nie wierzyli sąsiedzi, bo Paulina była dotąd dumną i nieprzystępną i z nikim nie wdała się w bliższe stosunki.

Jedną tylko rzeczy sąsiedzi pojąć nie mogli. Nie mieli wcale za złe dziewczynie, jeżeli młodego kawalera sobie upodoba, który ją do ślubu zaprowadzić może. Nie widzieli w tém także nic złego, jeśli ten kawaler przed ślubem za rączkę ją ściska, bo przecież musi być między nimi jakieś porozumienie. Tego tylko zrozumieć nie mogli, że Paulina wybrała sobie na to porucznika od ułanów, który prócz wąsów i rumianej twarzy nie ma w kalecie ani złamanego szeląga, jak to w mieście o tém żydkowie doskonale wiedzieli. Tymczasem według ustaw wojskowych nie wolno jest żenić się oficerowi, dopóki na przypadek śmierci swojej nie złoży pewnej kaucyi, któraby wdowie dalszy żywot zabezpieczyć mogła.

Paulina jednak nie miała takiego posagu. W jakimże celu odbywały się te konszachty? A odbywały się w ten sposób, jakby się z niemi wcale nie tajono!

Kiedy jeszcze sąsiedzi w ten sposób w braku innych wiadomości, sprawą Pauliny i rumianego porucznika się zatrudniali, oszołomiła ich nagła wieść, która jak bomba padła wśród miasta.

Oto pewnej miesięcznej nocy, gdy księżyc był na pełni, wykradł porucznik Paulinę i oboje udali się w kierunku niewiadomym!

I była to rzecz istotnie prawdziwa.

Tejże bowiem samej nocy miesięcznej, owinięta żołnierską burką przybyła Paulina w noc ze swoim szczęśliwym towarzyszem na stacyą kolei żelaznej, z kąd mieli wyruszyć do Edenu, szczęśliwości ludzkiej.

Ponieważ na stacyi kolei żelaznej miała szczęśliwa para zaczekać kilka godzin na pociąg idący w tym kierunku jaki był między kochankami umówiony, kazał porucznik z prawdziwą ułańską grzecznością przygotować osobny apartament, w którym posilając się do dalszej podróży mogliby ująć zbyt ciekawie śledzącym ich oczom.

Gdy Paulina drzwi pokoju otworzyła i stół nakryty zobaczyła, zrzuciła burkę żołnierską, a wydobywszy natomiast płaszcz swój podróżny, rzekła do porucznika:

— Najprzód dziękuję panu za wyświadczoną przysługę, a potem oświadczam, że nic do ust nie wezmę i tyle tylko tutaj zabawię, ile czasu potrzeba, abym pana pożegnała!

— Pożegnała? Cóż to znaczy?

— Tak jest, tutaj pana pożegnana i odjadę pociągiem, który za kilka minut odchodzi!

— Wszak umówiliśmy się inaczej!

— Co było między nami powiedziane, to wszystko mażę w tej chwili!

Porucznik osłupiał.

— Nie, pani żartujesz! Nieprawdaż że żartujesz droga Paulino?

Tu zbliżył się do niej i chciał objąć jej piękną kibić. Paulina cofnęła się: wydobyła z poza rąbka mały, damasceński sztylecik.

— Odstąp pan... przysięgam panu że nie żartuję!

Porucznik zdziwiony odstąpił dwa kroki. Widział rzeczy, które ani na myśl mu nie przyszły. Nie mógł sobie wytłumaczyć słów i postępowania Pauliny.

— Jakąż scenę odgrywasz pani? — zapytał patrząc na nią zdziwiony.

— Bądź pan pewny, że nie z komedyi! — odpowiedziała Paulina a łzy błysnęły w jej oczach.

Widok ten dziwne wrażenie sprawił na poruczniku. Porucznik nigdy w życiu kobiecych łez nie widział. Na łzy nie miał ani słów, ani broni. Stał i milczał.

Paulina otarła szybko łzy, schowała sztylecik w zanadrze i rzekła:

— Rozjedźmy się w przyjaźni panie poruczniku! — i podała mu małą rączkę.

Widząc że nieprzyjaciel kapituluje nabrał porucznik buty, podkreślił wąsika i ozwał się:

— Najprzód niech mi się pani wytłumaczy, dlaczegoś w ten sposób zażartowała ze mnie?

Paulina rozśmiała się z butnej postawy adwersarza.

— Boś na taką nauczkę zasłużył poruczniku! — odpowiedziała z uśmiechem.

— Jaką nauczkę? Za co zasłużyłem?

— Rzemiosłem twojem było mości poruczniku uwodzić biędne kobiety; otóż teraz trafiła kosa na kamień: zamiast uwieść, jesteś pan uwiedziony!

— Przecież ja dla pani miałem najszczerze zamiary!

— Jakie najszczerze zamiary? Jakież były te zamiary? Czy chciałeś pan się ze mną ożenić? Wszak pan wiedziałeś, że jestem ubogą, że nie mam posagu, bez którego panu nie wolno się żenić?

Porucznik nie mógł przyjść z zadziwienia do siebie.

— Ale pocóż narażałaś się pani na... złą opinią?

— Bo chciałam aby opinia moja była gorszą odemnie!

— Tego już nie pojmuję!

— Pan jesteś żołnierzem. Powiedz mi pan, kiedy żołnierz jest w boju mężniejszym: czy wtedy gdy ma w odwodzie schronienie bezpieczne, czy wtedy, jeśli go wcale nie ma?...
— Rozumie się, wtedy, jeśli go nie ma!

— Otóż w tém masz pan odpowiedź. Chciałam się wybrać na walkę z życiem. Ażeby zaś w téj walce pozbyć się wszelkiej pokusy powrócenia w miejsce, z którego wyszłam, chciałam jak wódz oględny... mosty za sobą spalić!

— I mnie pani użyłaś za narzędzie do tego planu swego?

— Nie gniewaj się pan, aleś zasłużył na to!

— Cóż ja teraz powiem w mieście?

— Mów pan co chcesz, ja tyle tylko wiem, że mam już wszelki powrót do domu zagrodzony, a o to mi jedynie chodziło! Co o mnie w mieście mówić będą, o to nie dbam!

— Więc pani chcesz się zupełnie *emancypować*?

— Nazwij pan to jak chcesz. Ja chcę sobie tylko od świata wywalczyć to, do czego mam prawo! Dotąd ciasne granice obyczajów i praw nie pozwalały mi dopiąć tego celu; dzisiaj rozszerzam sobie te granice, może być że nie właściwym sposobem, ale to mniejsza! Każda rewolucya uznana była za sposób niewłaściwy, a przecież skutki jój przyjęto!

Porucznik myślał nad mądrymi słowami Pauliny, chociaż nie zupełnie je rozumiał.

Tymczasem ozwał się dzwonek po raz pierwszy.

— A teraz żegnam pana—ozwała się Paulina podając mu rączkę, nie gniewaj się pan na nieszczęśliwą kobietę i miej pan lepsze niżeli dzisiaj sukcesy!

Porucznik nie wiedział co odpowiedzieć. Uściśnął małą rączkę i wyszedł na peron, aby z westchnieniem pożegnać uchodzącą lokomotywę!

A lokomotywa strzałą piorunu mknęła naprzód, a za nią jak długi szary ogon ciągnął się szereg lekko kolebiących się wagonów...

A w jednym z tych wagonów siedziała w szarym płaszczyku młoda kobieta i marzyła:

....Przeczytałam tyle romansów i powieści! Tyle w nich kobiet było szczęśliwych, które ani pracą, ani majątkiem tego szczęścia nie dostały, tylko gorącym sercem, gorącą miłością! W książkach tych tylekroć nazwaną jest kobieta ideałem życia! Czyż dla mnie ma być tak niebo okrutne, aby się nikt na szerokim świecie nie znalazł, komubym mogła być owym ideałem? Czyż moje serce gorące i wrzące pragnienie miłości nie może nigdzie napotkać mężczyzny, którego dostatki mogłabym ukoronować miłością, na jaką kobietę stać tylko można? Czyż może ten świat być rzeczywiście tak podłym i nikczemnym, aby nie ocenił tego skarbu, który w duszy mojej dla niego chowam?... Nie, to być nie może! Tylko uszczuplenie praw naszych trzyma te skarby nasze pod korcem, tylko narzucony nam rygor obyczajów robi z nas ofiarę! Na otwartym morzu życia możemy się odsłonić, możemy te skarby rozłożyć przed światem, aby je każdy mógł widzieć i niemi się zająć!... A więc dalej w świat szeroki! Wkorzeniony w nasz umysł nałóg do ukrywania się w więzieniach domowych, do cichych biernych cierpień bez bohaterstwa, ten nałóg już zostawiłam za sobą! Reszta zawisła odemnie!...

Tak marzyła młoda kobieta z piwnemi oczyma w szarym płaszczyku.... a porucznik odjechał tymczasem do swojej stacyi. W mieście przez kilka dni wcale się nie pokazywał, a gdy go towarzysze o Paulinę pytali, marszczył brwi i nic nie odpowiadał.

XIV.

Bez j u t r a.

Prawie w tym samym czasie, gdy Paulina w szeroki świat się udała, aby tamże nie pracą, ale potęgą serca swego o szczęście się dobijać i w tym celu wszelkie mosty do możliwego kiedyś odwrotu zerwała: wjeżdżał Stefuś do starożytnego niemieckiego grodu, aby tamże kupić sobie sposób zostania bogatym, gdyż samo serce, jak mniemał, na świecie nie zdziałać nie może! Frankfurt, owa półwiekowa stolica naczelnéj władzy całej rzeszy niemieckiej, stolica, w której ta władza tak słodko i spokojnie pod pierzyną zasypiała; owe dumne ze swojej niepodległości miasto bankierów i kupców—przywitało galicyjskiego Jazona przychylnie.

Już zdala mrugały na niego czerwone dachy i czerwone kominy, mury wysokie w zęby wykrojone uśmiechały się wdzięcznie, a głuchy gwar, który go dolatywał, był podobny do chórów jakiegóś wielkiej opery!...

Frankfurt cieszył się widocznie z przyjazdu Stefusia. Niemki, które spotykał, otwierały usta i pokazywały mu zębki z całą szczerością germańską. Niemcy w wysokich kapeluszach pozdrawiali go, nawet ładowne bryki i psami ciągnione wózki ustępywały mu się z drogi.

Jakże Frankfurt, stolica Rzeszy ludzi pracowitych i zysku chciwych, nie miał go witać uśmiechem i pozdrowieniem, jeśli on przywiózł mu swoje, jak mówił nieboszczyk zegarmistrz „jutro”, przemienione na pieniądze, które w torebce spoczywały? Jakże te dachy ząbkowane i kominy czerwone nie miały mrugać do niego i wzajem do siebie?...

Stefuś przeszedł kilka wązkich ulic w szerz i wzdłuż, patrzył trochę na wysokie, starożytne budowle; wreszcie zatrzymał się na ulicy Wałowej.

Była to jedna z najciemniejszych, wązkich uliczek miasta. W środku tej uliczki mieścił się duży okopciały browar, który całą przestrzeń ulicy napełniał słodkawą parą pochodzącą od siodu. Browar ten wśród miasta, był dla mieszkańców bardzo niedogodny. Właściciel jednak opierał się na przywileju swoim, który średnich wieków sięgał, kiedy browar tenże stał jeszcze w czystym polu, jak to nazwa ciasnej poprzecznej uliczki „Feldweg” jasno okazuje. Miasto szanowało przywileje i browar został browarem. Ponieważ jednak Niemiec, jak mówią i z sąsiedztwa piekła skorzystałby potrafił, to też i właściciel przypartego do browaru domu umiał z tak niekorzystnego sąsiedztwa skorzystać.

Pewnego bowiem dnia okazał się we wszystkich miejscowych dziennikach inserat, w którym znanego nazwiska lekarz zaleca wszystkim chorym na płuca najmować mieszkania w pobliżu tego browaru, dowodząc że para ze siodu wciągana przez usta, goi nawet już znacznie rozwinięte suchoty.

Po tym inseracie zaludniła się natychmiast ulica, a w godzinach, gdy parę z kotłów wypuszczano, można było widzieć w każdym oknie starego Niemca z otworzoną gębą, aby jak najwięcej wciągnąć w siebie tej ambrozji piwniej!

Mówią nawet, że były z tego powodu ciekawe processy o nieumiarkowane spotrzebowanie tej pary dobroczynnej przez niektórych lokatorów, którzy ją nietylko do płuc

swoich, ale nawet i do pomieszkań wciągali za pomocą pewnych sztucznych wentylatorów!

Gdy Stefuś tą uliczką przechodził, była właśnie godzina konsumowania pary słodowej! W każdym oknie była twarz z otworzoną na rozścież gębą. W niektórych oknach było nawet ich po kilka. Mianowicie na jednym poddaszu wyglądała cała liczna rodzina, z otworzonymi ustami jak pisklęta w gnieździe. Zdaje się, że ubogi a przemyślny proletaryusz tym sposobem chciał karmić dzieci swoje!...

Stefuś stanął przed oknem, w którym otwierała się najpoważniejsza ze wszystkich gęba.

Należała ona do twarzy starzej i mocno pomarszczonej. Nos duży dzielił ją na dwie równe połowy; w górnych częściach osadzone były wielkie wypukłe oczy, które groziły co chwila upaść na ziemię; czoło było wysokie i grubemi fałdami wpoprzek pokrajane: włosów nie było widać z dołu.

Zaraz przed tą twarzą stał wypisany czarną farbą dosyć wielkich rozmiarów numer, którego właśnie szukał Stefuś.

Wszedł na pierwsze piętro. Na odgłos dzwonka wyszła służąca i na zapytanie Stefusia odpowiedziała, że „*Herr Rath*” jest w domu, ale dopiero za pół godziny może mu służyć.

Stefuś tymczasem zatrzymał się w małym gabineczku, który zawałony był książkami i różnemi sprzętami. Z gabineczku można było widzieć przez drzwi otwarte drugi, obszerniejszy pokój, a który prawdopodobnie służył panu radcy za salonik.

Ponieważ Stefuś miał dosyć czasu, zaczął się więc rozpatrywać po mieszkaniu człowieka, który według inseratu, trzymał w swoich rękach miliony.

Rzeczywiście były ślady tych minionych milionów. Meble niektóre były palisandrowe, okryte grubą jedwabną materią. Drzewo było rzeźbione bardzo misternie. Niektóre rzeźby naśladowały widocznie średnie wieki i były zrobione z sumiennością, która niemieckich artystów cha-

rakteryzuje. Bogate starożytne zegary, obrazy w ciężkich ramach, jakieś graciki kosztowne, których przeznaczenia nawet Stefuś nie wiedział, stare gobeliny i dywany tureckie, wszystko to zdawało się być ową smugą świetlaną, którą przeszły miliony!

Po godzinie stanęła przed nim ta sama twarz, którą widział był w oknie.

Był to sam „radzca”. Miał na sobie szlafrok z wypłowiałej jedwabnej materii w pasy liliowe i małą aksamitną czapeczkę na głowie. Był niski i dosyć dobrej tuszy, która jednak więcej wydawała się chorobliwą.

Radzca trzymał niejakiś czas wypukłe swoje oczy na twarzy Stefusia: Stefuś uczuł lekkie drżenie po ciele, jakby stał w związku z elektryczną maszyną.

— Zapewne inserat mój sprowadza pana do mnie—ozwał się radzca.

— Tak jest—odpowiedział Stefuś i wstrząsł się jakby od iskry elektrycznej.

Radzca patrzył jeszcze czas niejaki prosto w oczy Stefusia, a potem rzekł:

— *Gut mein Kind!*—Przedewszystkiém muszę panu powiedzieć, że nie jestem szalbierzem, nie podyktuję panu numerów na loteryę, ani w magnetyzm bawić się nie będę. Wyroki moje i rady gruntuję najprzód na doświadczeniach moich w świecie, i na znawstwie duszy i jój wszelkich przymiotów. Aby zaś na tém ostatniém polu należycie rozpatrzyć się, potrzeba, abym choć dni kilka żył z człowiekiem w stosunku bliskim i poznał dokładnie zasoby jego organizacji duchowej. Dlatego spędzimy razem trzy do pięciu dni w nieustanném towarzystwie, będziemy razem jeść i zabawiać się, co ułatwi mi wejście w charakter pańskiego umysłu, ukrytych talentów i wrodzonych skłonności.

— Bardzo dobrze—odpowiedział Stefuś, któremu podołała się rzetelność Niemca.

— Zaczniemy od jutra!—zakończył posiedzenie radzca.

Następnych pięć dni byli obaj nierozzerwani towarzysze wszędzie razem: obaj jedli przy *tâble d'hôtes* w hotelu „zum römischen Kaiser”, obaj siedzieli wieczorem w łoży miejskiego teatru, obaj pili piwo w ogródkach i zjadali sławne frankfurtskie kiełbaski z chrzanem; rozmawiali przytém nieustannie. Mówili o każdym przedmiocie który im stanął przed oczyma, czy to był jaki uczonec historyk, czy fertyczna *Nany* w bielutkim fartuszk. Stefus musiał nawet swemu towarzyszowi opowiedzieć niektóre ważniejsze epizody życia, których tenże słuchał z największą uwagą.

A gdy już tyle dni minęło, ile właśnie potrzeba było Bogu na stworzenie świata, usiedli obaj w owym małym gabinecie przy ulicy Wałowej i długi czas w milczeniu na siebie patrzyli.

Potém odkrząknął były bankier i były radzca miejski i rzekł:

— Kiedym był tak młody, jak pan teraz, nie miałem ani szeląga w kieszeni. Pisałem w kantorze kupca dziewięć godzin dziennie i za to zaledwie mogłem co zjeść dwa razy na dzień. Za lat trzydzieści nieustannój pracy i oszczędności miałem już parę milionów!

— Milionów!—powtórzył Stefus, a oczy jego zabłyszczały.

— Tak jest, milionów. Pewien dom handlowy w Ameryce, z którym miałem spółkę, zbankrutował a moje miliony poszły z wiatrem!

Radzca zrobił tu pauzę. Kilka smutnych wspomnień poświęcił milionom. Potém mówił dalej:

— Dzisiaj mam lat siedmdziesiąt, w takim wieku już się nie zbiera! Praca i oszczędność to kapitał młodości, starość to kapitał bez procentu! Wtedy żyje się tylko z kapitału!

— Powiedziałeś pan, że praca i oszczędność to kapitał młodości.

— Tak, ale nie dla pana!

— Nie dla mnie?

— Nie. Dla nas Niemców praca i oszczędność to majątek, dla was, którzy mrówcząj pracy nie znacie, którzy nie wiecie o tém, że każda kropla potu powinna jeden grosz przynieść; dla was, którzy tylko fantazyą życie, praca i oszczędność są rzeczy niezrozumiałe! Dlatego w ogóle jesteście w upadku, a my wzrastamy w szerz i w górę!

Stefuś zasmucił się przy tych słowach, radzca uśmiechnął się i prawił dalej:

— Nie smuć się pan, mam i dla pana kilka recept. Widzę że pan nie obrałbyś sobie małej, zmuđnej, codziennój pracy, aby tylko przyzwoicie żyć na świecie jak żyją miliony. U pana, między wszelkiemi władzami umysłu, najsilniej jest rozwiniętą fantazyą! Ona prowadziła pana dotąd po wszystkich ścieżkach żywota, i ona może pozostać panu przewodniczką aż do kresu!... Czy mnie pan pojmujesz?

Stefuś skinął głową na znak przyznania.

— Dlatego przed panem są tylko takie drogi otwarte, na które fantazyą prowadzi i temi drogami pójdiesz pan aż do końca życia. Jeśli na téj drodze znajdziesz fortunę, to nie znajdziesz pan jój pracę zmuđną, ale lekkim jak musujący szampan pomysłem, szybkim korzystaniem, genialną zręcznością z wydarzeń, które pana zaskoczą!

Stefuś zadumał się nad tą zbyt ogólną formułką życia. Radzca mówił dalej:

— Do takiej lekkiej tyralierki życia powinieneś pan mieć nader lekki rynsztunek albo wcale żadnego, aby przy każdój sposobności módz się zastosować do wydarzeń. Jak żołnierzowi na tyralierce, często potrzeba będzie ukryć się za drzewo, położyć się na ziemi, lub ratować się ucieczką, aby w danój chwili znowu się zjawić! Drobne zdobycze pomijać a godzić na wielkie!

— Nie mogę tego pojąć!

— Zaraz panu rzecz objaśnię. W krainie zwierząt uderzają nas głównie dwa rodzaje: jedne są wyposażone od natury wygodném schronieniem, które albo ze sobą noszą jak ślimaki, żółwie i t. p.; albo nie mają żadnego domu ani

pancerza, ale mają za to zwinność i przemysł i nietylko uchodzą zawsze przed grożącym niebezpieczeństwem, ale nawet lepsze od ślimaków i żółwiów gotują sobie schronienia i legowiska!... Otóż i o ludziach to samo powiedzieć można: jedni mają małą, ale bezpieczną skorupkę, w którą włożą i spokojnie trawią; inni nie mają jęj i muszą codziennie myśleć o tém, gdzieby się na chwilę odpoczynku położyć mogli. Ale jak ślimak ze swoją małą, choć bezpieczną skorupką zawsze tylko pełzać będzie i nigdy do wysokości orła albo innego ptaka się nie wzbije, tak i ludzie ci z małą swoją skorupką nigdy wysoko nie wyjdą! Będą wygodnie pełzać po ziemi i na noc kryć się w wygodną skorupę!

— Cóż ta skorupa u ludzi ma oznaczać?

— Skorupa ta oznacza ich mienie, majątek!

— Czyż majątek mógłby w tym względzie przeszkadzać?

— Majątek jest rzeczą względną. Dla jednego dziesięć talarów jest majątkiem, dla innego tysiąc, a dla trzeciego milion. Jeżeli człowiek z pretensją do tysiąca talarów ma ten tysiąc, to ma majątek z którego jest zadowolony. Skorupka ta jest dla niego wygodna, patrzy na świat z tęg skorupki i uśmiecha się. Jeżeli zaś człowiek z pretensją do stu tysięcy talarów ma tylko, jak pan naprzykład, siedm tysięcy w swojej torebce, to te siedm tysięcy nietylko że nie są dla niego żadnym majątkiem, ale przeciwnie obciążają wszelkie kroki jego, jeżeli je za majątek chce uważać! Czyś mnie pan zrozumiał?

Stefus długo myślał nad temi słowami byłego bankiera, ale dobrze nie mógł ich pojąć.

— Widzisz pan,—mówił dalej doradzca,—te siedm tysięcy talarów, gdybyś pan je za majątek chciał uważać, coż one mogą panu dać? Zaledwie kilkaset talarów procentu rocznie! Dla pana fantazyi i pretensyi jest to tak mała bagatelka, że nie wiem co byś pan z nią mógł uczynić! A zawadzać może panu niezawodnie. Jest to bowiem zawsze skorupka, do której w ostatecznym razie możesz się cofnąć i trochę

przeleżeć. Ale leżąc w niej tracisz pan wzrok wyższy, uspakajasz się niejako i godzisz się z życiem ślimaka! Jeżeli zaś tego ślimaczego asyłu nie masz, jeżeli nie wiesz *co jutro będzie*, to musisz zawsze być w pogotowiu wywalczenia sobie tego „*jutra*,” a ta ciągła gotowość do walki i walka sama nada ci zwinność wiewiórki, że będziesz mógł skakać tam, gdzie inni nie doskoczą i dojsć aż do wyżyn, gdzie się orły gnieźdzą!

Stefusiowi rozjaśniły się oczy, bo już trochę pojmował swego mistrza.

— W takim życiu *bez jutra*, — mówił dalej mistrz, — w ciągłej potrzebie starania się i myślenia o to *jutro*, rozwinię się twoje talenta, wzrok twój stanie się bystrzejszym, zwinność ruchów powiększy się; a gdy to wszystko będzie, możesz wtedy opanować pewną zdobycz, która wszystkie twoje pretensye zaspokoili... A do takiego życia masz wszelkie warunki!

Stefus porównał w tej chwili słowa mistrza ze słowami ojca, który mówiąc o *jutrze* daleko inne wyobrażenie miał o nióm! Wyobrażenia jednak mistrza więcej przypadły mu do smaku, bo w zasadzie już je praktykował od lat kilku, tylko na mniejszą skalę.

Pogłaskał więc bakenbardy i uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Zresztą, — prawił dalej mistrz, — postępując szerokim gościńcem życia, napotyka się różne rzeczy, które się skrupułami nazywają. Religia, wychowanie, tradycya starych obyczajów wtlaczają w nasz mózg niektóre odwieczne formułki życia, które nam czegoś robić nie każą bez żadnego racjonalnego powodu. A niepotrzebna ta tkliwość sumienia jest tak czasem w życiu niewygodna, że nawet Ojciec kościoła, święty Augustyn długi traktat o tém napisał. Otóż takie skrupuły wychodzą często na jaw z głębi duszy w człowieku, który ma jaką taką skorupkę życia! Ucieka on za-

wsze przed temi skrupułami do tój skorupki i zdaje mu się, że sumienie swoje ocalił! A on tymczasem tylko zdobywszy z rąk wypuścił!... Otóż człowiek bez tój skorupki, człowiek, który walczy o swoje *jutro*, nie jest kłiwym na takie złudne podszepty sumienia, i dlatego zajdzie dalej od tych, którzy policzeni być mogą do rodzaju mimozów! Inaczej bowiem walczy o chleb głodny, a inaczej syty!

Stefuś uśmiechał się ciągle: marzył już o roli swojej.

— Dlatego radzę ci młody człowieku, — mówił dalej mistrz, — abyś się najprzód pozbył tego małego twego *jutra*, które masz w torebce, a które pragnień twoich nie zaspokoi. Pozbądź się jakimbądź sposobem. Możesz tentować fortunę i przegrać je w Homburgu, co niezawodnie nastąpi, bo maszyna ziemnej oblicza niżeli człowiek, albo możesz je stracić krótkim a kosztownym życiem wśród świata, które da ci poznać proste i kręte jego drogi! A talent i zdolności masz do tego. Widać to z twoich oczu, z twego czoła. Znasz świat, masz ogłędę lorda albo markiza, a z takim kapitałem nie przepadniesz! Wypłynąć możesz na wierzch i być tak wysoko, że wszyscy zazdrościć ci będą!

— Słowa te są wysokiej, praktycznej mądrości! — wykrzyknął Stefuś.

— Ale przedewszystkiem pozbądź się tój ślimaczéj skorupki, tych siedmiu tysięcy talarów!... Widziałeś pieska, którego na sznurku prowadzą? Jakaż różnica w muszkułach i w całej budowie od psa, który jest bez paska i wygod domowych, i który sam starać się musi o jadło! Widziałeś kiedy skoki jednego i drugiego?... Otóż niech cię nie trzymają na pasku te kilka tysięcy talarów! Urwij ten pasek i stwórz sobie sam potrzebę starania się o *jutro*!... Głód i potrzeba dodaje odwagi, a do odważnych świat należy!

To jest jedyna droga dla ciebie, droga bez mrówczej pracy, do której nie masz żadnych zdolności!...

Kiedy mistrz tych słów domawiał, nastąpiła właśnie godzina oddychania parą słodową.

Po załatwionym za te rady rachunku pożegnali się obaj.

Były bankier poszedł do bezpłatnego używania aromatu z gotowanego jęczmienia, a Stefuś wyszedł na ulicę z głową pełną marzeń i przyszłych planów życia!

A myślał także jakby to w najlepszy i najprzyjemniejszy sposób pozbyć się swego *jutra*, które właśnie niósł w torbce, a o którym ojciec jego tak maluczkie miał wyobrażenie!...

KONIEC TOMU IGO.

